



epea

ISSN 1733-8352

nr 2/2021 (7)

pismo literackie

„Kryminat –
rzecz o sekretach
duszy” – rozmowa
z Katarzyną Bondą

„Baba Wanda” –
nowe opowiadanie
Norberta Grzegorza
Kościeszy

Portret
Leona Tarasewicza
w książce Małgorzaty
Czyńskiej

W nowej odsłonie

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku we współpracy z Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu, zorganizowała konkurs na projekt okładki siódmego numeru nieregularnika „Epea. Pismo literackie”. Było to pierwsze tego typu przedsięwzięcie w kilkuletniej historii pisma. Pozwoliło nam jeszcze bardziej otworzyć się na młodych, pełnych pasji, kreatywnych twórców. – *Wylonienie zwycięskiego projektu okazało się nie lada wyzwaniem i wywołało gorącą dyskusję wśród członków redakcji. Ostatecznie wybraliśmy pracę Katarzyny Dardy – niezwykle interesującą, przemyślaną, pełną symboli, ale nieprzytłaczającą* – mówi Justyna Sawczuk, redaktor naczelna nieregularnika „Epea. Pismo literackie”.

Choć wedle pierwotnego planu w piśmie „Epea” miały ukazać się jedynie prace zwycięzcy, redakcja postanowiła wykorzystać projekty innych uczestników konkursu. Na łamach tego numeru swoje prace prezentują także: Hanna Adamska, Zuzanna Januszko, Ewa Barbara Maksimowicz, Róża Wiktoria Jaroszewicz, Matteo Vivona, Amelia Cwalińska, Katarzyna Błachowska, Monika Łabędzka, Zuzanna Maciejewska i Dominika Biała. A my mamy nadzieję, że to dopiero początek naszej współpracy z młodymi artystami z Liceum Sztuk Plastycznych w Supraślu.

Szanowni Państwo

Czas zmian – tak najogólniej określiłabym „miejsce”, w którym znajduje się obecnie nieregularnik „Epea. Pismo literackie”. O ich potrzebie – uświadamianej coraz wyraźniej z każdym kolejnym numerem – pisałam już wcześniej. To proces długi, żmudny, wymagający od nas wszystkich – czytelników i redakcji – przyjęcia szerszej perspektywy, gotowości do podjęcia dyskusji, otwartości na to, co nowe, przy jednoczesnym poszanowaniu tradycji.

Najbardziej widoczną zmianą jest obecność na naszych łamach prac młodych twórców – uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu. Zależało nam na nadaniu piśmie „Epea” wyrazistego, artystycznego charakteru, stworzeniu przestrzeni, w której literatura współlistnieje z innymi dziedzinami sztuki, ale też na włączeniu w proces powstawania nieregularnika kolejnego pokolenia.

Jako pismo literackie nie możemy ignorować tego, co popularne i masowe, zwłaszcza że jest to jeden z elementów kształtowania gustów (nie tylko literackich). Miliony ludzi na całym świecie sięgają m.in. po kryminały, stąd niewielki blok tekstów poświęconych kobietom, tworzącym ten rodzaj literatury: Agathcie Christie i Joannie Chmielewskiej oraz rozmowa z Katarzyną Bondą,



fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

która w 2021 roku ponownie podbiła serca czytelników, tym razem kolejnymi tomami przygód psychologa śledczego Huberta Meyera.

Rozrasta nam się dział „recenzje”, co cieszy tym bardziej, że od początku powstania nieregularnika „Epea” dostajemy sygnały o zapotrzebowaniu na tego typu teksty. Transformację przechodzi także dział „dla dzieci”, gdzie obok wierszy czy bajek dla najmłodszych pojawiać się będą artykuły pisane z myślą o rodzicach.

Przed nami jeszcze wiele do zrobienia – mamy tego świadomość. Obraliśmy nowy kurs i liczymy, że będzie Państwu z nami po drodze.

Justyna Sawczuk
redaktor naczelna

ROZMOWA

- 4 / Kryminał – rzecz o sekretach duszy –
z **Katarzyną Bondą**, polską Królową
Kryminalów, rozmawia Katarzyna Droga

KULTURA

- 8 / **Katarzyna Droga** / Tajemnicza
historia Agathy Christie
12 / **Katarzyna Droga** / Rodzimy urok
kryminału. Rzecz o książkach Joanny
Chmielewskiej

POEZJA

- 16 / **Jerzy Binkowski** / Wuja – boli mnie
krzyż; Ballada trofimowska; Zaduszki –
Underground;
20 / **Marek Górynowicz** / wyspa Nadzieja; na
mokro (Praga); stacja Hołówki Duże
22 / **ks. Kamil Dąbrowski** / Połysiał świat;
Myszy; Pokora; *** (Męczeństwo nie
zawsze musi być czerwone jak barszcz)
24 / **Janina Osewska** / Ogród; Schody
25 / **Hubert Czarnocki** / *** (Nie ustawałeś
w płonięciu)
26 / **Marcin Stachelski** / Resurrectio
27 / **Maria Gładyszewska** / Przedświt
28 / **Regina Kantarska-Koper** / *** (gdy tylko
poczuję zapach skoszonej trawy);
*** (rankiem w środku lata nagle
zapachniało jesienią)
29 / **Edyta Ślęczka Poskrobko** / Jesienny
spacer; Szanta
30 / **Katarzyna Dominik** / Czas migrujący
31 / **Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz** / Most
na rzece Kraj

- 32 / **Paweł Gorszewski** / Akademik;
Powietrze

- 34 / **Barbara Noworolska** / Białystok 1970;
Łomża

- 35 / **Małgorzata Dobkowska** / I NIC;
MOTYL; ROZTERKI PIGMALIONA;
SALAMANDRA; OBECNOŚĆ;
ISTOT(NOŚĆ)

- 36 / **Irena Świerżyńska** / W drodze za chlebem;
Z poezją...

PROZA

- 38 / **Norbert Grzegorz Kościesza** / Baba
Wanda
44 / **Aleksandra Tarnowska** / Bez towarzystwa
48 / **Barbara Gorzawska** / Inny początek

DLA DZIECI

- 54 / **Tomasz Filipowicz** / Z tatą na książki
57 / **Agnieszka Bohdan** / Pani Ziemia
i brudne wróżki

ROZMOWA

- 60 / Poszukiwania zaangażowane – z **Jędrzejem
Morawieckim** rozmawia Justyna Sawczuk

REPORTAŻ

- 64 / **Zofia Piłasiewicz** / Bug

KULTURA

- 72 / **Anna Jaszczuk, ks. Kamil Dąbrowski** /
„Podlasianie nie gęsi, swój język mają”,
czyli Miś Mieczysław i podlaska gwara
75 / **Joanna Grzelczyk** / Edukacja poprzez
komiks
79 / **Grzegorz Kowalski** / Ludzkie – nieludzkie,
czyli czego możemy się dowiedzieć
w bibliotece solaryjskiej

- 85 / **Dominik Sołowiej** / Dramat i odrodzenie, czyli jak stworzyć fascynującą opowieść
- 88 / **Regina Kantarska-Koper** / Kilka uwag o zmianach znaczenia słów i nadgorliwości
- ROZMOWA
- 90 / Uwielbiam czuć „tę moc” – z **Rafałem Salmanowiczem**, gitarzystą i założycielem grupy Hope On, rozmawia Eligiusz Buczyński
- KULTURA
- 93 / **Walentyna Szwed** / „Piórem Smaszcza się namaszcza” – jubileusz siedemdziesięciolecia białostockiego krytyka
- WSPOMNIENIE
- 96 / **Andrzej Zdanowicz** / Kolejne kartki pozostaną puste... – wspomnienie o Andrzeju Salnikowie
- 98 / **Eligiusz Buczyński** / Łódzki na ocenie – wspomnienie o Janie Leończuku
- ROZMOWA
- 100 / „Goniec Kresowy” – tradycja w nowej odsłonie – z **Rafałem Cierniakiem**, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna rozmawia Łukasz Zabielski
- RECENZJA
- 104 / **Dorota Sokołowska** / Wiersze potrzebne jak codzienna kromka chleba [Regina Kantarska-Koper, *Wiersze codzienne*]
- 106 / **Ewa Szarkowska** / Blask ukrytego [Krzysztof Czyżewski, *Żegaryszki 2 i inne*]
- 109 / **Piotr Janicki** / Oczarowana małpami rzeczywistość [Dariusz Adamowski, *Skrawki*]
- 111 / **Ewa Szarkowska** / Wszystkie kolory Lonika [Małgorzata Czyńska, *Nie opuszczam rąk. Rozmowa z Leonem Tarasewiczem*]
- 114 / **Piotr Janicki** / Płonąłem ciekawością. Wrażenia niemłodego goja [Beniamin R., *„Płonęli gniewem”. Autobiografia młodego Żyda*]
- 116 / **Leonarda Szubzda** / *Stonoga*; **Wiktor Szwed** / *Na deszcz wyszły parasole*; **Juliusz Szczęsny Batura** / *Antek Mocny i tabliczki rongorongo*; **Tomasz Samojlik** / *Tom 22. Taniec żurawi*, *Tom 23. Wszędzie dobrze, ale w puszczy najlepiej*; **Edyta Ślęczka Poskrobko** / *Rozmawiałam z drzewem*; **Barbara Noworolska** / *Łąki zielone*; **Wojciech Kass** / *Ręka pisząca*; **Krystyna Lenkowska** / *Balkon*; *Logos. Antologia polsko-hispańska* / red. **Katarina Lavmel**; **Krzysztof Mich** / *Śladami*; **Malika Tomkiel** / *Biel kości*; **Victoria Mas** / *Bal szalonych kobiet*; **Katarzyna Droga** / *Nigdy się nie bałam. Jak polskie lekarki pisały historię medycyny; Białostoccy mistrzowie sztuk pięknych na falach eteru. Reportaże Polskiego Radia Białystok*; **Grzegorz i Tomasz Kłosowscy** / *Biebrza; Historia Białegostoku*

Kryminał – rzecz o sekretach duszy

Po co czytamy książki o zbrodniach, co z nas wydobywają, ile w nich psychologii? Czy pisarka z Podlasia różni się od twórców z innych stron? Z Katarzyną Bondą, polską Królową Kryminałów, która urodziła się w Białymstoku, a dorastała w Hajnówce, rozmawia Katarzyna Droga

Kasiu, mówisz czasem, że masz wschodnią duszę. Jesteś stąd, z Podlasia, chociaż już długo mieszkasz w Warszawie. Jak ta wschodnia dusza odzywa się w tobie – pisarce?

Pierwsze co mi się nasuwa, to duchowość i liryzm. Tak, także w twardych kryminałach, choćby rozgrywały się na industrialnym Śląsku czy na wietrznym Pomorzu. Podlasie niezaprzeczalnie jest terenem magicznym. Pod względem natury, religijności, wierzeń wszelakich, także zabobonów. A przez to, że znajduje się na krańcu kraju, oddalone od cyklonu zdarzeń, żyje się tam wolniej i jest zdecydowanie mniejsza anonimowość. Pochodzę z rejonu, gdzie ekumenizm był czymś tak naturalnym jak pory roku. To nie tylko tolerancja wobec inności, lecz stykanie się i mieszanie się darów, jakie niosą te religie oraz kultury. Czasami ludzie mówią mi komplementy, że czytając moje książki przenoszą się w inną krainę, zaś ilość wątków, postaci i wydarzeń, któ-

re wichrzą się ze sobą zanim opowieść dobiegnie końca przywodzi im na myśl ikony. To dla mnie największy zaszczyt, ponieważ ikony pisane są pod natchnieniem. I też powstały, by prości, niepiśmienni ludzie mogli słuchać historii. To nie są obrazy, to są opowiedziane historie. Sądzę, że wychowując się na skraju lasu, w takim miejscu jakim jest Podlasie, człowiek nie ma wyjścia i pielęgnuje swoją wyobraźnię, rozwija ją, a z wiekiem coraz bardziej docenia, rozumiejąc, że to nie moja zasługa, że te książki powstają, ale tego fundamentu, który został mi подарowany przez przodków.

Nasze tereny pojawiają się w twoich książkach. Kawał historii w *Okularniku*, teraz, w nowej książce *Balwierz*, akcja dzieje się w Narwi. Czy sądzisz, że miejsce, w którym się wyrosło wpływa na sposób pisania, wyobraźnię twórczą? Pisałabyś inaczej, gdybyś była z Tatr albo z Pomorza?

Tego nie wiem na pewno, ale sądzą, że byłabym mniej zainteresowana genezą zła, a bardziej akcją. Co nie znaczy, że

akcja i szybki montaż wydarzeń mnie nie interesuje – z biegiem lat nauczyłam się, czym tak naprawdę winien być porządny kryminał. Natomiast fakt, że pochodzę z Podlasia z pewnością sprawia, że łatwiej jest mi się wczuć w położenie drugiego człowieka, to jest chyba kwestia większej empatii, nie tyle współodczuwania, co postawienia się w pozycji bohatera – wejścia w jego buty. Kiedy mieszkasz w aglomeracji, jesteś bezpieczny i nikt raczej nie zagląda ci do okien. Znam ludzi z Warszawy, Nowego Jorku czy Paryża, którzy nie znają swoich sąsiadów kilka pięter wyżej, choć ci ludzie mieszkają obok siebie całe lata. To się nie uda w Hajnówce, a nawet w Białymstoku. W Narwi w ogóle jest wykluczone. Stąd te połączenia, niewidoczne nitki są dla mnie najbardziej inspirujące. A kiedy wychowujesz się w takim ciastnym klimacie, szybko uczysz się, że ludzie mają swoje tajemnice, kłamią, fałszują rzeczywistość, zwykle w szczytnych celach, by chronić dobre imię własne albo rodziny... Ale nie potrzebujesz szkoleń FBI, taktyk przesłuchań, poliografów czy innych technik, by odczyty-



© Anna Zofia Powierza

wać matactwa ludzi. A o tym są przecież wszystkie kryminały. Może zaryzykowałabym, że o tym – o sekretach ludzkiej duszy – są wszystkie doskonale książki, które poruszają nasze serca.

Wychowałaś się w Hajnówce, ale chciałaś uniknąć typowego życia kobiet z podlaskiego miasteczka. Wyjechałaś do Warszawy, poszłaś zupełnie inną ścieżką. Jak patrzysz na to z perspektywy czasu?

Nie chciałam być kobietą pod butem mężczyzny, który mówi ci, co masz robić, jak się ubierać, jak się zachowywać, mówić itd. To były trochę inne czasy. Od zawsze byłam wolnym duchem, buntow-

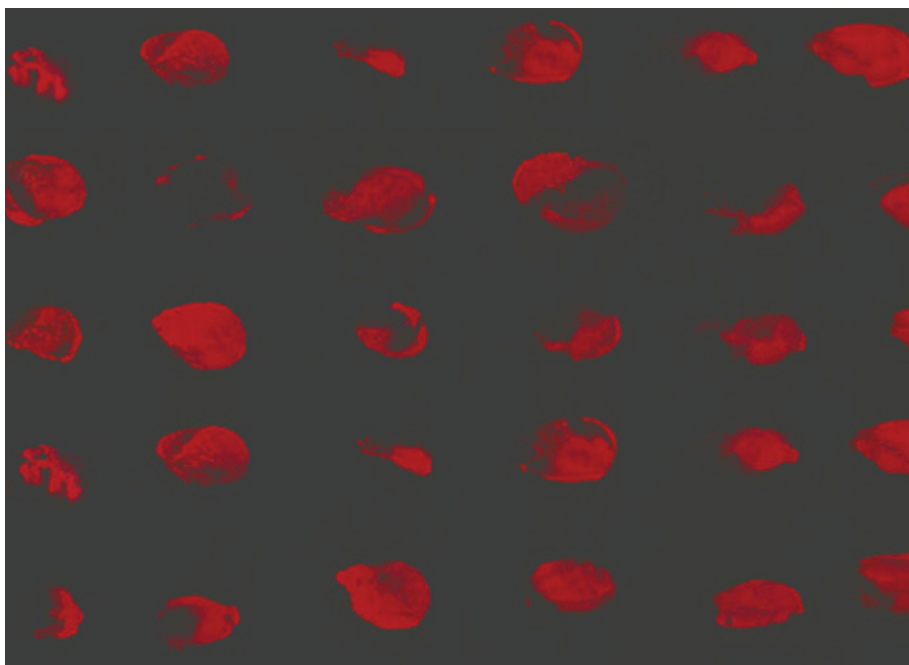
niczką. Moi rodzice bardzo się o mnie z tego powodu bali. Martwili się, że spotka mnie jakiś los ofiary z „997”, bo przecież w głowie im się nie mieściło, że ich grzeczna dziewczynka może żyć jak chce, chociaż od dziecka mnie na takie właśnie życie przygotowywali. Od piątego roku życia grałam na fortepianie, bo to był kontakt z wysoką kulturą, jeździłam na koncerty do filharmonii w całym kraju, a w tym czasie moje koleżanki nie wyściubiły nosa poza swoje miasteczko. Mama zawsze mówiła: lepiej sobie poczytaj, nie musisz umieć gotować, tego możesz się zawsze nauczyć... Więc czytałam, rozmawiałam z tatą o polityce i harcie ducha, grałam z nim w szachy, jeździłam na

ryby i rozkładałam zegarki albo robiliśmy pudełka z intarsji, co było dla mnie katorgą, ale nauczyło, że precyzja w pracy jest najważniejsza. W życiu za to precyzja nie jest konieczna i jedyne co trzeba, to nie bać się. Nigdy. Kiedy sobie teraz – jako matka 14-letniej córki – pomyślę, że pozawalali mi jeździć na koncerty rockowe, pod namiot, w góry, a nawet do Chin koleją transsyberyjską (nie było komórek, nie wszędzie były budki telefoniczne, listy szły miesiąc) to włos mi się na głowie jeży, a jednocześnie serce rozpuszcza, że tak bardzo mi ufali. Wiedzieli, że wrócę cała i zdrowa. Wiedzieli, że mam łeb na karku, nie wpadnę w kłopoty, nie podejmę błędnych decyzji. Mogli mnie przecież

zamknąć w domu, pozwalać chodzić na zabawy do remizy strażackiej albo na dechy pod dęb (takie były wtedy rozrywki) i zachęcać, bym szukała sobie męża, bo chcą szybko zostać dziadkami. A oni, no cóż, chowali mnie tak, jakby przygotowywali wojownika. Więc pewnego dnia ogłosiłam, że idę walczyć o siebie. Wiem, że oboje byli ze mnie dumni, bo nigdy nie oczekiwali, że spełnię ich marzenia o zwykłym, normalnym życiu. Pragnęli, bym zdobywała świat, bym cieszyła się swoim życiem i robiła to, co kocham. Najprawdopodobniej to właśnie było ich marzeniem, ale oboje byli dziećmi drugiej wojny światowej, ich młodość przebiegała w komunie. Nie mieli siły podskoczyć wyżej. Ja mogłam. To, kim dzisiaj jestem zawdzięczam ich hartowi ducha. Co wcale nie oznacza, że było różowo i idyllicznie. Jak się ma taką córkę i tradycyjną wielką rodzinę (patriarchalną!!!) to ciężko wyjaśnić dziadkom, ciotkom i wujkom na Podlasiu, dlaczego tak źle ją wychowali, że na przykład nie ma wciąż męża. A potem jeszcze nieślubne dziecko (olaboga!)

Balwierz. Jak ta historia przyszła do ciebie? Wiem, że inspiracją twoich książek są historie prawdziwe, które wyłapujesz z rzeczywistości, badasz, adaptujesz do książki. A jak było tym razem?

Pewien znajomy, nie mogę podać profesji, by go nie ujawnić, opowiedział mi w ramach anegdoty o zjawisku flebotomii, które we współczesnym świecie rodzice stosowali na swoim dziecku, by sprawić, by było grzeczne. Któregoś dnia ich synek tego zabiegu nie przeżył. Kurtyna. Czy przeszłabyś obojętnie obok takiej „anegdoty”? Byłam wstrząśnięta. Natychmiast zabrałam się do pracy. I, żeby było jasne, to się nie działo na Podlasiu. Wybrałam ten teren tylko i wy-



H. Adamska / PLSP w Supraślu

łącznie ze względu na obecność lasów. I z sentymentu.

Pisanie, jak mówisz, to praca i proces. Dokumentacja, badania, myślenie, potem dopiero zapis. Który etap jest dla ciebie kluczowy? Czemu nie mówisz o natchnieniu i talencie?

Teraz już nawet nie przygotowuję się tak wnikliwie jak kiedyś. Teraz się bawię. Zaczynam pisać, będę się nad pierwszymi scenami, a jak już zaskoczy to staram się tylko nadążyć nad bohaterami. Nigdy nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie fabuła. Miałam już różne etapy procesu twórczego. To cudowny zawód, można nieustannie się odradzać i wszystko cię zaskakuje, zapewne sama to dobrze wiesz, ale warto o tym mówić, by ludzie pisali. Jak najwięcej. A dlaczego nie mówię o talencie i natchnieniu? Talentu nie mam, ale mam jakiś rodzaj daru, który pozwala mi z daleka zobaczyć historię

i zanurzyć się w niej. Jaki jest efekt? Za każdym razem inny. Nie przejmuję się. Ale to nie jest poważne pisanie. To moje życie. Tak się oczyszczam, odradzam, znikam, powstaję i lubię to. To jedyna rzecz, której by mi brakowało na odosobnieniu czy w pustelni.

„W każdej powieści poszukuję uniwersalnej prawdy, archetypów, pokazuję ludzki los”. Uważasz, że zbrodnia jaskrawiej pokazuje prawdę o człowieku? Czy tylko o niektórych ludziach? Morderstwa są właściwie rzadkością w codzienności człowieka czy małych miasteczek...

Kryminały, bo w takich robię, to tylko baśnie, mity, historyjki, które mają nas relaksować, ale i prowokować do myślenia. Nie rozumowego, nie racjonalnego, lecz wydobywać z podświadomości nasze lęki, strachy, bóle, traumy. Człowiek w naturalny sposób stara się wszystko

schować, ukryć, uładzić. A to nie zawsze wychodzi mu na dobre. Pamiętam, kiedy rozmawiałam z matką, której córka popełniła samobójstwo. Powiedziałam jej, że uważam, iż nie mamy wpływu na innych, nawet jeśli jesteśmy rodzicami, czasami powinniśmy pozwolić dzieciom decydować, nawet gdy ich ścieżka wydaje się niebezpieczna lub kończy się tragedią. Rozwścieczyłam ją, zapalała nagłym gniewem i wykrzyczała: „Jak śmiesz odbierać mi moją rozpacz!”. To odpowiada dobitnie na twoje pytanie. Czasami nie chcemy wychodzić z naszego bagna, za bardzo się już do niego przyzwyczailiśmy, brak nam sił i po prostu lubimy cierpienie. Kryminał w jakiś magiczny sposób może wskazać drogę, a ponieważ nieczęsto stykamy się tak naprawdę ze zbrodnią, totalną niegodziwością, łatwiej nam sobie poradzić z małymi diabłkami, które się na nas czają w naszych małych życiach.

Jak myślisz, dlaczego ludzie tak lubią kryminały, historie przepel-

nione złem, zbrodnią? Bo przecież nie dlatego, żeby dowiedzieć się kto zabił. Przynajmniej nie tylko dlatego. Czego tam szukamy?

Rozrywki, odpoczynku, odkupienia win lub wybaczenia i odzyskania wiary w dobro. W tej kolejności.

Jak to jest z powieścią kryminalną, jest czy jej nie ma? Bo jeśli za utwór kryminalny uznamy „powieść mającą za przedmiot zbrodnię i ściganie jej sprawców” (Barańczak), to śmiało możemy wskazać kryminały Szekspira, Dostojewskiego, a i Król Edyp by się załapał. Z drugiej strony intuicyjnie wyodrębniamy nurt kryminalny w literaturze...

Kiedyś pisałam powieści kryminalne i tam było wszystko: wielki temat społeczny, głębokie osadzenie w terenie, wydarzenia mrozące krew w żyłach, humor, morał i happy end (nawet, jeśli zło było naprawdę złe, to szubrawiec został ujawniony, niekoniecznie ukarany). Te-

raz mam zabawę, by skupić się na samej zagadce. To jest kryminał. Książka do dentysty, do pociągu, na leżak. Taka, jaką czytasz z jeden dzień i dobrze się bawisz. Nie uważam, by Szekspir pisał kryminały. Siła ciężkości jest na kondycji ludzkiej, humanizmie, a nie na intrydze, na tym, by czytelnik wszedł w buty śledczego. Choć każdy autor powieści kryminalnych/kryminałów się nim inspiruje. Tak jak Biblią, Mitologią, Dostojewskim, czy grecką tragedią.

Królowa Kryminału właściwie nie pisze kryminałów, lecz... powieści psychologiczne. Do tego potrzebny ci był profiler, detektyw-psycholog? Czy rzecz tkwi w czymś innym?

Wszystkie powieści kryminalne są powieściami psychologicznymi. Pytanie ile tej psychologii jest, jak obliczanie cukru w cukrze. Bo może być to wersja wytrawna. Ja na przykład do tiramisu cukru nie dodaję wcale, a moi goście je uwielbiają.

KATARZYNA BONDA

– najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce. Jest autorką serii kryminalnej z Hubertem Meyerem (*Sprawa Niny Frank*, *Tylko martwi nie kłamią*, *Florystka*, *Nikt nie musi wiedzieć*, *Klatka dla niewinnych*, *Balwierz*), tetralogii z profilerką Saszą Załuską (*Pochłaniacz*, *Okularnik*, *Lampiony* i *Czerwony Pająk*), a także powieści kryminalnych inspirowanych prawdziwymi zdarzeniami *Miłość leczy rany* i *Miłość czyni dobrym*. Ma w dorobku również dokumenty kryminalne: *Polskie morderczynie* oraz *Zbrodnia niedoskonała* i *Motyw ukryty* napisane wspólnie z Bogdanem

Lachem. Książki Katarzyny Bondy sprzedały się w Polsce w nakładzie przekraczającym dwa i pół miliona egzemplarzy. Są wydawane w 16 krajach. Prawa do edycji zagranicznych zakupiły największe wydawnictwa na świecie, m.in. Hodder & Stoughton i Random House. Na podstawie *Lampionów* powstał serial *Żywioty Saszy* emitowany przez stację TVN. Prawa do adaptacji książki dokumentalnej *Polskie morderczynie* zakupiła Nordic Entertainment Group – serial fabularny będzie emitowany w Viaplay.

(źródło: www.katarzynabonda.pl)

Katarzyna Droga

Tajemnicza historia Agathy Christie

Klimat angielskiej, wiejskiej posiadłości (może być także plebania, Orient Express albo statek na Nilu). Doborowe towarzystwo dam i dżentelmenów, eleganckie stroje i wnętrza. Za chwilę wydarzy się zbrodnia, najpewniej za sprawą trucizny, ale sztylet zatopiony w głowie lub celne strzały będą jak najbardziej na miejscu. Tak, bo jesteśmy w świecie powieści Agathy Christie. Czytelnik został zaproszony do intelektualnej uczty: rozwiązania zagadki „kto zabił”. Szukamy w nastrojowym otoczeniu i z pomocą pana Poirot... lub miss Marple. Wyjaśnienie zwykle zaskakuje i kolejne pokolenia dają się wciągać w zasadzkę tego pisarstwa. 12 stycznia 2022 roku minie 46 lat od śmierci Agathy Christie, a jej książki wciąż są czytane, filmowane i uznawane za klasykę gatunku, ona sama za królową kryminału w skali światowej. Nic dziwnego: napisała ponad 90 powieści, nowel i sztuk teatralnych. Przetłumaczono je na 45 języków, a liczba egzemplarzy sprzedanych książek przekroczyła dwa miliardy. Według UNESCO twórczość Christie zajmuje trzecie miejsce w rankingu popularności światowych lektur: po *Biblii*

i dziełach Szekspira. Przedsiębiorstwo „Agatha Christie Ltd” to obecnie silna marka wydawnicza – prowadzi ją prawnuk pisarki James Prichard.

A zaczęło się w aptece

Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa Agatha Miller miała 24 lata. Młoda kobieta, która właściwie dopiero szukała swojej drogi życiowej, nawet nie śniła, że zwiąże życie z pisaniem powieści kryminalnych. Nie mogła też przewidzieć, że jej biografia będzie pełna dalekich podróży, a wielką pasją okaże się... archeologia.

Urodziła się w Ashfield w Torquay w hrabstwie Devon, w typowej wiktoriańskiej rodzinie, w której szanowany ojciec gra w krykieta w klubie dżentelmenów, a mama jest damą, wydaje przyjęcia, ale też panuje nad domem. Jako dziewczyna z dobrej rodziny, wychowywana była do zamążpójścia. Liczne ciotki wpajały jej do głowy prawdy z gatunku pamiętaj, że... „panna musi być zwiewna, delikatna i wrażliwa”, „w podróż nakładaj ładną bieliznę, bo zawsze może zdarzyć się wypadek”. Czy panna może pisać kryminały? Nie przysłoby to ciotkom do głowy. Pewnie samej Agacie także nie, przynajmniej nie w sensie zarobkowym, gdyby nie zakład z siostrą. Zaczytywały

się z Madge w przygodach Sherlocka Holmesa i Arsena Lupina. Pewnego wieczoru założyły się, która napisze lepsze opowiadanie kryminalne i od tej pory myśl kielkowała w głowie Agathy, panny małomówniej, kochającej liczby i matematykę, bo każde zadanie to inspirujący problem do rozwiązania.

Nadszedł rok 1914 i wielka wojna zmieniła wszystko. Przed wszystkim Agatha Miller została Agathą Christie, bo w grudniu wyszła za mąż za oficera lotnictwa Archibalda. Czasy wojenne, więc szybki ślub i pożegnanie, bo Archie wyjechał na wojnę, a Agatha podjęła ochotniczą pracę pielęgniarki w szpitalu i w aptece. Tu zafascynowały ją maści i mikstury, do tego stopnia, że postanowiła zostać farmaceutką. Jodoform i chlorek wapnia, płyny do przemywania ran, maści i czopki z masła kakaowego – stawała się mistrzynią laboratorium, a rodzina życzyła sobie czasem, by Aggie jadła w piwnicy, bo cuchnie po pracy. Ale trucizny inspirują: taka kurara, którą zatrutowano strzały, bo zabija tylko, gdy dostanie się do krwiobiegu... Arsenik, ten działa błyskawicznie! Po godzinach, kiedy siedziała sama w aptece na dyżurze, wspomniała dawny zakład i zaczęła pisać kryminał. Pośród aptecznych półek młoda farmaceutka wymyślała fabułę pierwszej książki: stara angielska siedziba Style, goście, tajemnicza śmierć



E. B. Maksimowicz / PLSP w Supraślu

właścicielki. W aptece zrodził się pedantyczny detektyw z wąsikami, Hercule Poirot. W Devon akurat gościli belgijscy uchodźcy i oni zainspirowali młodą panią Christie do stworzenia niepozornego Belga z wąsikami, obdarzonego wielką siłą dedukcji. W domu temat zbrodni nie zniknął, bo babcia Agathy, dama z lekką manią prześladowczą, kazała sobie czytać kronikę kryminalną: wszystko o przestępstwach w okolicy. Jadła tylko gotowane jajka, bo do takiego dania służba nie może dodać trucizny. Babcia miała też przenikliwy umysł i znała się na ludziach, dlatego ona właśnie stanie się pierwowzorem panny Marple. To w przyszłości. Na razie swoją pierwszą powieść Agatha Christie, zatytułowała *Tajemnicza historia w Styles* i postanowiła spróbować wydać. Odrzuciło ją pięć wydawnictw. Wysłała ją w końcu do londyńskiego Bodley Head i... zapomniała

o niej zupełnie, bo z wojny wrócił mąż i zaczęło się zwyczajne życie młodej rodziny, trapionej problemami finansowymi. Przyszła na świat córka Rosalind. Trzeba było zająć się domem. Agatha wzięła się z zapalem za gotowanie, ale pisanie i mieszanie trucizn wychodziło jej znacznie lepiej: nie potrafiła przyrządzić nic poza marynowanymi śledziami. W wirze spraw i wydatków telegram: Bodley Head chce wydać jej książkę! Angielska pani domu, która nad dziecięcym wózkiem w parku knuje kryminalne intrygi, nagle dostała propozycję publikacji powieści i opowiadań w „The Evening News”. I 500 funtów! Mimo że pierwszą umowę podpisała niekorzystną dla siebie, rynek podchwycił jej książki i wkrótce państwo Christie stanęli na nogi, zakupili automobil i zaczęli rozglądać się za domem. Archie uparł się, by kupić willę w Scotswood, blisko najlepszego

poła golfowego. Wybrał budynek drogi, wystawny i ze strumykiem w ogrodzie, niestety obarczony klątwą: poprzednich mieszkańców dotykały dramaty, bankructwa i rozstania. Któż by wierzył w klątwy! Nadali domostwu nazwę Styles na cześć pierwszej powieści Christie. A jednak zlej mocy starych domów lepiej nie lekceważyć.

Zagadka Agathy

Kariera pisarska Agathy Christie zaczęła rozwijać się, do tego stopnia, że uznała pisanie kryminałów za swój zawód. I nic więcej, żadne natchnienia czy wielka proza. Zmywając naczynia obmyślała fabuły, zaszywała się z maszyną do pisania w głębokich zakamarkach domu, a wydawcy tylko czekali na następne pozycje. Umowy podpisywała teraz bardzo korzystne, ale w życiu prywatnym układało się gorzej. W roku 1926 posypało się wszystko: zmarła matka, brat popadł w narkotyki, wydawca odrzucił książkę, a Archibald Christie zażądał rozwodu, bo pokochał inną kobietę. I wtedy nagle Agatha Christie znikła. W pewien grudniowy wieczór ucałowała Rosalind, po czym wsiadła do swojego samochodu i słuch po niej zaginął. Policja znalazła tylko porzucony wóz – morrissa cowleya na skraju wyrobiska kredy. Pisarki ani śladu. Szukała jej cała Anglia, nazwisko widniało na pierwszych stronach gazet. Co się stało? Wypadek? Mąż ją zabił? Popelniła samobójstwo? A może to taki chwyt reklamowy, bo teraz już wszyscy kupią jej najnowszą książkę? O pomoc poproszono samego Conana Doyle’a, twórcę Sherlocka Holmesa... Ale pisarka znalazła się wśród gości hotelu w Harrogate, gdzie zameldowała się pod nazwiskiem kochanki męża. Wersja oficjalna, jaką przyjęto, tłumaczy zdarzenie utratą

pamięci na skutek załamania nerwowego. Jej tajemnicą pozostanie, jak dotarła do hotelu i co zdarzyło się naprawdę. Niczego nie wyjaśniała, a incydent rzeczywiście rozślawił ją jeszcze bardziej i okazał się znakomita promocją.

Agatha Christie – rozwódka, rozgoryczona i osamotniona nie narzekała przynajmniej na brak pieniędzy. Kupiła sobie nowy dom w Londynie i wyruszyła

nawiał oświadczyńcy i 11 września 1930 roku, w Edynburgu, w tajemnicy przed mediami zakochani wzięli ślub. Od razu ruszyli na wykopaliska. Życie Agathy Mallowan zaczęło przypominać baśń z tysiąca i jednej nocy: buszowała po gwarnych targowiskach arabskich miast, pomagała przy znaleziskach, gdzie zasłynęła z nowatorskich pomysłów; do czyszczenia figurek używała swojego

wał następane powieści, które świat czyta z zapartym tchem. Co w nich takiego?

Nie myśli, lecz pomysły!

Być może kluczem popularności książek Agathy Christie było to, że nie uważała się za pisarkę, raczej za rzemieślniczkę, która dostarcza ludziom rozrywki. Nie silła się na filozofię i głębokie prawdy, raczej obmyślała precyzyjną intrygę i fabułę tak, by czytelnika zaskoczyć, ale i wciągnąć w rozwiązanie zagadki. Konstruowała powieści, które rozgrywały się w nastrojowym miejscu, pełnym tajemnic (zamek, willa, pociąg). Było to miejsce zbrodni, z klimatem i... zamknięte, odcinające od świata grupę ludzi, którzy automatycznie tworzyli krąg podejrzanych. Kto zabił – właścicielkę willi czy młodą milionerkę? Czytelnik ma ochotę sam rozwiązać tę zagadkę, więc pisarka podrzuca mu podpowiedzi, zwodzi, prowadzi, a kiedy już wydaje się, że rozwiązanie jest blisko, bezlitośnie rujnuje teorię nowym dowodem, niepodważalnym alibi. W jednym z wywiadów powiedziała: „Może w moich kryminałach nie ma głębokich myśli, ale jest dużo dramatycznych i przewrotnych pomysłów”. I niezapomniane postaci: detektyw Poirot, bystra, przenikliwa panna Marple. Oboje niepozorni, dużo lepsi w sztuce śledztwa od wykwalifikowanej policji. To oni demaskują mordercę i wtedy okazuje się, że od początku istniały poszlaki, wskazujące na tę postać. Czytelnicy z chęcią podchwycili grę, wydaje się, że sama pisarka też nieźle się bawiła... Lata trzydzieste zaowocowały siedemnastoma powieściami Agathy Christie, w tym tak lubianymi jak: *Śmierć Lorda Edgware'a*, *Morderstwo w Orient Expressie*, *Śmierć na Nilu*. Spokój rodziny zburzyła II wojna światowa. Max Mallo-



E. B. Maksimowicz / PLSP w Supraślu

w wymarzoną podróż na Bliski Wschód. Sama, luksusowym Orient Ekspressem, jakby z nadzieją na nowe życie. Słusznie – w Egipcie poznała Maxa Mallowana, przystojnego archeologa, który potrafił ją przekonać do małżeństwa, mimo że był sporo młodszy, był katolikiem, ona wyrosła w rodzinie anglikańskiej i nie chciała już wychodzić za mąż. Zmienił dla niej wyznanie, nie ustępował, po-

kremu do twarzy i cienkiego drutu do robótek. Miejsca inspirowały ją do książek, bywało też odwrotnie: kiedy pisała *Śmierć lorda Edgware*, ekipa znalazła kościotrupa – dostał imię nieszczęsnego lorda. Po powrocie do Anglii, kupili z Maxem piękny dom Sheffield Tarase. Tu po raz pierwszy urządziła sobie gabinet: własny pokój z biurkiem, pianinem i „fotelem leniwcem”. Tu będą powsta-

wan wyruszył na front – tu ciekawostka: był oficerem łącznikowym przy Polskim Zespole Myśliwskim. Agatha powróciła do pracy w szpitalu i aptece, zaciekawiona zmianami, jakie zaszły w farmakologii przez dwie dekady. W tym czasie napisała *Kurtynę*, książkę, którą kazała zamknąć w sejfie z zakazem publikacji póki żyje, zapewne dlatego, że w *Kurtynie* umiera Hercules Poirot. Jak twierdzi – trochę już miała go dość. Zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło pani Christie radość i łzy. Zginął jej zięć, musiała okazać wielkie wsparcie córce. Mąż szczęśliwie wrócił i otrzymał od królowej szlachecki tytuł. Od tej pory przysługiwał pisarce tytuł Lady Agathy Mallowan. Za to nazwisko Agathy Christie stało się marką znaną na całym świecie, a ona swoistą ambasadorką Wielkiej Brytanii. W swoich książkach rozślawiała angielską kulturę, mentalność i obyczaje nie gorzej niż wielki as dziewiętnastowiecznego realizmu Karol Dickens. Doceniła to królowa Elżbieta II, która pewnego dnia zaprosiła Lady Mallowan na wyuczajową herbatkę o siedemnastej. Agatha napisała w autobiografii, że było to jedno z najbardziej ekscytujących zdarzeń w jej życiu, porównywalne może z pierwszą jazdą samochodem. Bo ta ułożona, angielska paniusia w zakiecie, którą cały świat uważał za spokojną i surową, uwiel-



E. B. Maksimowicz / PLSP w Supraślu

biała prowadzić auto, surfować na falach oceanu, a za młodu tańczyła na balach do białego rana. Do końca życia lubiła podróżować. W całkiem zacnym wieku nadal wyjeżdżała z mężem na archeologiczne wyprawy do Afryki, wiele lat spędzili na wykopaliskach. Byli szczęśliwą parą, chociaż plotki głosiły, że sir Mallowan romansował z archeolożką Barbarą Parker, z którą zresztą wziął ślub po śmierci żony.

Być może pisarka przymykała na to oko, bo nie zniosłaby drugiego rozwodu. Byli z Maxem razem do końca, do smutnej chwili w styczniu 1976 roku, kiedy świat pożegnał Agathę Christie. Mistrzyni kryminału pozostawiła swoim wielbicielem takie przesłanie: „Kocham życie. Czasami byłam dziko, desperacko, gorzko nieśczęśliwa, ale jestem całkowicie pewna, że wielką sprawą jest po prostu żyć.”

KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczną. Współpracuje dziennikarsko z magazynami „Sens” i „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersy-

tetu Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 roku w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.

Katarzyna Droga

Rodzimym urok kryminału. Rzecz o książkach Joanny Chmielewskiej

Wszystko nas tu może spotkać: krokodyl z kraju Karoliny, szajka bez końca, studnie przodków... Rezolutne kobiety, pomysłowi mężczyźni i perfidni przestępcy. Wyścigi konne, szukanie bursztynów, żeglowanie, diamenty ukryte w księgach. Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy w szarej peerelowskiej rzeczywistości. A jesteśmy, bo ta autorka pisała w tych czasach i o tych czasach. Każdy kto czytał wie, kto nie czytał, ten jest „ślepa komenda”. Mam wyjaśnić? „Już się rozpędziłam!”... tak napisałaby Joanna Chmielewska. Ja wyjaśniam...

Zbrodnia za rogiem

Wydała ponad 6 milionów egzemplarzy książek w Polsce. Jeszcze więcej – bo koło ośmiu – w Rosji, gdzie jest ulubioną pisarką zagraniczną, podobnie jak w Czechach. Jej popularność w ojczyźnie dowodzi, że można być prorokiem we własnym kraju. Jak tego dokonać? Joannie Chmielewskiej, najbardziej poczytnej w Polsce autorce kryminałów,

udało się to bez zamierzonej strategii wydawniczej. Po prostu humorem i pomysłami trafiła w dobry czas i zapotrzebowanie czytelników. Działała intuicyjnie, od serca, zgodnie ze swoją żywiołową osobowością i własnym spojrzeniem na świat. Wywiady, których udzieliła i autobiografie, które napisała wskazują, że była spójna ze swoim powieściowym światem, a główne bohaterki – zwłaszcza Joannę, narratorkę wielu z nich – tworzyła na własne podobieństwo. Używała im swoich ciętych i ironicznych powiedzonek, stanowczej i dociekliwej natury, samodzielności, a nawet codziennych zmagania i dylematów. Na przykład: całe życie miała skłonność do nadwagi i walczyła z apetytem, po to by nie jeść deserów zaczęła palić... Raczej atrakcyjna, za swój słaby punkt uważała włosy: słabe, trudne do ułożenia, nie do pokazania światu bez specjalnych zabiegów. Takie motywy pojawiają się w jej książkach: Joanna w *Całym zdaniu nieboszczyka* nakłada perukę, by wyjść z domu i od tego zaczyna się niezły galimatias... Bohaterki zmagają się z dietą, rzucaniem palenia, z uwagami mamusi, jak wszystkie kobiety świata. Za to właśnie czytelniczki kochają Chmielewską. Bliskość z odbiorcą i wspólny świat za oknem jest

z pewnością jednym z kluczy popularności pisarki. Wszystko dzieje się niemal za rogiem, w miejscach, które znamy z codzienności lub z wakacji i w dodatku kobiecie prawie takiej samej jak my. Rozwiązywanie z nią zagadek kryminalnych sprawia frajdę. A zaradność i odwaga w działaniu pozwalają mieć nadzieję, że zawsze można coś wykombinować. Nawet w lochu pod zamkiem damy sobie radę. Jak wieczna i niepoprawna optymistka Chmielewska, która właściwie nazywała się całkiem inaczej.

Prywatnie: Irenka Becker

Joanna Chmielewska to pseudonim literacki, który sobie obrała decydując się na karierę pisarską. Urodziła się jako Irena Barbara Becker w roku 1932. Ojciec był dyrektorem banku, matka kobietą zdecydowaną i raczej umięającą stawiać na swoim. Wojnę Beckerowie przetrwali w Grójcu. W autobiografii Chmielewska pisze: „pochodziłam z domu silnych kobiet” i sama wyraźnie nie odstaje od rodu po kądzieli: kiedy rodzice chcą, by studiowała medycynę, ona wybiera architekturę. W czasach stalinowskich niełatwo zdać na taki kierunek, ale tu pomaga jej szczerość i pomysłowość. Te-

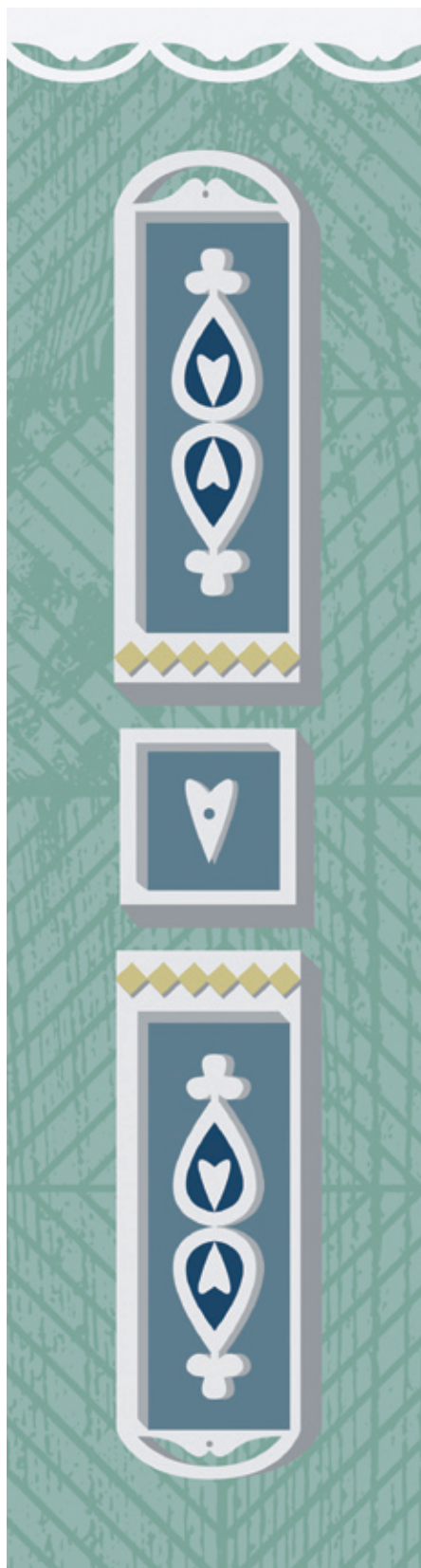


Z. Januszko / PLSP w Supraślu

Irena Kuhn została studentką architektury Politechniki Warszawskiej. Kuhn, bo była już wówczas mężatką, wyszła za mąż jako osoba osiemnastoletnia, a i macierzyństwo nie dało na siebie długo czekać. Oprócz architektury fascynowała ją archeologia. Obie pasje przydały się w pisaniu, które zdominowało jej zawodowe życie, chociaż pozornie ani archeologia ani architektura nie mają nic wspólnego z tworzeniem kryminałów. W zawodzie architektka pracowała ponad dekadę. W tym czasie urodziła drugiego syna. Związek silnej kobiety z tak samo silnym mężczyzną okazał się mieszkanką wybuchową, ale trwał póki była miłość. Kiedy mąż po jedenastu latach całkiem dobrego małżeństwa, zakochał się w innej kobiecie, nastąpił huczny rozwód, najpierw gorycz, potem poczucie wolności. Została z dwoma synami, Jerzym i Robertem. Nie była z pewnością matką nadopiekuńczą. Przyznała, że śniadanie zrobiła chłopcom tylko raz w życiu, sami musieli zadbać o to, by coś zjeść. O pranie, ubranie i zakupy też. Ona – pomijając naturę – po prostu nie miała na to czasu. Biegła do pracy, potem siedziała do świtu nad deską kreślarską. Aż przyszły lata sześćdziesiąte. Teraz ona się zakochała. Zaczęło się od tajemniczego telefonu i męskiego głosu w słuchawce. Mężczyzna dzwonił, a jej w głowie powstawały pomysły, jakie to tajemnice może ukrywać. Powstała z tego pierwsza książka pt. *Klin*. Podpisała się jako Joanna Chmielewska, imię wzięła z bierzmowania, nazwisko ciotecznej prababki i tak już zostało. *Klin* stał się cezurą w jej życiu. Zrozumiała, że chce i potrafi pisać, i to będzie robić. Wkrótce okazało się, że musi dokonać wyboru. Pani architekt Irka Kuhn czy pisarka Joanna Chmielewska? Postawiła na pisarkę. Był rok 1970.

mat pracy dotyczy koniecznych zmian technologicznych: „Mechanizacja pracy jako czynnik podniesienia stopy życiowej”. Irka napisała, co myślała, zwłaszcza, że znakomicie orientowała się w rzeczywistych potrzebach mecha-

zacji pracy. O planie sześcioletnim jako jedyna z kandydatów nie wspomniała słowem, z prostego powodu: nic o nim nie wiedziała... Na szczęście światło umysłu w komisji zapragnęły, by tak oryginalna dziewczyna studiowała. I tak



Z. Januszko / PLSP w Supraślu

Mistrzynie pomysłów

Długo lata mieszkała w dwupokojowym bloku na Powiślu, dopiero pod koniec XX wieku przeniosła się do domu pod Warszawą. Była więc świadkiem swojej epoki, przemiany obserwowała w stolicy. Polska na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nie należała do krajów ani wesołych, ani bogatych. Joanna Chmielewska jednakże z powodzeniem zmieniała je w wyobraźni ludzi w teren przygód i emocji. Przyjęto uznawać ją za autorkę kryminałów. Większość jej książek oparta jest o intrygę związaną z przestępstwem, bywa to morderstwo, przemyt, próba dobrania się do ukrytych w starych domach skarbów. Jest zagadka, jest motyw, narzędzie zbrodni, dowody, wreszcie sprawca. A jednak nie są to zupełnie klasyczne kryminały. Choćby dlatego, że przy każdym można się naprawdę uśmieć. Tło akcji jest nie tylko tłem, ma znaczenie i buduje nastrój: czy chodzi o bursztyny i rzecz rozgrywa się w Krynicy Morskiej, którą Chmielewska uwielbiała i często odwiedzała, czy w Danii albo na mazurskich jeziorach. To jej miejsca i jej tematy. Podobnie jak wyścigi konne, a także hazard – gry w ruletę czy jednorękiego bandytę nie były obce ani pisarce, ani ulubionym bohaterkom. Szalona jazda samochodem, Paryż, Kopenhaga, gdzie mieszkała jej przyjaciółka Alicja, a nawet daleka Libia, do której jedziemy z rodziną Chabrowiczów i ich psem Chabrem, bo i jak inaczej miałby się nazywać? Mogą być jeszcze dziewiętnastowieczne Indie i skradziony Buddzie diament – „proszę uprzejmie”, jak napisałaby autorka. Nawiedzony dom, zamek w Normandii, przedwojenny dworek. W kilku powieściach Chmielewska gra zmianą czasu i zestawia wiek dziewiętnasty i współ-

czesność: tak dzieje się w *Najstarszej prawnuczce* i w *Barierze czasu*. Przeniesienie się w epokach to także wdzięczny zabieg literacki i inspiracja do tropienia tajemnic. A przy tym tak wspaniale pokazuje, co się zmieniło, jak cudownie, że mamy szampon i toalety, a nie nocniki pod łóżkiem! A z drugiej strony – że tak niewiele się zmieniło... Miłość, zbrodnia, namiętności pozostają takie same. Smak przygody też, i tutaj będzie się działo, bo Joanna Chmielewska była mistrzynią pomysłów. Pytana skąd je bierze, odpowiadała: „A skąd mam brać i po co? Życie dostarcza tych rzeczy i to w ilościach przekraczających ludzką wytrzymałość”. Codziennosc z pewnością może być inspiracją, ale scenariusze wydarzeń swoim bohaterom pisze autorka. I potrafi nieźle zamieszać. Najlepszy przykład, to akcja jednej z bardzo lubianych powieści, *Cale zdanie nieboszczyka*. Bohaterka więziona w średniowiecznym lochu, wykopuje sobie tunel... pilnikiem do paznokci. Ponurego strażnika owijają wokół małego palca w zabawnych dialogach. Ucieka, ale to dopiero początek perypetii. Bo bohaterkom książek Chmielewskiej wciąż coś się przytrafia, i rzeczywiście ona sama także miała życiową skłonność do niespodziewanych przygód.

Zdystansowana optymistka

Książki Joanny Chmielewskiej dzielą się na pisane w pierwszej osobie – tu zwykle bohaterką, a zarazem narratorką jest Joanna, alter ego pisarki, bo nie tylko imię i zawód architekta ma spójne z autorką, także skłonność do popadania w tarapaty, język pełen ironii, humor i filozofię dystansu wobec świata. Drugi nurt to powieści pisane w trzeciej osobie, tradycyjną narracją przezroczystą.

Te mają powtarzalnych bohaterów: na przykład duet szalonych nastolatek Tereskę i Okrętkę, rodzeństwo Janeczkę i Pawelka z Chabrem, najmądrzejszym psem na świecie, siostry bliźniaczki z cyklu *Diament*. Pary oczywiście zbudowane są na zasadzie kontrastu i uzupełnień, i wciąż wplątują się – zwykle przypadkiem – w większą aferę. Główne bohaterki Chmielewskiej, pomijając, że zwykle urodziwe (czasem nieziemsko), inteligentne i wygadane, mają też swoje pasje, które przydają się w tropieniu przestępców. Może to być genialna znajomość historii (przydatna, bo daty jako kod zbrojczyków pojawiają się na tablicach rejestracyjnych aut), może to być niezwykła pamięć, która pozwala zapamiętać całe zdanie nieboszczyka, czyli najcenniejszą z możliwych informacji dla mafii. Geniusz językowy. Mistrzostwo kierownicy, brawurowa odwaga, a przy tym

cięty język. Mężczyźni pozostają nieco w tle, chociaż – ci pozytywni – są zwykle operatywni i zaradni, przy tym uczciwi i godni kochania. No i jest zaprzyjaźniona milicja! Oberwało się Chmielewskiej za sympatię do socjalistycznej milicji, ale trudno byłoby finalizować śledztwo bez organów ścigania. Z autobiografii wynika, że pisarka miała raczej dobre doświadczenia z funkcjonariuszami MO, zwłaszcza, że kontaktowała się z pionem śledczym w sprawach, w których ideologia nie odgrywała większej roli. Pisała więc „kryminały milicyjne”, ale kilka książek Joanny Chmielewskiej bardziej przypomina sagi rodzinne niż kryminały. To wspomniane: *Studnie przodków*, *Najstarsza prawnuczka*, *Diament*. Akcja biegnie przez kilka pokoleń i chociaż zwykle chodzi o rodzinny skarb – monety ukryte w ramach obrazów, klejnoty w tajnej komnacie, to obyczajowość

minionych epok, klimat szlacheckiego dworku ujmująco przekazany na przykład w pamiętniku panny Dominiki, stanowią wspaniałą kąsk dla czytelników rozkochanych w powieściach historycznych z nutą sensacji. W tych powieściach ważne są kobiety, silne tak jak w rodzinie pisarki, która zresztą używa nazwisk swoich przodków i nawiązuje do rodzinnej historii. Wnuczka zwykle jest podobna do babki, która ma w nosie wymagania i konwenanse epoki. Czyta się o ich refleksjach, filozofii, strojach, potrawach i obyczajach znakomicie. A że czasem po drodze zdarza się kościotrup w zapadni pod schodami albo zbrodzień zaplątany w przemyt bursztynu, to tylko potwierdza, że jesteśmy w tym świecie u siebie w domu. Na tym polega rodzinny urok prozy Joanny Chmielewskiej.



KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczczyzną. Współpracuje dziennikarsko z magazynami „Sens” i „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu

Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 roku w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Jerzy Binkowski

Wuja – boli mnie krzyż

Dwunastu

lat nie miał gdy jechał na jawie
trzymając w pół z tylnego siedzenia
stryja w drodze z Rzadkowa do Wielunia
coraz bliżej Częstochowy w początku
lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku
aby posłuchać fanfar hymnu na odsłonięcie
obrazu Kobiety z dwiema szramami na twarzy

Patrzyła na uwijającego się chłopca w komży
od *Introibo ad altare Dei*... poprzez przeniesienie
mszału z prawej na lewą stronę i podanie ampulek
oraz polanie wody po palcach stryja *Suscipiat Dominus
sacrificium de manibus tuis ad laudem et gloriam nominis sui
ad utilitatem quoque nostram totiusque Ecclesiae suae sanctae*
po końcowe *Dominus vobiscum Et cum spiritutuo Ite missa est*
a wszystko w zapachu aniołów piwonii i floksów

Droga do Niepokalanej w Niepokalanowie na jawie
kończyła się przed bratem Gabrielem furtianem
który pamiętał brata Maksymiliana z brodą i w okularkach
specja także od straży pożarnej z dzwonem na górze auta
ale najjaskrawiej został w nozdrzach chłopca smród pokostu
który snuł się jak dym spalonych ciał i nie pozwalał zasnąć
a potem już nic nie pamiętał z rannego biegania po Niepokalanowie
gdzie powinna mu się ukazać Niepokalana z dwiema koronami
Warszawę na jawie pokonali z poczuciem cudu że przejechali
kierując się na wschód w stronę przedwojennych Baranowicz
jednak wcześniej dotarli do białego strzelistego kościoła Rocha
w Białymstoku przy ulicy Lipowej stała kopulasta świątynia
którą miał nazywać w przyszłości cerkwią świętego Mikołaja
z białą jak biały bez brodą pop zaprosił przejezdnych do wnętrza
ileż tam było złota a ikony rozjaśniały zmęczoną twarz chłopca
patrzącego na inny kształt krzyża świętego i odmienne żegnanie

Trudno opowiedzieć chłopcu jak dojechali do Białowieży
a potem już była granica tego co polskie i tego co dalej
gdzie zostały Baranowicze z kapitanem Kołodziejczukiem
mężem ciotki Melanii o którym nawet nie wiadomo że zginął
w Kuropatach czy Katyniu tylko wiadomo że go nie ma
więc chłopiec modlił się w polskim kościele w Białowieży
za tych zamordowanych daleko i blisko na wschodzie
aby już nigdy pycha nie była macochą nienawiści

Jak wrócili do kościoła Matki Boskiej Anielskiej w Rządzkowie
chłopiec nie pamiętał czy to jawa była a może sen tylko
jedno jest pewne że dzisiaj jadąc samochodem odmawia różaniec
a stryjowi szepcze dotąd na ucho jakby z tylnego siedzenia jawy

– Wuj – boli mnie krzyż

Ballada trofimowska

*Dni człowieka są jak trawa,
Kwitnie jak kwiat na polu;
ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma,
i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje.*

Ps. 106

Jak trawy mijane w oku pędzą
tak domy stoją skruszone

Pani Leokadia Sieńko żona Joachima
przechowuje w sieni papierówki kosztele i pamięć

Gienio Sołyjan w blaskach czeremchy
śpiewa pobożnie przy trumnach sąsiadów

Za rowem Stasieluk Henryk z gromadką Stasieluków
do roboty w polu został Wiesio – jeden z bliźniaków

Romek Rozmysłowicz pędzi krowy piaszczystymi drózkami
gdzie – krzyczy odważnie – gdzie leziesz – słyszą okoliczni

Stach Dyśko chłop samotny jak tutejsza lipa ogromna
rozmawia z Henrykiem Kolosą o młócce starą damfą

Olimpia Kamińszczanka gotuje mężowi szczawiową zupę
cieszy oko biały obrus i buteleczka miodowej nalewki

Pszczoly odziedziczył Henio po Józefie Kamińskim
ule na basach swych skrzydeł wyśpiewują psalmy w sadzie

I tak trwa tęsknota za domem wśród kwitnących łąk na wieki

Trofimówka – kolonia.

Zaduszki – Underground

Nie możemy na to patrzeć
mówią umarli z cmentarza w Janowie koło Sokółki

Mamy wielką ochotę ocenić i skorzystamy z prawa do milczenia
mówią umarli z cmentarza w Janowie koło Sokółki

Naszym krzykiem zdumienia pozostaje cisza jak rozpacz wielka
mówią umarli z cmentarza w Janowie koło Sokółki

Najważniejsze aby najważniejsze było najważniejsze
mówią chłopcy na cmentarzu w Janowie koło Sokółki



JERZY BINKOWSKI

– poeta, psycholog, reżyser teatralny. Autor m.in. *Kantaty Przemienienia* (2014), *Totus Tuus – CałyM Twój* (2016), *Złoty ciężar snu* (2018), *Wiejska ballada* (2020).

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Marek Górniewicz

wyspa Nadzieja

wyszłaś z morza
w porcelanowym porcie
na tle strzelistej bazylii
spały lawendowe koty

tamburyny
witały wędrowców
spragnieni
sączyli nagość

słońce
odmieniało uśmiech przez przypadki
w oknach
krystaliczne fale
zmywały niebiański błękit

w spakowanej walizce
kolejna podróż
i białe łódeczki z papieru

na mokro (Praga)

najpierw był przewodnik
kilka kartek dalej
Praga ociemniała
zwisła z nieba
słońce grzebało się w chmurach
na dzień dobry

jestem tu przejazdem
mam swoją ławkę
i ciepły termos
na moście Karola

deszcz rozlał się po ulicach
w wilgotnym powietrzu
drżał pierwszy tramwaj

kilka parasoli dalej
szukałem pustego hostelu
i skrawka suchego poranka
ze śniadaniem w cenie

stacja Hołówki Duże

obłok
zdmuchnął trzykrotnie
potem był wiatr
rozwieszony motyl
urwał się z cienia chabrów

kilka kropel dalej
deszcz odmawiał litanie
pijani dzielili kieliszek
na czworo
życie odbiło się echem

na kocich ogonkach
zagubione ścieżki
tu mruczy każda chwila
na pustym peronie
chybocze się ostatni wagon



MAREK GÓRYNOWICZ

– rocznik 1967, urodzony w Białymstoku. Hybryda czasów analogowych i cyfrowych, zodiakalny bliźniak – są tacy, którzy mówią, że to wiele wyjaśnia. Z zamiłowania: podróżnik, marzyciel, czasem poeta. Z konieczności: pracownik, konsument, minimalista. Mieszka na styku miasta i wsi, między torami i lasem. Lubi lubić, czasem to wystarcza i jest OK!

fot. Mona Al-Kaber

ks. Kamil Dąbrowski

Połysiał świat

połysiał świat
krzyże w oknach siwieją mrozem
kominy krztuszą się sadzą
nie będę krył
rzecz ma się nocnie

zegary zmieniają przedziały
na drugą klasę
kawki na penicylinie
tak na wszelki wypadek
do tego straż miejska zamyka psy
za fizjologię

na rozdrożu kapliczki
czkają nadzieją
na odwilż
w domach pod pierzyną
stawiają pasjanse ku wiośnie

a noc?
noc, ma się dobrze

Myszy

Myszy są tutaj pobożniejsze
codziennie o poranku
klękają przed tabernakulum.

W adwent skubią wieniec
aby nie kłuł Dzieciątka
na dzień narodzin.

W Popielec są szare jak popiół
więc nie widać, że weszły w pokutę
ich lewa łapka, nie wie, co czyni prawa.

W Wielkanoc żegnają się z kościołem
by udać się na pola.
One dokładnie wiedzą, co to znaczy:
ora et labora.

Regularnie przychodzą na majowe
skubną co nieco i znowu do pracy,
bo zima wbrew pozorom niedaleko.

Na Boże Ciało nie budują ołtarzy
ale dziękują Bogu przy każdym
za chleb powszedni, co spada ze stołu.

Październik to różaniec
koraliki, które pospadały z nieba
aby odszukać pogubionych.
Wiadomo lepiej być w kościele
niż marznąć na dworze.
Mysz wie, że Matka zawsze doda otuchy
nawet jak zrobili cię na szaro.

„To wszystko widziałem w Majewie
małym jak myszka
ale tutaj bardziej widać Największego”.

Pokora

Najpiękniejsza muzyka,
to czysta matematyka.
Niepewna jak teoria Einsteina.

Ósemki, ćwiartki, nieraz krzyżyki.
Hieroglify dla słonia,
a szczygiel łyka je w mig
i śpiewa lepiej niż Pavarotti.

Pod korcem emocji schowane ciągi liczb,
które słyszysz i jesteś w niebie.

Dziękujesz za dźwięki,
a zapominasz, że to tylko owoc logiki.

Cóż jabłko zawsze było ważniejsze od jabłoni.

Męczeństwo nie zawsze musi być czerwone jak barszcz.
Często jest szare niczym mysz
i chude jak cień.
Bez mikroskopu – niezauważalne.

Codzienne umieranie jest trudniejsze, niż to ostatnie.



KS. KAMIL DĄBROWSKI

– kapłan Archidiecezji Białostockiej. Odpowiedzialny za Białostocką Szkołę Nowej Ewangelizacji oraz Chrześcijańskie Centrum Ewangelizacji w Białymstoku. Lubi czytać książki oraz komiksy. Miłośnik dobrej kawy i kotów. Autor kilku książek oraz tomiku poezji *Niedojrzale wiersze*.

fot. archiwum Autora

Janina Osewska

Ogród

Kiedy miałam osiem miesięcy,
zabrałaś mnie, babciu, do ogrodu.
Uczyłaś rozróżniania przez dotyk
igieł jałowców i tui, które uwalniały swoją woń
za każdym poruszeniem.
Nie wiedziałam, co to jest zapach i jak
wciągać go w nozdrza.
Patrzyłam jak to robisz i zapamiętywałam.
Kiedy chciałam zjeść owoce cisu,
odwracałaś moją uwagę ku ziemi,
gdzie mogłam ćwiczyć się w zrywaniu
trawy i stokrotek.
Dziwiła mnie nieodwracalność moich dokonań
i mnogość płatków, które spadały jak nieznane mi gwiazdy.
Wtedy po raz pierwszy wypowiedziałam słowo „kwiaty”,
wskazując na stokrotki.

Schody

Kiedy zaczęłam chodzić,
nauczyłaś mnie wspinaczki po schodach.
Pokonywałam stopień za stopniem,
a ty mówiłaś: brawo, idź dalej, dasz radę,
ćwicz się w podążaniu za marzeniami.
Trudniej było schodzić tyłem
jak rak, którego jeszcze nie poznałam.

Z każdego stopnia widać było coś innego:
radio, okno, kota śpiącego na parapecie,
zegar, obraz, lampę, fotel, stół.
Jeszcze nie nazywam tego, co widzę – ale rozróżniam.
Nie wolno mi tylko oglądać się za siebie, bo to grozi
upadkiem.
Nie wiem, co to jest upadek.
Mówisz, że ma wiele znaczeń.

JANINA OSEWSKA

– poetka, fotografka, animatorka życia literackiego, wydawca. Opublikowała sześć tomów wierszy. Ostatnio *Niebieska chwila* (2017) i *Jaśnienia* (2020), które były nominowane do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz” w kategorii „Orfeusz Mazurski” oraz otrzymały wyróżnienie kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego. Jej wiersze były tłumaczone na wiele języków obcych, a wiersz pt. *Kobieta w sukience zapinanej z tyłu na guziki* doczekał się przekładów na piętnaście. Publikowała w polskich piśmiech literackich oraz w USA, Australii, na Litwie, Ukrainie, w Turcji, Mongolii, Czechach, Libanie, Indiach, Serbii, na Węgrzech. Nagradzana w USA (2004, 2005),

Irlandii (2015), Libanie (2019), Indiach (2019), Argentynie (2020, 2021), Turcji (2021). Otrzymała nagrodę Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu (2020), Marszałka Województwa Podlaskiego (2020) oraz tytuł Ambasadora Augustowa (2021).

Prowadzi Kawiarenkę Literacką i towarzyszący jej Konkurs Jednego Wiersza (KJW). Założyła Fundację Słowo i Obraz, której jest prezesem. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Academia Europaea Sarbieviana, The World Academy of Art and Culture i jest członkiem honorowym Maison Naman pour la Culture w Libanie. Urodziła się i mieszka w Augustowie.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol



Hubert Czarnocki

Nie ustawałeś w płonięciu
nieśmiały płomyku.

Ziemia jest końcem
dla drżących powiewów,
więc wreszcie
zrobisz w sobie
miejsce na niego.

On cię otworzy
jednym oddechem.



R. W. Jaroszewicz / PLSP w Supraślu

HUBERT CZARNOCKI

– urodzony w 1980 roku w Radziniu Podlaskim. Ukończył polonistykę na KUL-u i Akademię Fotografii. Wiersze publikował m.in. w „Toposie”, „artPapierze”, „Kresach”, „Portrecie”, „Cogito”, „Czasie Literatury”, „Perspektywach”, „Arkadii”, „Frazie”, „Helikopterze”, „Migotaniach”, „Wyspie”, „Elewatorze”, na stronie internetowej „Odry” i w „Dwutygodniku”. Laureat m.in. Ogólnopolskiego

Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego i Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Michała Kajki. W 2008 roku nominowany do Nagrody Żurawie w kategorii słowo. Autor e-booka *Jasność* (2008) tomików: *Wolania* (2009), *Opowieść* (2011), *Tropy* (2015) i *Oddech światła* (2018). Pracował jako nauczyciel, fotograf, dziennikarz radiowy i prezenter. Obecnie wykonuje działalność lektorską.

Marcin Stachelski

Resurrectio

Znalazłem nasze miejsce, lecz to inna łąka,
dlatego żółty dywan mnisi zwijam w nasiona.
I wybieram je kolejno z wgłębień rojnej ziemi,
by rzucić wysoko, w słoneczne przestrzenie.

Materia zgęszcza się kolicie w popielaty puch,
ponownie chwytam łodyżki nad linią twoich
nagich bioder, już na tej samej łące,
którą kazałaś mi dobrze zapamiętać.

Teraz rozchyłasz usta, robisz to znów –
gasisz dmuchawce.

MARCIN STACHELSKI

– urodzony w 1987 r. w Kolnie, obecnie mieszka w Płońsku. Absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książki historycznej *Duchy czy nieznana siła?* poświęconej dziejom XIX-wiecznej parapsychologii

na ziemiach polskich (2013) oraz książki poetyckiej *Porżnięte Trzewia Niebios* (2021). Publikował na łamach „Helikoptera”, „Akantu”, „Tygodnika Ciechanowskiego”, „Czwartego Wymiaru” i „Nieznanego Świata”.



R. W. Jaroszewicz / PLSP w Supraślu

Maria Gładyszewska

Przedświt

Poranna zorza
 wypuściła różową wstążkę światła
 na ciemny granat nieba
 dołożyła błękitu i złota
 na ramy młodym obłokom
 co bieleją leciutkie i puchate
 żeglując z tchnieniem wiatru
 Pokazał się rąbek Słońca
 brzask nowego dnia
 pomarańczowo-radosna
 smuga oczekiwania
 z mroku wyłania się krajobraz
 i rozjaśniają się ciemności
 Jutrzenka już
 oświetliła gładkie pnie brzoź
 obudziła śpiącą mgłę
 co wstaje z wilgotnej trawy
 i rozdziela rzedniejącą noc
 Spod nóg stąpających bezgłośnie zwierząt
 podnoszą się główki ziół i trawa
 a gałęzie strzepują nadmiar wody
 po kropli
 Za chwilę wszędzie słońce
 i przeniknie cały świat
 jednym błyskiem zgasi kolory zorzy
 rozlewając swą jasność
 w którą nie sposób spojrzeć

Więc nie bądź jak słońce
 bądź jak świt który rozjaśnia
 nie czyniąc szkody
 nie spopielając

MARIA GŁADYSZEWSKA

– urodzona w 1965 r. Z wykształcenia nauczycielka muzyki i oligofrenopeda-
 gog. Z zamiłowania obserwatorka przy-
 rody, japońskich ogrodów i krajobrazów.
 Czasami po prostu musi pisać. Najczę-
 ściej „do szuflady”.

Regina Kantarska-Koper

gdy tylko poczuję zapach skoszonej trawy
między pudełkami miejskich bloków –
przenoszę się w lata dzieciństwa na wsi

jakże wolna byłam tam i wtedy!

bezkresna przestrzeń łąk i pól
pod bezpieczną kopułą nieba
przyjazna rzeczka pełna nenufarów

i mój eden – jabłoniowy sad
ogród różany

rankiem w środku lata nagle zapachniało jesienią
jakby późny sierpień wdarł się w lipcowy upał
śpiesząc do obfitych jesiennych plonów
a na horyzoncie majaczy wizja martwej zimy

plączą mi się pory życia myślą pokolenia
ciało deformuje przetacza historia
i tylko psyche wcale się nie zmienia

Zaprezentowane utwory
pochodzą z tomu *Wiersze
codzienne* (Białystok 2021)



REGINA KANTARSKA-KOPER

– emerytowana rusycystka, terapeutka, poetka. Pisze także prozę, recenzje i maluje. Członek Związku Literatów Polskich i Nauczycielskiego Klubu Literackiego. Wydała dziesięć indywidualnych tomików i trzy jako współautorka, posiada liczne publikacje w prasie i wydawnictwach zbiorowych, w tym za granicą (w Wielkiej Brytanii, USA oraz w In-

diach). Tłumaczona na esperanto, angielski i telugu. Redaktor antologii dla dzieci *Czarowny świat wierszy*, współredaktor serii poetyckiej – rocznika *Kajety Starobojarskie* oraz kilkunastu antologii i książek poetyckich. Zajmuje się także pracą korektorską, uczestniczy w jury konkursów literackich.

fol. Justyna Sawczuk

Edyta Ślęczka Poskrobko

Jesienny spacer

Staję się częścią lasu
Zaatakowane zmysły
Węchu
Wzroku
Słuchu
Kapitulują przed jego potęgą

Tulę się
Do pachnącej intensywnie ziemi
Pełnej złota
I małych żuczków
Czekam chłonąc...
Aż do bólu jesiennego słońca
Ogrzewającego się ciepłem
Mego serca

Czekam aż urośnie mi
Sierść
I dopiero chłód rozbierając mnie
Przypomina
Że jestem...
Człowiekiem

Szanta

Zstępuje w głąb przeszłości
szukając korzeni
odrzuconej skiby
rozczochranych grzywek jabłonek
przecież Kresy to kraina ziemi
a znajduje miasta
umarłych poziomek
Grzebie gorączkowo
w przeszłości kamieniach
Wilno, Lwów, Sambor wylania się z mroków
i pasiasta sukienka prababki
spływa ze zdjęcia na pokój
zstępuje w głąb przeszłości
szukając korzeni
miejskie dziecko – nie łąkę ale chodnik widzi
chodnik po mieczu
chodnik po kądzieli
– tęskniąc do lanu zboża
w urodzajnej ziemi

Zaprezentowane utwory

pochodzą z tomu

Rozmawiałam z drzewem

(Białystok 2021)

EDYTA ŚLĘCZKA POSKROBKO

– poetka i opowiadaczka białostocka. Sty-
pendystka Ministra Kultury Dziedzictwa
Narodowego i Sportu w 2021 r. Z wy-
kształcenia pedagog wczesnoszkolny. Au-
torka książek dla dzieci, w tym: *Opowieści
Magdusi*, *Opowieści z muzeum*, *Miłośnik*,
Gwiazdnik, *Podróż na księżyc*. Publikowa-
ła na łamach: „Jachtingu”, „Gońca Kreso-
wego”, „Pamięci i trwania”, nieregularnika
„Epea. Pismo literackie”.
Tworzy instalacje poetyckie, współpra-
cowała z rzeźbiarzem Dionizym Purta

oraz astrofotografem Szymonem Dy-
kiertem i międzynarodową grupą ar-
tystów „Złota Linia”, tworząc wystawy
z wierszem współlistniejącym w prze-
strzeni wystawienniczej rzeźby, malar-
stwa i fotografii. Ma w dorobku mono-
dramy: *Pieśni pragnienia*, *Moi mężczyźni*,
Monodram tramwajowy. W 2021 r. uka-
zał się jej tom poetycki *Rozmawiałam
z drzewem*, wydany przez Książnicę
Podlaską im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku.

Katarzyna Dominik

Czas migrujący

Podniosłam z bruku wiek
zbitkę przypadkowych liczb
podczas eksmisji stąd
i z meldunkiem tam

dla innych zawsze – dla siebie
zero matematyczne

chwyciłam odruchowo
kilka cyfr pesel

reszta i szpargały
to tamto i może
adres nieczytelny

pod ławką obierki po jabłku
skóra na piszczelach
której wiatr cieniem
stojąc jak słup soli
podpierając ścianę
stroję się w cierpliwość

KATARZYNA DOMINIK

– urodzona w 1982 roku. Historyk, publicystka, pisarka, poetka. Laureatka konkursów literackich i fotograficznych. Propagatorka i ambasadorka DKMS Bazy Dawców Komórek Macierzystych Polska. Animatorka lokalnej kultury i krzewicielka regionalnej tradycji. Działaczka Stowarzyszenia Pacjentów Po Przeszczepie Szpiku Kostnego w Katowicach oraz Fundacji Lokujemy w Dobro, członkini Myślenickiej Grupy Literackiej „Tilia”, Klubu Literackiego „Rubikon”, Zrzeszenia Literatów Polskich im. Jana Pawła II w Chicago. W 2021 r. laureatka nagrody Burmistrza Gminy i Miasta Dobczyce w dziedzinie kultury oraz nagrody za twórczość dobczyckich artystów „Dobczycki Laur Poetycki”.

Wierzy, że każdy nowy dzień to kolejna szansa na lepsze życie. To „dziewczyna z są-

siedztwa” – zawsze uśmiechnięta, wiecznie w drodze, z plecakiem na ramieniu. Przyjaciele poeci nazywają ją Haską (Halszką), Haliną Poświatowską XXI wieku.

Autorka licznych publikacji naukowych i historycznych. Swoją przygodę z poezją zaczęła od wydania tomiku zatytułowanego *Dobczyckiej poezji czar – wiersze zebrane* (2012). W kolejnych latach wydała: *Kropla krwi – życia bezcenny dar* (2013), *Słowa zakłète w poezji...* (2014), *Moje Eldorado* (2016), *Nie umykaj...* (2016), *Droga do Emaus* (2017), *Są słowa* (2017), *Elizjum* (2018), *Exodus – wewnętrzna emigracja* (2019), *Nowe Jeruzalem* (2020), *Język Babilonu* (2020), *Genezaret – niebo nad ziemią* (2021), *Genesis – na początku było Słowo* (2021).

fot. Marcin Kania/archiwum prywatne Autorki



Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

Most na rzece Kraj

gdy most nie łączy już lecz dzieli
to samotnieją brzegi rzeki

na jednym pas spalonej ziemi
na drugim niegdysiejsze śniegi

po między nimi martwa rzeka
i śnięte ryby w mętnej wodzie

nikt na nikogo tu nie czeka
na drugą stronę nikt nie chodzi

nic się nie zacznie wszystko kończy
nad mostem wisi martwa cisza

most który życie z życiem łączył
od śmierci śmierć oddziela dzisiaj

RYSZARD „SIDOR” SIDORKIEWICZ



– urodzony w 1959 roku w Częstochowie, mieszka w jurajskim Olsztynie. Filolog, pedagog. Założyciel i prezes Janowskiego Klubu Literackiego. Członek Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Debiutował wierszem w 1978 r. na łamach miesięcznika „Nurt”. Wiersze, tłumaczenia, recenzje, szkice publikował w prasie (m.in. na łamach „Akantu”, „Aspektów Filozoficzno-Prozatorskich”, „Bezkresu”, „Dekady Literackiej”, „Forum Myśli Wolnej”, „Galerii”, „Gazety Kulturalnej”, „Hybrydy”, „Krytyki Literackiej”, „Literata Krakowskiego”, „Nowych Myśli”, „Poezji dzisiaj”, „Strony

Czynnej”, „Suplementu”, „Własnym Głosem”) oraz w wielu antologiach i almanachach. Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich. Wyróżniony m.in.: Nagrodą Starosty Częstochowskiego, tytułem Regionalny Mistrz Mowy Polskiej, Nagrodą Prezydenta Miasta Częstochowy, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej. Opublikował czternaście tomów poetyckich, ostatnio: *Ruchome obrazy (wiarą, nadzieją, miłość)* (2019) i *Wiersze rozproszone* (2021).

fot. archiwum prywatne Autora

Paweł Gorszewski

Akademik

Największą czułością darzyłam
 karaluchy, bo pomimo studenckich
 szczerych chęci, starań i świeżej wątroby
 to one prowadziły najbardziej bujne
 nocne życie towarzyskie.
 Seks odchodził w najróżniejszych miejscach,
 za lodówką, w mikrofalówce,
 w odkurzaczu pożyczanym z portierni.
 W zasadzie można było podziwiać ich kosmopolityczną
 umiejętność pokojowego przekraczania granic.
 Były u Moniki, co się za grubo maluje,
 u chłopaków handlujących alkoholem,
 typa z siódemki co jara
 i Beaty, o której mówiono, że jest łatwa,
 ale z drugiej strony
 innym zbyt łatwo przychodziło mówienie o tym.
 Markowi powiedziałam, że raczej nic z tego nie będzie,
 bo byliśmy już trochę razem i zdążyłam się
 zorientować, że na pewno.
 Podszedł do lodówki bez słowa
 i zabrał to, co kiedyś wniósł do naszego związku,
 jako gwarancja chwilowego dobrobytu,
 a nawet, jeżeli dobrze by gospodarzyć,
 zabezpieczenie przyszłości.
 Informatycy to ciekawe zjawisko w kulturze masowej,
 a trochę mniej w fotelu psychoterapeuty.
 Po tym jak wygrał konkurs na maksymalne
 podkręcenie wydajności procesora,
 obkładając go mrożonymi mielonymi,
 uznałam, że z tym dobrobytem i przyszłością
 nie żartował,
 ale było już za późno.
 Karaluchy dotrzymywały mi towarzystwa
 do czwartego roku.
 Potem weszliśmy do Unii Europejskiej
 i zniknęły.

Powietrze

Ta odwaga czy nadwaga
 przekraczania granic,
 może zwykły nawyk,
 kompulsja, wymyk
 spod praw fizycznych,
 prawnych czy biologicznych
 zawsze brała górę,
 rysowała postać mocną
 w oczach innych,
 a tak kruchą i bezradną jak w lustrze.
 Respirator syczy i szumi,
 w słone płuca tłoczy dzień,
 biejących spraw cienie,
 rachunki i inne pierdoły
 takie tam życie, nie życie.
 Według procedur powinni
 Odłączać, co jakiś czas,
 i sprawdzać czy powrót
 jest jeszcze interesujący,
 że jednak to miała być
 wycieczka z biletem w obie strony.
 Niektórzy jednak nie wracają,
 zostawiają mieszkania, żony
 i rachunki za prąd,
 i wiodą życie prostsze,
 w przestrzeni leków przeciwbólowych
 i środków zwiotczających
 Chociaż zakładam, że bardzo zdziwieni,
 że tak można.
 Zaskoczeni, że tak niewiele trzeba
 i że pewnych spraw nie da się
 odkręcić tak łatwo,
 jak zaworu
 z tlenem



Matteo Vivona / PLSP w Supraślu

PAWEŁ GORSZEWSKI



– pedagog, logopeda. Wydał zbiory opowiadań: *Szelest Szarości* (2004) i *Niecierpiące zwłoki* (2009). Opowiadania publikował w antologiach współczesnych polskich opowiadań (2011, 2014, 2017). Laureat nagrody specjalnej XII Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Lirycznej im. Andrzeja Babaryki „Świat niedopowiedziany” w ramach XIV Festiwalu Puls Literatury w Łodzi (2020), laureat Turnieju Jednego Wiersza, organizowanego przez Operę i Filharmonię Podlaską (2013), laureat

XXI Konkursu im. Marka Hłaski w Chorzowie (2013) oraz konkursów literackich „Prosto z serca” im. Ireny Misztal w Ełku (2008, 2009), wyróżniony w Konkursie Małych Form Prozatorskich Wrzenie. Stypendysta Prezydenta Miasta Białegostoku w 2009 roku, Laureat Nagrody Przewodniczącego Rady Miasta Białegostok dla Nauczycieli Animatorów Kultury w 2012 roku. Publikował w „Bluszczu”, „Czasie Kultury”, almanachu „Epea”, „Ekspresie Białostockim”.

fol. Małgorzata Pastorczyk-Gorszewska

Barbara Noworolska

Białystok 1970

Białystok budzi się
Miętko
Spowity w perkale
Przeciąga autobusami
Przez Warszawską Lipową
I Antoniuk
Z wieży melodia
Prząśniczek zagania prządki
O nogach znaczonych
Mapą żył sinych
Do krosien i farbiarni
Białka rumieni się
Ze wstydu
Albo błękitem
Konkuruje z niebem
Słońce trzepie poduchy obłoków
Lub odpoczywa na dachu ratusza
W zapachu kawy i dialogach o sztuce
Już południe.

Łomża

Fala w błękicie
Wynosi księżyc
Na krawędź wzgórza
Woń tymianku kołysze
Dzwony Panienek

Dłonie gotyku
Rozmodlone macierzanką
Dźwiękiem Gilgamesza
Płyną w obłoczne dmuchawce

W spłowiłym nimbie południa
Historia
Kołysze legendy
Pachnące piołunem
I miętą...

Zaprezentowane utwory
pochodzą z tomu *Łąki*
zielone (Białystok 2021)

BARBARA NOWOROLSKA

– urodzona w 1938 r. w Szopienicach. W 1961 r. ukończyła Uniwersytet Jagielloński. Długo lata pracowała w Muzeum Okręgowym, a następnie jako wykładowca na Uniwersytecie w Białymstoku, wówczas Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Przez pięć lat prowadziła audycje literackie wrogłośni Polskiego Radia w Białymstoku, emitowane też na antenie ogólnopolskiej. Publikowała recenzje i eseje w „Kontra-

stach”, „Poezji”, „Białostockim Informatorze Kulturalnym”. „Gazeta Współczesna” w latach 80. drukowała jej cykl legend podlaskich. Publikowała także w „Gońcu Kresowym”, almanachu „Epea”. Wydała książki naukowe: *Orzeszkowa. Trwanie, pamięć, historia, Mecenatek artystyczny Branickich, Kultura literacka Podlasia*. Opracowała do druku felietony Anny Markowej. Obecnie hoduje jabłonie.

Małgorzata Dobkowska

I NIC

wgryzam się do pestek
do imentu do środka
niszczę wszechświat jabłka
– nawet robaczka

MOTYL

w leśnym uroczysku
biały papierek
tu też zajrzała
cywilizacja

ROZTERKI PIGMALIONA

wyhodować materię
ogarnąć opanować ją
nadać kierunek
rozruch
co z duszą

SALAMANDRA

nowy zimny dzień
zamiast szybki słońca
płonącego pieca
przemiany

OBECNOŚĆ

drobne ślady lisów
małe niespodzianki
zakłócona błękitność
śniegu

ISTOT(NOŚĆ)

odnajdywać siebie
w wielu miejscach
rzeczach
szukać wspólnego
– mianownika
wieloznaczności

Utwory z cyklu
„Brewerie”



MAŁGORZATA DOBKOWSKA

– białostoczanka, poetka, bibliotekarz. O powyższej prezentacji mówi: Mam zbiór, kolekcję, która ciągle, falami się rozszerza. Na razie zawiera w sobie m.in.: ponad 300 „haiku słowiańskich”, „własnej roboty”, jak jeszcze jakąś setkę krótkich form, zwanych przeze mnie „breweriami”.

Znajdują się wśród nich teksty mające od dwóch do sześciu (lub też i więcej...) wersów + tytuły. Całość zatytułowałam „HAIKU i inne brewerie”. Wcześniej prezentowałam kilka „haiku”, obecnie pragnę Państwu pokazać fragmenty najnowszych „brewerii”.

fot. Bogumiła Maleszewska-Orsztol

Irena Świerżyńska

W drodze za chlebem

Skąd jesteś
gdzie śpisz i jaka jest twoja poduszka

w gromadzie słyszałeś głos z nieba
był nam – dostatek tamtego chleba.

Z tej samej Ziemi
dwie różne miary
i kto podzielił
te same dusze rosły wśród skał
tylko za płotem już obcy
i moje
na górze
drugi – nie nasz – strzelaj i bij
przez lata śpiewa w kałuży.

A – dziecko rośnie w pyłe wrogości
przez lata całe ćwiczone
nie umie
nie czuje
nie wie – że można zgodę budować
i bliski sąsiad pomoże.

Dzisiaj na polu obcym wśród drzew
zimno i nogi w błocie
i dzięgi

dzwonią w obcej kieszeni

został ci los – Judasza.

Grudy kłują tak samo i tu kamień
płaski przy drodze
gdzie
znajdziesz ciepło i próg.

Na polu zostanie smak gorzki

i dobroć się buja
na włosku.



A. Cwalińska / PLSP Supraśl

Z poezją ...

Tu człowiek
i tu druga trzecia i czwarta dusza
dziś chodzi i mruży

na jednej Ziemi to samo słońce
i kij na pół podzielony.

Tylko poezja
przenosi doliny uniesie z kąta ciemnego
nuta nie ma zagrody
pod nieba płynie
przykryje bagna i druty.

Zatrzymaj oko
posłuchaj – jak gra

poezja ...

natury woń niesie
i motyl ma swoje
i pszczoła nektarem słodzi i bąk
zostawi żądło za progiem

ktoś – musi sprzątać w tym gaju.

I już jest lepiej i góra słyszy
i człowiek – może
już widzi w drugim człowieka

o – tak

poezja pomoże i tu
i tam za miedzą

Utwory nagrodzone w VII
edycji konkursu „Srebro nie
Złoto” Nagrodą Specjalną
Książnicy Podlaskiej
im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku



IRENA ŚWIERŻYŃSKA

– urodzona w 1951 r. w Fastach. Przez 25 lat pracowała w przychodni jako pielęgniarka, a przez ostatnich 10 lat jako pielęgniarka szkolna, otwarta na potrzeby szkolnej braci. Samotnie wychowała troje dzieci. Dusza artystyczna – projektuje i szyje suknie ślubne.

Pisze od sześciu lat. Wydała dwa tomiki wierszy: *Znajdziesz swą duszę* (2017) oraz *Poezja i niebo niesie* (2021).

Fot. archiwum prywatne Autorki

Norbert Grzegorz Kościeszka

Baba Wanda

... Podlasie, mała wioska Studzianki, II Rzeczpospolita Polska, tuż po oddaniu bolszewikom Białostoczczyzny przez wojska III Rzeszy...

– Wo Imia Otca, i Syna, i Swiataho Ducha¹ – obecni w izbie przeżegnali się byle jak, jeden po drugim kreślili znak krzyża na zielonych gimnastorkach² – Amiń.

– Amiń – powtórzyli zebrani pod nosem, spoglądając spode łba podejrzliwie jeden na drugiego. Przecież donos któregoś z nich mógł posłać pozostałych na kilka ciężkich lat katorgi na daleką i mroźną Syberię.

– Boże, miłostiw budi mnie hriesznomu³. – Starowina stojąca nad drewnianym łóżem odmawiała dalej modlitwę, kiwając się przy tym na boki. – Hospodri, Iisusie Christie, Synie Bożyj, molitw radi Prieczistyja Twojeja Matierie i wsiech swiatych, pomiluj nas⁴. – Zebrani w kącie żołnierze NKWD⁵ z trwogą patrzyli na odmawiającą pacierz kobietę. – Amiń – dodała, po czym znów wszyscy niechętnie powtórzyli za nią.

Na łożu leżał ich dowódca, podpułkownik Michaił Beria, bratanek Ławrientija Berii. Żołnierze przywieźli go tutaj aż z Grodna. Dwa dni temu, w środku nocy, w ich tymczasowej kwaterze, którą był budynek po polskiej policji, zbudził ich krzyk towarzysza Berii. Znalaziono go w jego kancelarii na wpół przytomnego, mającego coś o Babie Wandzie ze Studzianek. Majaczył, gorączkował i wzywał popa⁶...

Sprowadzony lekarz nic nie wskórał. Wyciągnięty z aresztu pop, prześwicił podpułkownika i także nie pomógł. Obaj natychmiast zostali zesłani na Kołymę⁷. Babę Wandę odnaleziono przypadkiem. Z więzienia w Grodnie wypuszczano komunistów zamkniętych przez Polaków, jeden z nich powiedział, że jest ze Studzianek koło Białegostoku, a zapytany o Babę, odpowiedział, że ją zna. Natychmiast przewieziono tam młodego Berię i odszukano staruchę. Czas był najwyższy, bo dowódca zapadł w śpiączkę i nie reagował na żadne bodźce.

– Co ona za czary odprawia nad towarzyszem? – szepnął lejtnant⁸ do Borysa. Tak miał na imię więzień, który sprowadził ich do tej wsi. – Jeśli Michaił umrze – spojrzał na chłopca z grozą w oczach i pociągnął palcem po szyi – jego wujek nie będzie miał dla nas litości. Nas na

¹ W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, Amen.

² Gimnastorka – tradycyjna rosyjska bluza mundurowa w formie smocku z rzędem guzików sięgającym od szyi do okolic pasa.

³ Boże bądź miłościw mnie grzesznemu.

⁴ Panie Jezu Chryste, Synu Boży, przez modlitwy Przeczystej Twej Matki, i wszystkich świętych, zmiłuj się nad nami. Amen.

⁵ NKWD – Narodnyj komissariat wnutriennich dzieł, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, centralny organ władz bezpieczeństwa w sowieckiej Rosji i ZSRR.

⁶ Pop – określenie kapłana w Cerkwi prawosławnej i w Kościołach wschodnich, dawniej używane także wobec księży rzymskokatolickich. Obecnie pop to duchowny, ksiądz prawosławny lub grekokatolicki.

⁷ Kołyma – potoczne określenie największej grupy obozów pracy przymusowej na północnym wschodzie ZSRR (obwód magadański). Nazwa pochodzi od położenia w dorzeczu Kołymy.

⁸ Lejtnant – porucznik.



K. Błachowska / PLSP w Supraślu

ra w jego wielkich łapach wyglądała jak zabawka. Baba Wanda odebrała ją z rąk swego pomagiera. Wyjęła z butelki korek, przechyliła butlę do ust i pociągnęła spory łyk. Zabełtała w ustach, podniosła rękę w górę i szybko opuściła w kierunku leżącego, w tym samym czasie wypływając zebrany w buzi płyn wprost na twarz chorego.

Zebrani w pomieszczeniu żołnierze wciągnęli głęboko powietrze, sięgnęli szybko do kabur, ale i tym razem starucha wyprzedziła ich ruch. Jej ręka przeleciała w powietrzu, przecinając je ze świstem. Dłonie żołdatów⁹ zamarły w połowie drogi do broni. Zastygli z przerażenia, nie wiedzieli co się dzieje...

Baba Wanda spojrzała na leżącego, jej twarz odmieniła się. Widać było na niej zdziwienie, a nawet pewne zakłopotanie, może nawet lęk. Płyn, który wypłynęła w twarz leżącego, nawet nie zmoczył kosmyka jego włosów. Całość rozbryznięła się wokół jego głowy i zmoczyła pościel, na której leżał.

Starucha podrapała się z zakłopotaniem po siwych włosach, spojrzała na wielkiego pomocnika. Podeszła do niego i zajrzała do sporych rozmiarów kosza, który trzymał. Zaczęła przerzucać różne butelki, buteleczki, woreczki, słoiczki i wiązki ziół...

– Nie ma?! – Spojrzała na Miskę. – Nu kładi¹⁰ kosz i leti¹¹, prynieś¹² mnie Ducha Puszczy¹³, ino wartko¹⁴.

stryczek, a waszą wioskę puści z dymem, tak że kamień na kamieniu nie zostanie.

Chłop spojrzał na niego ze zdziwieniem, po czym nachylił się do porucznika i zaczął szeptać.

– Jeśli ktoś ma mu pomóc, to tylko ona – pokazał palcem w kierunku modlącej się baby. – Ona tu znana, ani Polaki, ani Niemce, ani nawet wy jej nie ruszy...

Baba Wanda jakby słyszała o czym mówią, spojrzała na nich groźnie. Siwe krzaczaste brwi poruszyły się, niebieskie jak niebo oczy przekłuły ich na wylot, aż oblali się obaj zimnym potem. Orli nos poruszył się, a wąskie usta wyszeptały w ich kierunku kilka słów, po czym zaniemówili. Nie wiedzieli, czy to z przerażenia, czy z innej przyczyny, nie mogli wydobyć z siebie dźwięku ani ruszyć się.

Starucha splunęła im pod nogi, po czym obróciła głowę i spojrzała na wielkiego mężczyznę w baranym kozuchu, który z nią przyszedł.

– Miszka, podej mnie wody święconej.

Wielki jak dąb chłop, o barach szerokich jak brama od stodoły, wyjął z wiklinowego koszyka glinianą butelkę, któ-

⁹ Żołdat – żołnierz, nazwa potoczna żołnierzy rosyjskich, raczej pogardliwa.

¹⁰ Kładi – kładź.

¹¹ Leti – leć, biegnij.

¹² Prynieś – przynieś.

¹³ Duch Puszczy – „magiczny” napój, zwany też samogonem, znany i ceniony w całej Polsce i za granicą, pędzony przez Podlasian podczas pełni księżyca, alkohol (bimber, okowita) produkowany nielegalnie przez miejscową ludność.

¹⁴ Ino wartko – szybko.

Tym razem, to wielkolud podrapał się po wielkim jak dynia łbie. Ze zdziwieniem patrzył na babę.

– No, jak matka każe – odstawił kosz na podłogę i przeszedł pomiędzy zdziwionymi, przerażonymi i unieruchomionymi żołnierzami tak delikatnie, jak baletnica z carskiego baletu. Zatrzasnął drzwi chałupy za sobą, tak by nikt nie zaglądał do środka, bo gapiów na ulicy zebrało się już dość sporo.

Tymczasem Wanda przyciągnęła do łóżka drewniany zydeł i siadła na nim, spoglądając z troską na całkiem przystojną twarz bolszewickiego oficera NKWD. Czerwono-niebieska czapka leżała na wezgielciu wraz z odpiętym pasem i oficerską torbą, w której znajdował się radziecki pistolet TT. Mężczyzna ubrany był w gimnastorkę, czarne bryczesy i długie oficerki w takim samym kolorze na nogach.

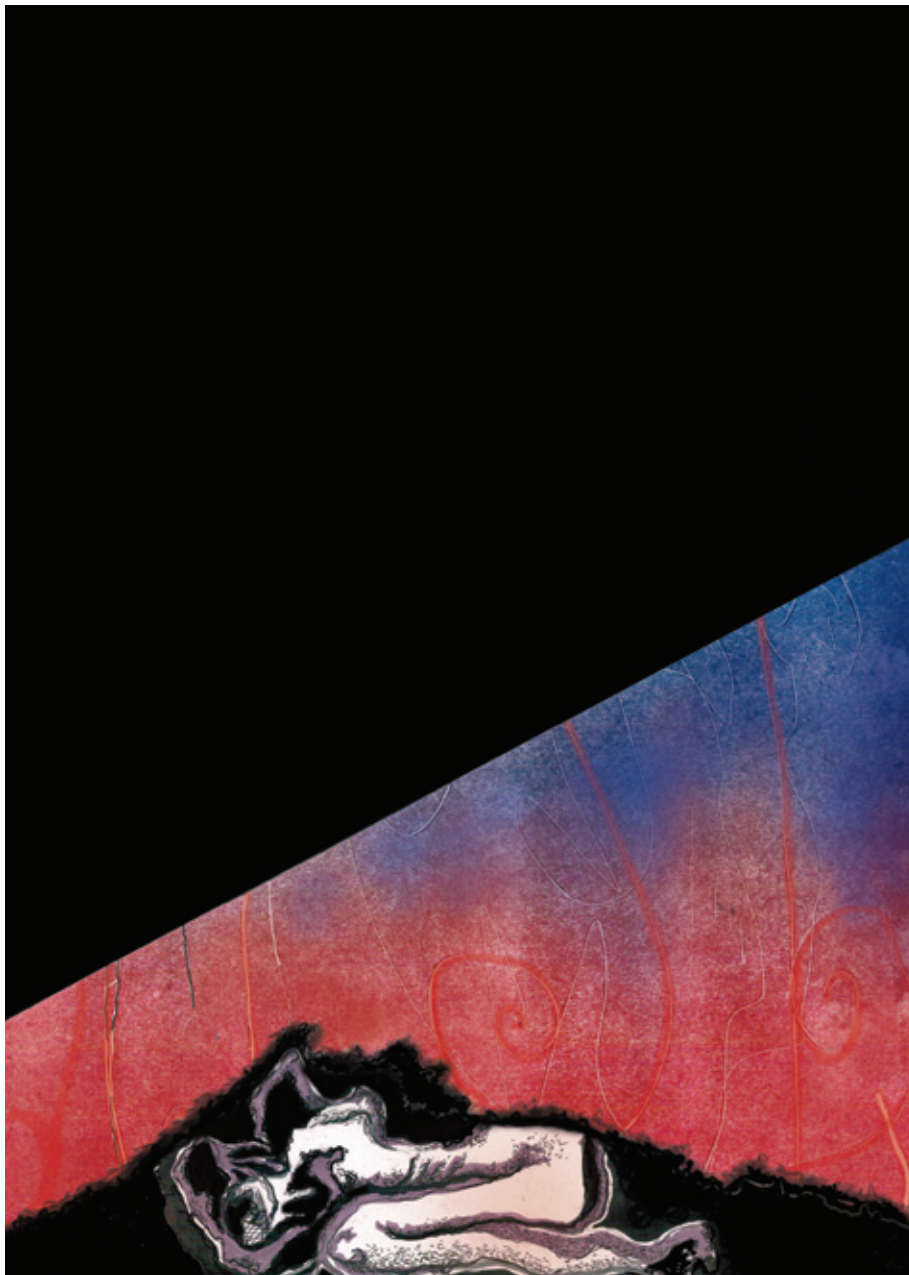
– No i nadział żeś się nieboraku, na lackiej ziemi na diabła ślachcica – nagle oczy jej zabłysły – Boruta! Ty żeś to?!

Leżący drgnął, otworzył ślepią i spojrzał na nią...

Wanda zerwała się z szybkością o jaką nikt by jej nie podejrzewał, zydeł poleciał w tył, padając pod nogi komunisty Borysa i lejtnanta.

– A żeby cię, tfu, tfu, po trzykroć tfu – splunęła przez lewe ramię – na psa urok – rzuciła się do kosza stojącego na ziemi.

Szybko wywaliła z niego zawartość i wyjęła małe lniane zawiniątko. Tymczasem leżący zaczął się rzucać na łożu, usiłując przy tym usiąść. Na ten widok starucha szybkim ruchem w kierunku chorego sygnęła niewielką ilością białego proszku z zawiniątko. Ten wzdrzgnął się, wydał z siebie nieokreślony jęk i padł z powrotem na łożo. Baba już stała nad nim i sypała po kilka szczypt



K. Błachowska / PLSP w Supraślu

z lnianego zawiniątko wokoło podpułkownika. Jego oczy śledziły każdy jej ruch...

Starucha stanęła.

– A co tak ślipa wybałuszasz? A paszół do piekła!

– Wanda! – Głos jak z za grobu wydobyl się z gardła leżącego. – A ty mnie

poznała, a? – brązowe oczy młodego Bery spoglądały na babę.

– Poznała, poznała – starucha podniosła przewrócony stółek – dlatego kazala ja Miszce po twego ulubionego duszka polecieć.

– Twój? Miejscowy? Czy z innej wsi? – dopytywał.

– Mój, mój, nie bój się – baba poklepała leżącego po ramieniu. – Nie otruję ja ciebie – zaśmiała się. – A skażi¹⁵ ty mi mój drogi, pacziem¹⁶ ty ciało tego nieboraka zabrał?

– Zabił młynarza pod Grodnem, a młynarz pod mą ochroną był! – opowiadał Boruta, zamknięty w ciele enkawudzisty. – Tom i się wściekł – leżący podskoczył na pościeli. – Ciało sobie chciałem przywłaszczyć, ale jakiś mizerota on, zaraz osłabł, popa wzywał – ponownie rzucił się na łożu.

– Leży, leży, nie nada się wściekać.

– Jak żem wszedł w jego ciało, to zobaczyłem, żem blisko ciebie, duszko. Tęskno mi było do ciebie. – Oczy leżącego zaszklify się, a wyraz twarzy złagodniał. – Przecie z Grodna do Białegostoku, to niewiele i do Studzianek mus było mi cię odwie...

– Zabroniłam! – przerwała. – Było, minęło, stare dzieje. – Oczy Wandy posmutniały. – Karę mam...

– Wiem duszko, wiem... – W brązowych ślepiach zaśniły diabelskie ognie. – A pamiętasz, jak biegaliśmy nago, tu niedaleko – skinął głową – nad rzeką, no jak się ona nazywała...

– Boruta, ty stary capie, durny ty, jak nie wiem co, hi hi – zaśmiała się pod nosem baba. – Sprząśła, rzeka nazywa się nadal Sprząśła, choć miejscowi mówią na nią coraz częściej Supraśl, czasem Supraślanka. – Baba się zadumała. – Mnie już nie takie harce z diabłem wyprawiać, stara już jestem – pokazała ręką od góry do dołu – zwiędły kwiat, mus mi iść do krainy demonów.

– Ja cię widzę taką, jak przed laty, Wando...

Stojący w izbie znieruchomiali żołnierze i komunista, mogli tylko wymieniać między sobą przerażone spojrzenia. Nie mogli się ruszyć, nie mogli uciec, a to

co widzieli i słyszeli przepelniło ich serca grozą. Jeden z żołnierzy, gdy tylko usłyszał głos Boruty popuścił w spodnie. Ci krwiożerczy siepacze Stalina nie bali się nikogo i niczego, ale na głos dobiegający z piekła zerwaliby się do ucieczki, gdyby tylko mogli. Jednak jakieś nieznanne im czary trzymały ich w tym miejscu, gdzie czuli siarkę...

Drzwi do chałupy otworzyły się, a do izby wpadło trochę powietrza z podwórza, po czym stanął w nich Miszka i natychmiast zamknął.

– Mój ci on? – zapytał diabeł.

Wanda spojrzała w oczy leżącego

– A nie wiesz?

Ten pokiwał przecząco głową.

– Otoczyłaś się zakłęciami, chronią cię leśne bóstwa, aniołowie i ich pan, nie wiem, duszko – powiedział diabeł zasmucony. – Nawet teraz sypiesz wokół solą święc...

– Nie mogę powiedzieć – szepnęła mu do ucha i położyła swą pomarszczoną dłoń na czole Berii – ale masz go chronić tak jak mnie chronieś!

Diabeł w ludzkim ciele skinął głową i spojrzał na wchodzącego do izby wielkoluda.

– Miszka, daj butelkę i dwa kubki.

Młody mężczyzna podał kobiecie dużą butelkę, którą przyniósł, a z półki wiszącej na jednej ze ścian zdjął dwa gliniane kubki. Wanda naląła do nich bursztynowego płynu, po czym skinęła głową na syna. Ten uniósł głowę leżącogo, a starucha przyłożyła kubek do jego ust. W mgnieniu oka cały płyn zniknął w jego gardle. Miszka położył jego głowę z powrotem na poduszce wypełnionej

sianem. Teraz baba wypila ze swego kubka do dna i wytarła usta rękawem.

– Dobry duszek – szepnął rozmarzony diabeł. Za chwilę spowaźniał jednak, spojrzał na Miszkę, a później na staruchę. – Zanim mnie odeślesz, Wando, musisz wiedzieć, że idą ciężkie czasy, bardzo ciężkie. Moi przełożeni planują wielkie rzeczy na ziemi, związane z nimi – oczami wskazała na bolszewików – i z tymi drugimi, co mają małego kaprala¹⁷ za wodza. Poproś o darowanie win, zostaw Miszkę, ja go ochro...

– Nie mogę – Wanda wzięła flaszkę w ręce i przyłożyła do ust podpułkownika.

– Czekaj, muszę prezent dla szefa – spojrzał na znieruchomiałych enkawudzistów – dusze mają czarne jak piekło, daj mi ich.

– Dobrze, ale zostaw kierowcę i komunistę, jeden musi odwieźć tego tu – dotknęła leżącego – do Grodna, a drugiemu zabierz mowę i pamięć, przyda mi się tutaj na miejscu.

– Dla Ciebie wszystko, duszko – odpowiedział Boruta, po czym szeroko otworzył usta.

– Poczekaj, mój złoty – uśmiechnęła się bezzębnie – wypiję jeszcze kubek za twe diabelskie zdrowie, za stare wesołe czasy.

Naląła z butelki do kubka, który opróżniła kilkoma łykami, po czym przechyliła butlę z samogonem do ust diabła, aż bąbelki poszły. Boruta pił łapczywie, olbrzymimi haustami aż zniknął cały bursztynowy płyn. Po chwili westchnęła głęboko, spojrzał na bolszewików, a oni jeden po drugim, bezładnie padali na ziemię, jak kukły. Tylko drewniana

¹⁵ Skażi – powiedz.

¹⁶ Pacziem – daczego.

¹⁷ Mały kapral – Adolf Hitler.

podłoga głucho zadudniła. Został jeden żołdat, stojący w kałuży moczu oraz komunista Borys, który zagryzł wargę do krwi, żeby nie zwariować.

Wanda wstała, Miszka podał jej zapaloną zapałkę, którą rzuciła na łożo. Wybuchnął płomień, który momentalnie zgasł. Z izby zniknęły ciała enkawudzystów, których dusze porwał Boruta.

Na łożu siedział podpułkownik NKWD Michaił Beria. Był przerażony, wszystko pamiętał, wszystko czuł i widział. Spojrzał teraz na staruchę i rozplakał się. Baba wzięła go w ramiona i zaczęła szeptać.

– Sława Tobie, Boże nasz, sława Tobie. Cariu Niebiesnyj, Utieszytielu, Dusze Istiny, Iże wiezdie syj i wsia ispolniajaj, Sokrowiszcze błaich i żyzni Podatielu, priidi i wsielisia w ny i oczисти ny ot wsia-kija skwieny i spasi Błaże duszy nasza. Swiatyj Boże, Swiatyj Kriepkij, Swiatyj Biezsmiertnyj, pomiluj nas. Sława Otcu, i Synu, i Swiatomu Duchu¹⁸ – uczyniła znak krzyża nad enkawudzystą – i nynie i prisno, i wo wieki wiekow. Amiin¹⁹.

¹⁸ Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie. Królu Niebios, Poczyszycielu, Duchu Prawdy, Który wszędzie jesteś i wszystko napelniasz, Skarbnico dóbr i życia Dawco, przyjdź i zamieszkaż w nas i oczyść nas od wszelkiej nieczystości i zbaw, dobry, dusze nasze. Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiluj się nad nami. Chwała Ojcu i Synowi, i Świętemu Duchowi. (Modlitwa w języku cerkiewnosłowiańskim pochodzi z Modlitwownika Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego, jest to modlitwa początkowa.)

¹⁹ I teraz, i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

²⁰ Naści – masz.

²¹ Dej mnie łodyjść – daj mi odejść.

²² Babrzysko – podmokłe, błotniste miejsce gdzie dziki lub jelenie korzystają z kąpieli błotnej. Inaczej brochowisko, kąpielisko.

²³ Szeptucha, szeptun, szeptuni (inaczej zwani także Wybrańcami, Uzdrowicielami, Czarownicami i Wiedźmami) – postacie na wpół mityczne, legendarne, obdarzone mocą uzdrawiania i leczenia ludzi. Na Podlasiu osoby obdarzone szacunkiem współmieszkańców, według wierzeń mogą parać się magią białą lub czarną.

²⁴ Leszy – w słowiańskich wierzeniach demon lasu, jego pan i władca zwierząt w nim żyjących. Czczony także jako demon dusz ludzi zmarłych.

²⁵ Wybrańcy – patrz szeptucha.

– Amiin – powtórzył Michaił i przeżegnał się, całując ją w rękę.

– Naści²⁰ tu krzyżyk – podała mu drewniany, malutki krzyż na rzemyku. – Noś go, a będzie cię chronił. Nie krzywdź ludzi ani naszych, ani swoich.

Podpułkownik wstał, założył pas, torbę i czerwono-niebieską czapkę z daszkiem.

– Saszka jedziemy – rzucił do jedynego żołnierza, który pozostał w izbie.

Baba Wanda ruszyła ręką i Saszka mógł się w końcu ruszyć. Natychmiast rzucił się z dzikim wyciem do drzwi za swoim dowódcą i wybiegł czym prędzej odpalić wojskową ciężarówkę ZIS-5. Komunista Borys padł na kolana na podłogę izby. Starucha podeszła do niego.

– Borys, Borys – złapała za podbródek komunistę i zadarła mu głowę do góry. – Borys – dodała po raz trzeci. – Nie będziesz mówił i nie będziesz pamiętał, co tu się zadziało, od dziś masz pilnować Studzianek. – Nad głową kłęzącego uczyniła kilka gestów, a ten padł zemdłony na ziemię.

Po chwili oboje z Miszką wyszli na ulicę. Zebrani pod chałupą ludzie natychmiast zrobili im miejsce. Z respektem i przerażaniem patrzyli na staruchę. Wiedzieli, że jeszcze przed chwilą warzyły się w tej chacie losy ich wsi. Widzieli, że do środka wchodzi dwunastu enkawudzystów w tym jeden na noszach, komunista i Baba Wanda z synem.

Chatę opuścili tylko dwaj bolszewicy, Borys leżał zemdłony na podłodze izby, z której śmierzdziało siarką i zgnilizną, a starucha z synem stali przed nimi i spoglądali w niebo...

Wrześnie słońce nad wsią już zachodziło, było czerwone jak krew.

– Cinżkie czasy idą, Miszka, cinżkie...

Ludzie podbiegali do szeptuchy i całowali jej dłonie, szepcząc modlitwy i prosząc o jej błogosławieństwo...

– Dej mnie łodyjść²¹ – pośród szumu starych dębów, jesionów, klonów i innych puszczańskich drzew, przebijał się wyraźnie cienki, kobiecy głos.

Kilka łosi i małe stadko saren spoglądało ciekawie w stronę, skąd dobiegały dźwięki.

Przy niewielkim babrzysku²² u stóp potężnego głazu, za którym znajdowało się sporych rozmiarów wzniesienie, kłęzczała w błocie kobieta w szarej sukni. Jej długie, siwe włosy spływały na ramiona.

– Szeptucho²³, ty nigdzie nie odejdiesz – ten głos szumiał jak pobliskie drzewa, nie wiadomo skąd i gdzie miał swoje źródło. Wydawało się, że przelatuje on z wiatrem, który rozganiał liście i pochylał źdźbła kołyszącej się trawy. – Twe czyny nie zostały wybaczone, daru swego nie przekazesz, zanim win swych nie zmażesz...

– Leszy²⁴ – starowina zerwała się na nogi i podniosła pięć do góry – Leszy, ty leśny dziadu pieroński, już ja swe winy odpokutowała, ludzi wielu poratowała, czego ty jeszcze ode mnie chcesz?!

– O tym zdecyduje rada starych bogów i... no... i jeszcze ten... – głos zadrdzał, chrząknął parę razy – ten nowy...

– Krześcijański znaczy się?!

Leśny głos znów chrząknął z zakłopotaniem.

– Tak, on ma decydujący głos. Przeciw jego nowym prawom zgrzeszyłaś, to i pokutować musisz, skoro chrzest przyjął...

– A bom musiała – przerwała głosem. – Sami żeście mnie do tego namówili!

– Stare bogi na rozejm musiały się zgodzić...

– I poświęć w zamian nas, Wybrańców²⁵...

– Ech, znowu zaczynasz, Wando – głos był już znudzony. – Wracaj do swej chaty, zostaw dla mnie dary i idź już, idź...

Starucha sięgnęła do tobołka, który leżał pod jej nogami.

– Dary to wziąć każdy chce, a jak ja przychodzę po prośbie, to mają mnie w d...

– Ja wszystko słyszę! – Zaszumiał groźnie Leszy.

Baba potulnie wyjęła z zawiniątka dwie duże butle samogonu²⁶, gomółkę sera z czarnuszką, który dostała od ludzi z Korycina, własnoręcznie upieczoną bułkę chleba i oselkę słonego masła. Położyła to wszystko na białej serwecie, odwróciła się, mamrocząc z niezadowolenia pod nosem i ruszyła w stronę Studzianek.

Gdy tylko odeszła, we wzniesieniu znajdującym się za olbrzymim głazem, osunęła się ziemia. Z powstałej jamy wybiegły dwie porośnięte brunatnym włosem postacie. Szybko zaczęły zbierać to, co położyła na serwecie szepcucha.

– Co za baba – rzekł zdumiony głos. – Pędzi najlepszego Ducha Puszczy na całym Podlasiu, a wierci mi dziurę w brzuchu, że chce uciec z tego świata i przenieść się na tamten. Zdurniała na starość, czy co? – Leszy pytał sam siebie. – Nie ma mowy, żebym

rozmawiał z tym nowym o darowaniu jej win...

Na te słowa dwa, stwory stojące pod głazem, roześmiały się, stuknęły butelkami i wypily po łyku, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

– Józek i Gienek! Jak tylko wrócicie do kurhanu²⁷, to wam nogi z dupy powyrzynam za picie mojego samogona!

Postacie spojrzały na siebie, rzuciły zebrane dary z powrotem na chustę i dały dyla w gęstwinę puszczy, trzymając w łapach butelki.

– Skaranie boskie z tymi Borostworami²⁸... Ja wam nogi z d...

W lesie dały się słyszeć gromkie krzyki Leszego, który pomstował na dwa leśne stwory. Wyzywał i wyklinał na czym świat stoi, tak mocno, że okoliczne zwierzęta pochowały się, gdzie tylko mogły...

A echo niosło jego krzyki daleko...

²⁶ Samogon – patrz Duch puszczy.

²⁷ Kurhan – starożytny grobowiec, rodzaj mogiły w kształcie kopca, wewnątrz z elementami drewnianymi, drewniano-kamiennymi lub kamiennymi, często kute w litej skale.

²⁸ Borostwory – leśne pół bóstwa, demony, zazwyczaj wesole, skore do żartów i wyczyniania psot. Postacie żyjące w puszczańskich lasach, owłosione od stóp do głów, prawdopodobnie pierwszy raz powstały w głowie Janusza Christy, w komiksie *Kajko i Kokosz w krainie Borostworów* inspirowane stworami z mitologii słowiańskiej.



NORBERT GRZEGORZ KOŚCIESZA

– pisarz, były funkcjonariusz policji. W 2017 r. wydał swoją pierwszą książkę *Legenda o czwartym Królu*, w 2019 r. ukazały się kolejne: *Folwark komendanta* oraz *Psy Prewencji*. W 2020 r. jego *Dzielnica cudów* została wybrana najlepszą polską książką roku w niezależnym plebiscycie „Brakująca Litera”, a w maju 2021 r. otrzymała niezależną nagrodę „Filizanka literatury” w kategorii: literatura. Na III Festiwalu

CZAS NA KSIĄŻKI 2021 w Ząbkowicach Śląskich autora wyróżniono tytułem OSOBOWOŚĆ LITERACKA.

W wolnych chwilach poświęca się pisanemu, jest kucharzem i cukiernikiem amatorem, uwielbia zwierzęta. Poczucie humoru i ciekawość świata sprawiają, że jest człowiekiem otwartym na nowych ludzi i wyzwania.

fot. Justyna Sawczuk

Aleksandra Tarnowska

Bez towarzystwa

Urlop. Z dwulatkiem i siedmiomiesięcznym niemowlęciem. Macierzyński. W sumie Marzena nic więcej nie musi mówić. Przy piaskownicy na placu zabaw wszystkie mamy kiwiają głowami. Rozumiemy, ciężko. No ale na własne życzenie, nie? Było przynajmniej zrobić przerwę. Chciałaś, masz. Tak myślą. Nie mówią, opinie wyrażają tylko na Facebooku.

No, ma. Dwoje dzieci. Męża też ma. Choć czasem bardziej wroga niż męża. Chyba nawet częściej niż rzadziej. A może „mąż” wcale nie ma synonimu „sojusznik”, tylko jej się tak, naiwnej, ubzdurało? Towarzysz, domownik, kochanek, pomocnik, opiekun? Do pierwszego dziecka. Potem słownik już nie daje rady. A tu już dwójka. Sama tych dzieci nie zrobiła chyba, nie?

Ale Mąż przynosi pieniądze. I prezenty. Najlepszy tatuś. Zawsze umie spłacić niespędzony z dziećmi czas. Z Marzeną ma łatwiej. Nawet płacić nie trzeba. Przysiadzie przy niej na kanapie, film zaproponuje. Albo serial, bo krócej, i może choć raz Marzena nie przyśnie w trakcie i nie będzie musiał mieć do niej pretensji.

Marzena siedzi w domu na urlopie. No dobra, mieszkaniu. Sześćdziesiąt metrów, ani bardzo mało ani dużo. Mieszczą się. Jeszcze. Choć czasem myśli, że syf wypada oknami. Wtedy sprząta. Czytała komentarze na fejsie, nie? „Lepiąca podłoga? Nigdy. Nawet przy piątce dzieci. Wszystko kwestia organizacji”.

Zagarnia zabawki. Starszy próbuje ciągnąć Młodsze po dywanie. Może dostanie przepukliny? W końcu Młodszy płacze, więc Marzena robi przerwę w zabawie. Na karmienie. Mówili, żeby odstawiła, żeby odetchnęła z butelką, co to za życie z takim, co ciągle na niej wisi. Miałaby czas, ugotowałyby, pojeździła na mopie, same przyjemności.

Starszy szuka zajęcia, Młodszy drugiej piersi pod bluzką. Zaraz ją znajdzie i znów będzie kręcił sutkiem jak pokrętle od radia. Wbije pazury. Za rzadko mu obcinasz, skwituje obojętnie Mąż. Starszy wywala z pudełka klocki. Później ogarnie się syf, teraz kolacja.

Płatki z mlekiem. Na więcej Marzeny nie stać. Psychicznie. Ma dość słuchania, że to nie, tamto nie, a to tak, bo tego nie chcesz mi dać. Więc niech ma i je. No i Młodszy śpi. Na rękach, więc Marzena nie ma czym pitrasić, palcami u stóp przewracać naleśników jeszcze nie umie.

Otwierać paczki z płatkami w sumie też. Choćby jedną ręką. Jakby Facebook nie próbował jej wmówić, że wszystko

się da. Ona nie umie. Albo nie chce tyle co trzeba, wszystko jedno.

Oddaje paczkę Starszemu, na pewno ma siłę, skoro potrafił rąbnąć dziurę w ścianie rurą od odkurzacza. Synek przyskakuje ochoczo, widocznie rzeczywiście prawie go zagłodziła, biedny dzieciak.

Zgrzyt kluczy w zamku. O! Tak wcześniej raczy wrócić z pracy jej Pan, a ich Ojciec? Marzena rozgląda się. Dobrze, że choć trochę zdążyła ogarnąć. Mieszkanie wygląda całkiem w porządku. Drzwi skrzypią, więc odwraca się, żeby powitać Męża sztucznym uśmiechem. Może nawet z kroplą prawdziwej zyczliwości albo satysfakcji. Bo choć ma dość, to przynajmniej jakoś przetrwała.

BUCH!

– Jezu, ale syf. Mogłaś choć trochę ogarnąć skoro już w domu siedzisz.

Płatki z rozdarłej gwałtownie torebki były chyba wszędzie. Ale i tak Marzena ich teraz nie widzi, oczy same się zamknęły, zaatakowane przez coraz głośniejszy pisk. Chwila moment, ciężar na rękach też zaczyna się kręcić i pojękiwać. No pięknie. W końcu powieki muszą się podnieść, oskarżycielski wzrok pada na Starszego, który leży i wije się w rozsypanych płatkach, rozgniatając je wściekłymi ruchami rąk i nóg. Mąż wciąż tylko stoi. W butach, których nie raczył nawet zdjąć w korytarzu. A nie, jeszcze patrzy. Oceniająco,

z niesmakiem, jakby Marzena potrzebowała teraz jakiegokolwiek opinii. A już na pewno nie takiej, na jaką nie zasłużyła.

W końcu Mąż-laskawca dostrzeża, że ona ma zajęte ręce i przykłęka przed Starszym. Kusi dziecko odkurzaniem, oczywiście. Niech więcej ścian porozpierała, Marzeny to zresztą już nie obchodzi, bo właśnie czuje rękę, wślizgującą się pod dekolt jak robak. Pazury na sutku. Zabiera Młodsze do sypialni. Niech Mąż choć raz zajmie się Starszym, a ona zazna odrobinę spokoju. Odpocznie od bachora.

Siada na łóżku z przyssanym do piersi dzieckiem. Odkurzacz buczy, nic nie wali o ściany. Marzena wyobraża sobie małe rączki machające rurą. Słodki uśmiech na pucułowatej twarzy. Jezu, co z niej za matka. Kochane, słodkie maleństwo. Niewinne dzieciątko. Mały, nieświadomy wielu rzeczy człowiek. Żaden bachor.

Głaszcze Młodsze. Może nie ma tu bachorów, ale Marzena i tak ma już dość. Małe usteczka przestają mocno otaczać sutek, rozchylają się i wypuszczają jej ciało na wolność. No właśnie, tego Marzenie brakuje.

Jeszcze chwilę trzyma Młodsze w ramionach i w końcu, na dobre uspio-nego, odkłada na łóżko. „Wychodzę!” – krzyczą jej myśli i otwiera drzwi sypialni z rozmachem. Jak wolny człowiek. Nie zastanawia się. Nie patrzy na strój. Wzrokiem omija lustro w korytarzu.

– Wychodzę! – Marzena krzyczy tym razem na głos i nie czeka na odpowiedź męża. Na płacz Starszego też. Jeden fałszywy krok, a pójdzie najdalej na balkon. Zakłada buty.

Przed blokiem wyjście gdziekolwiek nabiera nowego znaczenia. Wdycha świeże powietrze i idzie przed siebie. Dłonie wydają się zbyt luźne bez rączek wózka przed nimi. Wiosna, a jakby początek lata, tak ciepło. Emeryci na ławkach,

młode siksy w miniówkach, choć na to może akurat jeszcze zbyt zimno, dwa wyrostki ze smartfonowymi szyjami, omijają ją na milimetry, zapatrzona w ekrany. Zazdrości do bólu. Żyć własnym życiem, bez ciągłego towarzystwa, ile jej jeszcze brakuje do tego?

Wchodzi do monopolowego na osiedlu. Kupuje loda. I czekoladę, bo taki asortyment mają do wódki. Siada na ławce i je. Jak człowiek.



M. Łabędzka / PLSP w Supraślu

Ale głównie czuje. A przynajmniej żadnej przyjemności. Wafelek różka jest miękki, ma wrażenie, że zaraz zgniecie go w palcach jak plastelinę. Za to lód jest zmrożony, gryzie go bez smaku. Boli ją zęby. Tyle radości. W końcu niedojedzony różek z hukiem ląduje w koszu.

Sreberko czekolady szeleści. Brązowa słodycz otwiera się przed nią kusząco. Marzena wzdycha. Patrzy na mleczną czekoladę, jakąś najtańszą – liczy się to, że słodka. Ale nie może po nią sięgnąć. Nie może, bo zaczyna myśleć.

Młodszy już na pewno się obudził. A Starszy płacze, zmęczony po odkurzeniu i kolacji. Mąż będzie próbował go uspić. Jakiś ogarnąć dwoje. Młodszego jeszcze uspi na rękach, ale Starszy, zapłakany, padnie gdzieś na kanapie. Bez umytych zębów.

Bo tatuś oczywiście nie pomyśli, a matka właśnie zjada sobie beztrudnie czekoladę. Marzena już widzi na wpół otwarte usteczka i żółte resztki płatków między stłoczonymi dolnymi ząbkami. Idą do nich małe, czarne robaczki. Kręcą się szybko, biegną po białym szkliwie. Wiją się. Wgryzają i tłoczą w wielkich czarnych od robactwa dziurach.

Pierdoli czekoladę. Idzie do domu.

Nie wzięła klucza, ale co z tego, skoro drzwi zastaje niemal otwarte na oścież. Mąż wciąż odkurza. Przy szafce na buty, zaraz przy wejściu, leżą różowe rajstopki Starszego. Marzena nie wie kiedy i dlaczego dzieciak upodobał sobie ten kolor. Jej to w sumie obojętne, ale Mąż jak zawsze musi mieć „ale”. Pewnie kazał je zdjąć, kiedy Starszy tylko przestał ryczeć.

Bo rzeczywiście w mieszkaniu cisza aż miło. Nawet buczenie odkurzacza brzmi sielankowo. Dwadzieścia minut może Marzeny nie było, a Mąż jakoś ogarnął bez niej. Jednak jest beznadziejna.

Bez zdejmowania butów podchodzi do toalety. Już chwytą za kłamekę, ale nie.



M. Łabędzka / PLSP w Supraślu

Za chwilę się wysika. Jeszcze tylko rzuci okiem na Młodszego. Powoli uchyla drzwi od sypialni.

Młodszy śpi na brzuszku. Jej krągły aniołek.

Marzena wycofuje się z pokoju. Znowu mija toaletę. Zmierza do salonu, gdzie mąż przeniósł swoją walkę z odkurzaczem. Rozgląda się. Idzie do drugiego pokoju. Do kuchni. W końcu do łazienki.

– Marek, gdzie jest Starszy? – Drepcze przez salon, wychodzi na balkon. Patrzy w dół. Na szczęście, to tylko wyższy parter. – Marek! – drze się, choć ma wrażenie, że ktoś wcisnął jej pięść do gardła. Rzuca się do gniazodka i wyciąga kabel od odkurzacza. – Marek, nie ma Starszego!

Mąż wciąż stoi zgarbiony nad dywanem.

– Myślałem, że jest z tobą.

– Gdzie ze mną, przecież mówiłam, że wychodzę!

– Gdzie wychodzisz?

– Kurwa, człowieku! Starszego nie ma, nie rozumiesz?! Wyszedł, chyba wyszedł!

Rura odkurzacza spada na podłogę.

Stopy tupią na schodach w rytm mdlejącego od biegu serca. Mąż dyszy za Marzeną. Na klatce, przed blokiem, na pasie zieleni do ogrodzenia, na parkingu. Nie widzą nigdzie Starszego.

– Idź do Młodszego, ktoś musi zostać! – Słyszy Marzena i nawet nie wie kiedy zostaje sama.

Wraca na schody. Wspina się. Szybko, ale już nie biegnie. Dzielne światło za oknami szarzeje. Stopnie robią się czarne, falują pod stopami jak morze.

Zbliża się noc. Zaraz zrobi się zimo. A Starszy zdjął rajstopki.

Zaraz za wejściowymi drzwiami Marzena słyszy płacz z sypialni.

– Kurwa! – Ściąga tylko jednego buta.

Bierze Młodsze­go na ręce. Synek ma jeszcze zamknięte oczy, dopiero co się obudził. Marzena odchyła dekol­ta i wyciąga pierś. Wciąż ciepłą i miękką. Pełną mleka, które przy­płynęło do niej nie wiadomo kiedy i dla­czego. Dziwi się, że jej ciało wciąż produkuje, wciąż grzeje, choć ona czuje na twarzy i w gardle tylko ostre, niepozwala­jące oddychać zimno.

Młodszy ssie, a Marzena patrzy. Jak w poduszkę lub koc. A przecież to Młodszy, jej mały, kochany, wyczekany synek, ale jakby to wcale nie on, sama nie wie. Nie może teraz myśleć, szczególnie o innym dziecku.

Chce jej się sikać. Czy człowiek może sikać, kiedy umiera jego dziecko? Pójdzie do toalety, a kiedy będzie spuszczać wodę, zapinać rozporek, wróci Mąż i powie jej, że znalazł Starszego. Jest martwy.

– Poczekaj chwilę, ręce myję – zawoła Marzena w odpowiedzi.

Już widzi pulchne udka, krągłe gołe stó­pki, różowe z zimna, jak te rajstopki porzucone w korytarzu, jak zdjęcia pło­dów z rzadkimi chorobami genetycznymi, u których wykształciły się tylko te zakrwawione nóżki i brzuszki.

Młodszy się odkleja. Śpi. Boże, wreszcie! Marzena układa go obok na łóżku. Na brzuchu, jak zawsze. Powoli zsuwa się z łóżka, pęcherz wzywa, kłuje. Wysika się i zadzwoni do męża. Kurwa, gdzie położyła telefon? Goła stopa dziwnie głośno stąpa po panelach. Mlaska, jakby się przyklejała. Marzena popycha drzwi. Z drugiej nogi zrzuca w końcu but.

Ruch i ciche skrzywienie łóżka. Odwraca głowę. Młodszy trze piąstkami powieki. Co jej zostało? Marzena zaciska zęby, niemal tak mocno jak zwieracze i wraca do łóżka. Siada i znów przys­tawia Młodsze­go do piersi. Nie zdążył się rozplakać, ale ona ma łzy w oczach. Jezu, zaraz zleje się do łóżka!

Ścis­ka Młodsze­go w ramionach. Mocno, za mocno. Ale zaraz zwalnia uścisk. Młodszy nie płacze, nie rozumie jeszcze przemocy. Nie wie, że mógłby już krzy­czeć. Marzena zamyka oczy. Próbuje się uspokoić, zatrzymać ciągle drgające nerwowo nogi. Chciałyby być teraz gdzie indziej, powinny biec, truchtać, wchodzić gdzie tylko się da. Aż dojdą do Starszego.

Młodszy znów śpi. Albo tylko udaje, Marzena już sama nie wie, ale nie ma zamiaru się nad tym zastanawiać. Kładzie go jednym ruchem na łóżko. Nie układa na brzuszku. Zsuwa stopy na podłogę. Wysika się i zadzwoni do Męża.

Odwraca się jeszcze i patrzy na Młodsze­go. Razem z pierwszym dzieckiem

urodziła się w niej myśl, że gdyby Starszy, a wtedy Jedyny, umarł, jej też nie pozostałoby nic innego. Tylko umrzeć. Po prostu. A teraz? Umrze? I co z Młodszym?

Znowu ruch, skrzywienie łóżka. Dziecko przekręca się na brzuch, wbija dłonie w materac i unosi główkę. Rozgląda się zaspanymi oczami, które chyba niewiele teraz widzą. Pęcherz kłuje. Nie, nie, nie! Nie ma takiej opcji! – myśli Marzena i wyciąga rękę. Kładzie ją na główce. Wcis­ka małe­nką twarz w materac. Śpij, do cholery! ŚPIJ.

I wtedy słyszy kroki. Ruch przy wejściowych drzwiach. Cofa rękę.

– Marzena? – Mąż wchodzi ze śpiącym Starszym w ramionach. Uśmiechnięty, choć w jego twarzy więcej jest drżenia niż pewności.

Marzena też bierze dziecko na ręce. Młodsze. Nie wie po co. Chciała mieć przecież miejsce dla Starszego.

Ale Mąż już odkłada go na łóżko i przykrywa gołe nóżki kocem. Nie są różowe, nie zmarzły. Wciąż w bluzie i butach prze­jmuje od Marzeny Młodsze­go i zaczyna chodź­ci po pokoju, nucąc coś kojącego pod nosem.

Marzena stoi chwilę bez ruchu, aż wreszcie nogi same prowadzą ją do toalety. Zamyka drzwi i przekręca zamek. Z trudem zdejmuje wciąż zbyt wąskie po­ciąży spodnie. Siada.

I sika bez towarzystwa. Ale jakoś tak – nie czuje ulgi.

ALEKSANDRA TARNOWSKA

– urodzona w 1990 roku, absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Pisze oczarowana swoją władzą nad słowem i władzą słowa nad nią. W wolnych chwilach zachwyca się teatrem radiowym i przesłodzoną herbatą.

Barbara Gorzawska

Inny początek

— Jak leci? – Tesejja pojawiła się znikąd.

Uśmiechnęłam się sztucznie, kiwając nerwowo głową. Nie mogłam wyglądać swobodnie, ale nie potrafiłam wykrzesać z siebie nic więcej.

– Świetnie – skłamałam. – Zostały mi tylko niewielkie poprawki.

– Termin się zbliża – powiedziała tonem, jakby nie mogła się doczekać. – Jestem ciekawa, co wymyślisz tym razem.

To „tym razem” zabrzmiało, jakbym była odpowiedzialna za wszystko, co w jej rozumieniu było bezsensowne. Cóż za absurd, raptem połowa pochodziła ode mnie, reszta należała do innych. Poza tym tylko ona traktowała je jako niepotrzebne komplikacje, większość widziała w nich nowatorstwo i oryginalność. Nie rozumiała, że właśnie te bezsensy sprawały, że moje projekty były wybierane do realizacji.

– Będiesz musiała jeszcze trochę poczekać – zaszczebiotałam z udawaną radością.

Tesejja uśmiechnęła się uprzejmie, jednak wyraz jej oczu nie pozostawiał wątpliwości, nie wierzyła w mój geniusz. Na szczęście nie musiałam zbyt długo

udawać przesadnego zadowolenia ze swojego nieistniejącego jeszcze dzieła, bo odwróciła się i odeszła.

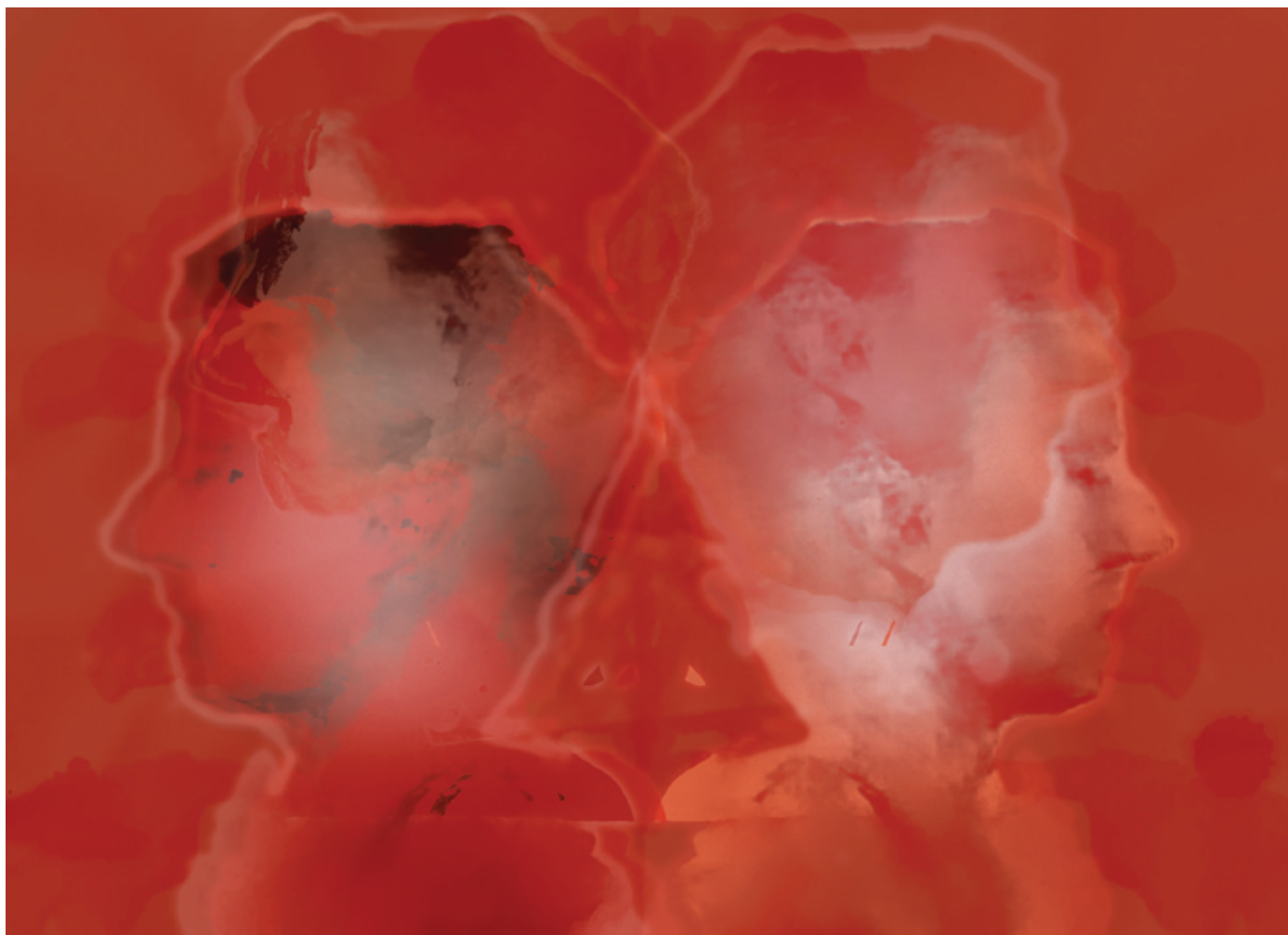
– Szczętuja – rzuciłam za nią, kiedy wreszcie uśmiech spelzł mi z twarzy.

Gdybym mogła, gdybym potrafiła, najchętniej zalałabym ją blaskiem mojej inwencji twórczej, przy której jej marne projekciki były niczym. Zanurzyłabym się w morzu geniuszu własnego umysłu, wylawiając perły i klejnoty, o których mogła tylko marzyć. Mogłabym to zrobić jeszcze do niedawna. Niestety od czasu przykrej sprawy z siedemnastym światem, nagle wszyscy patrzyli na mnie jak na oderwanego od rzeczywistości projektanta, który postradał wszystkie swoje talenty, przelewał na papier senne maligny. Było to niezwykle szokujące i niezmiernie przykre doświadczenie. I gdyby nie zbliżająca się wielkimi krokami Prezentacja, oddałabym się czystej, niezmażonej złości, jednak czas płynął, a ja...

Zrezygnowana sięgnęłam na półkę ze zwojami, wyjęłam nowy arkusz i rozwinęłam go zamaszystym ruchem. Wielka płachta zielononiebieskiej przestrzeni, na której nie było absolutnie nic. Do tej pory nie miałam najmniejszego problemu z jej wypełnieniem, jednak od czasu nieszczęsnej siedemnastki zaczęłam wątpić w swoje możliwości i po raz pierwszy w życiu doświadczałam bloka-

dy – absolutnego, paralizującego braku pomysłów. Nie miałam najmniejszej wizji, czy chociażby przeczucia, w którą stronę powinnam się skierować. I ta presja. To nie mógł być byle jaki projekt, to musiało być coś tak nowego, nieoczekiwanego i działającego, żeby raz na zawsze zatrzeć wspomnienie po niedawnej porażce.

Nikt nie przewidział możliwości, że cały świat może się zapaść i całkowicie anihilować, tym bardziej ja, która była odpowiedzialna za jego projekt. Nikt nawet nie pomyślał, że ktokolwiek może odwalić taką fuszerkę. Nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie, źle go policzyłam, wydarzenie bez precedensu. Na nic piękne konstrukcje i nowatorskie rozwiązania, kiedy zawodzi prosta matematyka. Dla wszystkich, w tym mnie, był to szok tak ogromny, że zanim się otrząsnęliśmy, zbliżał się czas kolejnej Prezentacji. Moja kandydatura została zgłoszona dużo wcześniej i nikt jej w międzyczasie nie wycofał. Kiedy uznano, że nie powinnam być dopuszczona do Prezentacji, było już za późno na zmiany na tym poziomie. Tylko dlatego wciąż nie wyrzucano mnie z pracy. Nie wiem, co byłoby gorsze, pożegnać się z dotychczasowym życiem i pozostawić swój dorobek przykryty kurzem kłęski, czy co działo się teraz, uważne spojrzenia w moją stronę i szeptane za plecami uwagi.



H. Adamska / PLSP w Supraślu

Musiałam udowodnić już nie tylko im, ale głównie sobie, że wciąż potrafię kreować światy, które nie tylko zachwycają na każdym poziomie ich istnienia, ale trwają w czasie i przestrzeni. Ten projekt nie mógł nawet odrobinę przypominać poprzednich, musiał być całkowicie nowy.

Zmarnowałam nieprzyzwoicie dużo czasu pochylona nad pulpitem i nic z tego nie wynikło, potrzebowałam inspiracji. Wyjęłam wszystkie projekty, rozwinęłam je jeden po drugim, napawając się pięknem i geniuszem własnych dzieł. Doskonale pamiętałam każdą myśl, któ-

ra przyświecała konkretnym światom.

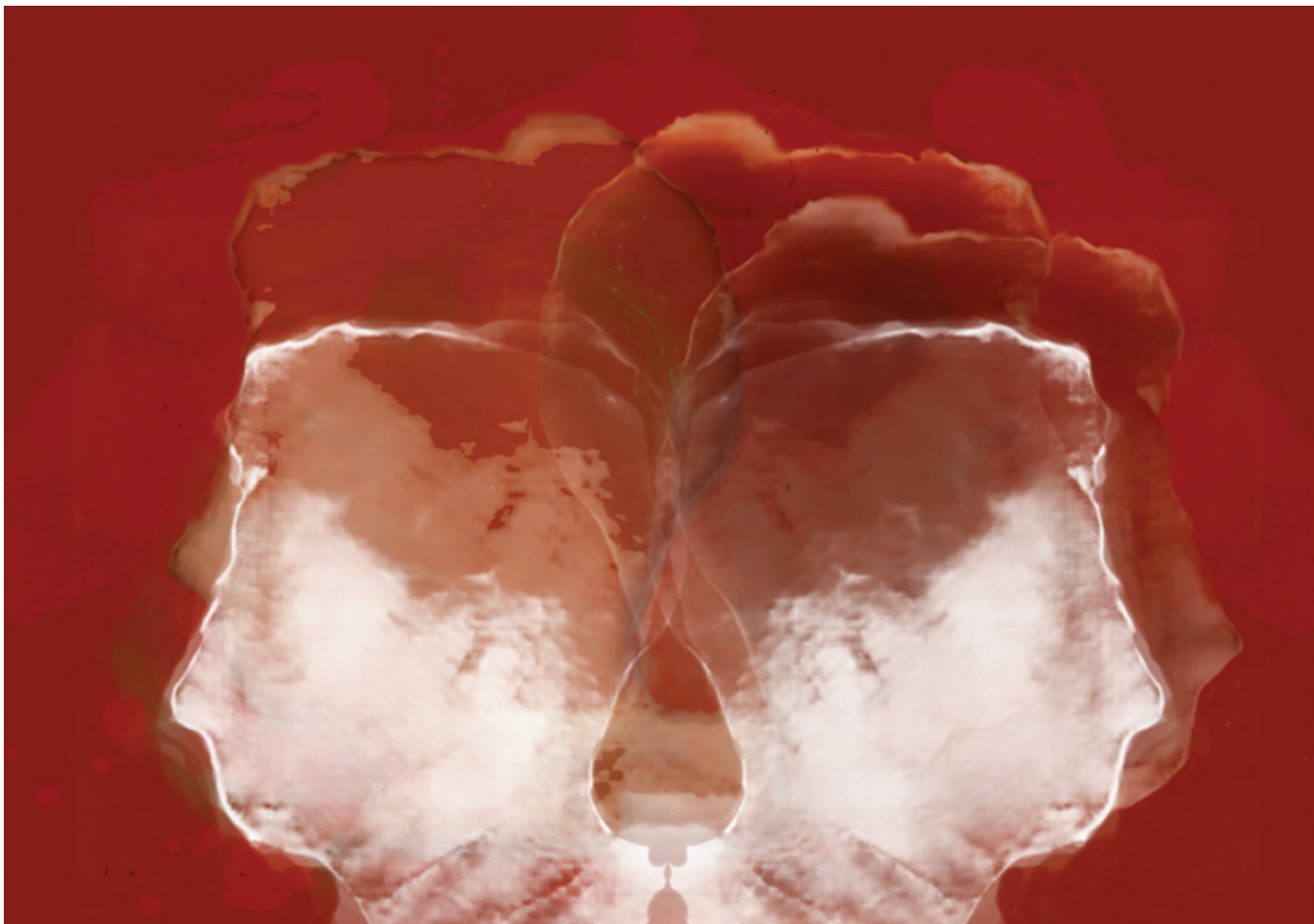
Starannie omijałam wzrokiem rozpościerający się za biurkiem plac budowy. Już dawno zakończono pomiary i wyznaczono kwadryl. Czekano tylko na projekt. Wszystkie działy pracowały pełną parą nad swoimi wizjami tego świata. Byłam pewna, że są już gotowi i z niecierpliwością wyczekują Wielkiej Prezentacji. Tylko ja nie miałam nic.

– Dlaczego to jest takie trudne! – Krzyknęłam ze złością, zrzucając z pulpitu stare arkusze. Załkałam bezsilnie.

Nie pozostanie mi nic innego tylko przyznać się do porażki. Tesejja pewnie

już ostrzyła sobie zęby na moją pozycję, byłam pewna, że swój projekt miała dopracowany do ostatniego miejsca po przecinku. Zawsze była metodyczna i bardzo dokładna, teraz nadeszła jej chwila. Kiedy piękno i finezja umrze, zastąpią je suche liczby i rozwiązania na tyle niezawodne, co nudne i przewidywalne.

Wodziłam smutnym wzrokiem po moim miejscu pracy. Jak ja się stąd wyniosę? Miałam tu tyle rzeczy, drobnych projekcików, które wymyślałam sobie na boku, propozycje nowych światów, które zamierzałam pokazać na najbliż-



H. Adamska / PLSP w Supraślu

szym zebraniu Architektów, konstrukty, schematy układów gwiazdnych, historie światów rozpisane do poszczególnych wymiarów i całe stopy niepotrzebnych śmieci: nieudanych zależności, sprzecznych założeń, niedokalkulowanych praw oddziaływań, przemian materii i energii, porzuconych galaktyk i mnóstwa drobnych schematów, które rysowałam, kiedy nie miałam pomysłu na nic innego.

Wygrzebałam podręcznik ze Spisami założeń początkowych i wytycznych światów według Aramadesa. Lektura obowiązkowa każdego adepta sztuki i swego czasu jedyny zbiór dotyczących jej praw. Od dawna do niego nie zaglą-

dałam. Od jego powstania minęły eony, wiele założeń uległo przedawnieniu, a nasze umiejętności posunęły się daleko do przodu. Był archaiczny i w sposób przestarzały podchodził do samej sztuki, był jednak swego rodzaju biblią tego, co wiedzieliśmy o tworzeniu światów. Doskonale pokazywał, jaką maestrią był proces tworzenia. Zagłębiłam się w jego lekturze.

Czytanie o tym, jakie założenia miały spełniać niegdyś światy, było jak przeglądanie nieaktualnych notatek. Nie potrafiłam wyjść ze zdziwienia, jak mogliśmy tworzyć, mając tyle ograniczeń, a jednak powstawały światy piękne, mi-

sternie utkane wokół praw, jakim podlegały. Gdybyśmy wciąż tworzyli światy według tego podręcznika, życie w nich byłoby ekstremalnie trudne, dlatego też w pierwotnych projektach osiągnęliśmy tak mały odsetek inteligentnych cywilizacji.

Odłożyłam podręcznik i sięgnęłam po porzucone schematy. Zbiory gwiazd, otoczone krążącymi dookoła nich planetami, niektóre w formie całych, wielowymiarowych klasterów, inne ograniczone tylko do płaszczyzny. Większość jest całkiem sensowna, z porządnie przeliczoną fizyką. Nadawałyby się do wykorzystania, jednak do tej pory nie umiałam ich

wpisać w żaden motyw przewodni swoich projektów. Problem stanowiła ich różnorodność, zbiór wszystkiego i niczego zarazem.

Nie miałam serca ich wyrzucić, podzieliłam je więc względem grup. Z każdej wybrałam po trzy płaskie schematy i zupełnie losowo rozłożyłam na arkuszu. Wstępnie przeliczyłam oddziaływania, wyglądało na to, że mogą razem istnieć. Zachęcona sięgnęłam po kolejne.

Im więcej schematów umieszczałam, tym bardziej podobała mi się ta koncepcja – projekt z odpadów. Nie pozwoliłam sobie na zbytni optymizm, musiałam zachować dystans. Każdy nowy obiekt skrupulatnie przeliczałam względem pozostałych i kiedy tylko coś się nie zgadzało, zaraz zastępowałam go innym, bez względu na to jak bardzo mi się podobał w tym miejscu.

Zmieniłam płaski tryb arkusza na wielowymiarową przestrzeń i powoli wpasowywałam kolejne schematy. Szło mi coraz lepiej. Chciałam stworzyć dla nich niebanalną historię, coś znajomego, co odwoływałoby się do początków naszej pracy. Znów sięgnęłam po podręcznik i przekartkowałam go.

Większość, jeżeli praktycznie nie całość podręcznika stanowiły ustawienia początkowe dla światów nieskończonych, tysiące pozycji, miliardy możliwości. Znałam je wszystkie, więc z rosnącą niecierpliwością przerzucałam kolejne strony. Kiedy dotarłam do końca, trafiłam na rozdział, który przez każdego adepta traktowany był jako ciekawostkę, ale nikt nigdy nie przykładał do niego wagi. Jeden rozdział pośród milionów innych, który do tej pory nigdy nie miał zastosowania w praktyce. Jak długo Architekci zajmowali się tworzeniem, tak nikt jeszcze nie sięgnął po założenia dla świata skończonego.

To była myśl, iskierka geniuszu, która zajęła ogniem wszystko dookoła. Pomyśl tak inny, tak bezczelny, że od razu poczułam przyływ energii. Skończony świat był tym, czego potrzebowałam w tej chwili. Przyjrzałam się arkuszowi i zrozumiałam, że zielononiebieska przestrzeń zupełnie nie będzie do niego pasować. Potrzebowałam czegoś niekonwencjonalnego.

Z każdą zmianą, z każdą nową myślą rosłam w przekonaniu, że to dobra droga. Po poprzednim projekcie ten musiał być szokiem nie tylko dla innych Architektów, ale też dla członków Wielkiej Komisji. Zakładając, że będzie to moje ostatnie dzieło, to pokażę, na co mnie naprawdę stać, nawet jeżeli nikt poza mną nie będzie umieć docenić jego piękna.

Wielka Prezentacja była ukoronowaniem pracy Architektów. Ich pomysły i wizje zostawały zaprezentowane szacownemu gremium Komisji - Wielkiej Rady Architektów, jednocześnie pozostali Architekci mogli otwarcie podziwiać kreacje twórcze swoich współtowarzyszy. Był to wyczekiwany przez wszystkich moment chwały, ale również niepewności.

Jako że mój projekt został uprzednio zatwierdzony do realizacji, miałam prawo prezentowania jako ostatnia i mogłam przyjrzeć się konkurencji. Najwyraźniej po porażce siedemnastki wszyscy postanowili wrócić do sprawdzonych rozwiązań. Projekt Tesejji był zwyczajnie nudny, chociaż jak zwykle obliczony najlepiej ze wszystkich, co bardzo podobało się Komisji. Świat Heriolita miał jakiś potencjał, który po pewnych ulepszeniach mógłby nawet być ciekawy. Niestety Heriolit, jak i cała reszta, trzymali się bezpiecznych wyborów.

Na tym tle nie sposób było nie wybić się z czymś innym, a mój projekt nie był tylko inny, był wręcz pionierski. Kiedy więc rozbłysła moja przestrzeń, wśród Architektów zapanowała cisza. Widziałam, jak się zastanawiają, co właściwie widzą.

– Jest czarny – pierwsza odezwała się przewodnicząca Komisji.

– Jako ukłon w stronę naszych najpierwszych światów – powiedziałam niezrażona.

Mój wybór został przyjęty pomrukiem zrozumienia.

– Jest mniejszy niż wyznaczony kwadryl. – Uwaga dobiegła z tyłu i od razu podniósł się szmer. Podczas prezentacji Architekci nie mieli prawa głosu, poza prezentującym i członkami Komisji.

– Celowo – odpowiedziałam, zanim przewodnicząca zdążyła upomnieć słuchających. – Zapełnia całkowicie wyznaczony kwadryl.

– Rośnie? – Zdziwiła się.

Aramades, który, od kiedy pamiętam, zasiadał w Radzie wydawał się być wielce zainteresowany i przyglądał się projektowi bardzo dokładnie.

– Na przestrzeni czasu zmienia temperaturę. – Projekt zaczął się przekształcać, w miarę jak mówiłam, na bieżąco ilustrując procesy, jakim miał być poddany. – Najpierw jest gorącą i skondensowaną osobliwością, z której wylania się czasoprzestrzeń, po niej poszczególne układy, które rozrastają się, krzepną i stają się zimne. Kiedy osiąga granice kwadrylu zawija się do środka, jego temperatura znów zaczyna wzrastać, układy tracą stabilność i następuje powrót do osobliwości. To świat ściśle ograniczony czasem i przestrzenią.

– To bardzo śmiały projekt. – Przytrzymała z powagą oczy.

– Zakładam, że jakoś się nazywa – zapytał Aramades.



H. Adamska / PLSP w Supraślu

– Wszechświat – odpowiedziałam błyskawicznie, chociaż pomysł nazwy pojawił się dopiero teraz. Członkowie Komisji pokiwali głowami w zamyśleniu. – Do projektu załączyłam listę układów, z których złożony jest... Wszechświat. Znajdują się tu bardziej i mniej skomplikowane gwiazdo- i planetozbiory, systemy podwójne, potrójne i wielokrotnie złożone, obiekty, w których poszczególne wymiary się łączą i nie tylko. – Rozłożyłam projekt na poszczególne składowe, które Komisja teraz dokładnie sprawdza. – Chciałabym zwrócić uwagę na drobne detale. – Uśmiech-

nęłam się zachęcona ich zainteresowaniem. – Układy są widoczne z różnych miejsc we Wszechświecie i w zależności od jego wieku ewoluje ich wygląd. One też rosną, zmieniają się siły oddziaływań w nich, z niektórych powstają nowe, a inne ulegają przekształceniu.

Zainteresowanie Komisji jeszcze bardziej wzrosło.

– Jaki jest sens tworzenia świata, jeżeli jego jedynym celem jest anihilacja? – Głos Tesejji zapoczątkował rosnący szum.

– To jednorazowy spektakl.

– Wszystkie cywilizacje są skazane na zagładę! – krzyknęła oburzona. Pozo-

stali Architekci zaczęli szeptać głośniej. – Nigdy w historii Wielkich Architektów nie było sytuacji, w której świat byłby z góry skazany na klęskę.

– Nigdy nie było, co nie znaczy, że jest to wbrew zasadom – powiedziałam spokojnie, odwracając się do niej.

Członkowie Komisji zaczęli rozmawiać między sobą i tylko Aramades wciąż patrzył na mnie. Kiedy szum rozmów zagłuszył już wszystko inne, wstał, od razu zapadła cisza.

– Nigdy nie stworzyliśmy świata, którego zagłada byłaby wpisana w jego istnienie. Do tej pory wszystkie nasze

kreacje były skupione na procesie tworzenia i obserwacji. Założenie o skończoności świata sprawia, że nasza praca wydaje się nie mieć żadnego sensu. Po co kreować świat jeżeli jego jedynym celem jest jego koniec? – Poczulałam, jak miękną mi nogi. – Skończoność jest zimna, nieunikniona, tragiczna. Tworzymy światy, których istnienie napędza nas radością, z których precyzji i finezji możemy być dumni, ponieważ trwają. Świat dążący do zagłady może być postrzegany jako nasza klęska, jakbyśmy nie potrafili wykreować niczego trwałego. – Zamilkł na dłuższą chwilę, a nikt nie odważył się odezwać. – Pozwalamy naszym światom na rozwój, obserwujemy ich historie, zapisujemy wyniki i na ich podstawie tworzymy kolejne, doskonalsze, bardziej skomplikowane. Nigdy jednak nie stworzyliśmy czegoś, co od początku do końca podąża naszą ścieżką. Zostawiamy światy, kiedy proces tworzenia dobiega końca, od tego momentu jesteśmy już tylko biernymi obserwatorami. Ograniczamy się do początku. Wszechświat jest projektem, w którym również my odpowiadalibyśmy za koniec. Do tej pory skupialiśmy się na istnieniu światów, ich funkcjonalności pod kątem zamieszku-

jących je cywilizacji i w tej dziedzinie osiągnęliśmy mistrzostwo, ale praca Architektów nie polega na byciu mistrzami, tylko na przesuwaniu granic naszych umiejętności. Być może nadszedł czas, żebyśmy skupili się nie tylko na tworzeniu, ale również na procesach, jakim nasze światy podlegają. Wszechświat jest skazany na zagładę, jednak będzie to nasza zagłada.

– A cywilizacje? – Dobiegło zza moich pleców i nie był to głos Tesejji.

– Prawdziwe piękno docenia się tylko wtedy, kiedy przemija.

Usiadł, zapadła całkowita cisza. Kiedy wracałam na swoje miejsce zerknęłam w stronę Tesejji, jej twarz była sinoniebieska. Członkowie Komisji wymienili się myślami, po chwili przewodnicząca wstała i ogłosiła decyzję.

– Rada Wielkich Architektów w głosowaniu dokonała wyboru projektu, przyznając prawo wykonania Wszechświatowi.

– Mój arkusz zalsnił pośród pozostałych projektów. – Otrzymuje on status: do wykonania. Rada również przyznała mu trzy etapy istnienia: Wielki Wybuch, Nieuniknioną Ewolucję oraz Wielki Krach.

Nie pamiętam, czy czułam radość z wygranej, satysfakcję z udowodnienia

sobie i innym, że jednak potrafię tworzyć, czy ulgę z zakończenia jednego z najtrudniejszych momentów w mojej karierze. Siedziałam nieruchoma, zastanawiając się, co teraz. Prezentacja dobiegła końca, Architekci ruszyli do swoich pracowni. Część stłoczyła się dookoła mnie, gratulując zwycięstwa.

– Odważny projekt. – Tesejja odezwała się, kiedy pozostali odeszli. – Udało ci się.

– Postanowiłam wrócić do podstaw. – Uśmiechnęłam się, czując, jak dopada mnie zmęczenie.

– Koniec świata to coś nowego – powiedziała z udawaną uprzejmością. – Oby w tym Wszechświecie nie pojawiła się żadna inteligentna cywilizacja, szkoda by jej było.

– Na szczęście to nie mój problem. – Wzruszyłam ramionami. – Widzimy się na kolejnej Prezentacji?

Wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu i odeszła bez słowa. Spojrzałam na wciąż jeszcze pusty plac budowy, za niedługo zaroi się tam od Budowniczych.

– Wielki Wybuch, co za durna nazwa – mruknęłam do siebie i ruszyłam w stronę pracowni.

BARBARA GORZAWSKA

– autorka opowiadań, laureatka konkursu Fabryki Słów „Ostatnia cytadela” na opowiadanie z gatunku fantastyki postapokaliptycznej (2017), wyróżniona w konkursie na opowiadanie kryminalne (2018). Autorka *Śledztwa w sanatorium* (2019), a od pamiętnego marca 2020 roku także

autorka bloga „Dziennik czasu zarazy, czyli Covid-19 w Szwecji”, z przymrużeniem oka opisującego paneuropejskie zmagania z pandemią. Okazjonalnie publikuje na Wattpadzie oraz udziela się pisarsko w przedsięwzięciach non-profit. Pochodzi z Rybnika i gdyby nie życiowa

ciekawość, żyłaby tam do dzisiaj. Podążając za głosem przygody, wyjechała do niewielkiej wsi na granicy francusko-szwajcarskiej, którą w środku szalejącej pandemii opuściła na rzecz Szwecji. Lubi spędzać czas sama, gotować, malować i majsterkować, nie lubi za to jazzu, czekolady i nie pije kawy.

Tomasz Filipowicz

Z tatą na książki

Bycie tatą nie jest łatwe. Nie mitologizuję absolutnie! Po prostu to coś w ogóle innego niż bycie mamą. Nie ma tu „okresu przygotowawczego”, takiego jak ciąża, nie ma „wchodzenia w ojcostwo”, chwili na „przegryzienie” tej myśli. Ojcem się staje gwałtownie i nieoczekiwanie. Bo możemy sobie wmawiać, że do czegoś się przygotowujemy, że oswajamy się z myślą, że będziemy gotowi. Ale nie będziemy! Cała nasza teoria i poukładane w głowie sposoby oraz rozwiązania runą w chwili, gdy po raz pierwszy weźmiemy nasze dziecko na ręce – taka jest nieunikniona kolej rzeczy. A i samo męskie rodzicielstwo bardzo się zmienia na przestrzeni lat i pokoleń. Tato nie jest już odległym „panem ojcem”, ale coraz aktywniej bierze udział w wychowaniu, byciu razem i budowaniu bliskości.

Magiczny świat książek – którym znacznie łatwiej zainteresować i zarazić nasze pociechy za młodu – jest doskonałą przestrzenią do kreowania wspólnej przygody. Gdzie jest tam miejsce dla ojca? Postaram się poszukać go w tym subiektywnym przeglądzie pięciu ciekawych książek do czytania razem z tatą.



Super tata

Hervé Tullet

Na pierwszy ogień idzie urocza książeczka Hervé Tulleta z serii „A Kuku!”. Pozycja skierowana jest do najmłodszych czytelników. Doskonale sprawdzi się jako historia do czytania przez dzieci i dorosłych, którzy wspólnie będą mogli włączyć się w bajkową opowieść o tacie, który spełnia marzenia swojej rodziny – od tych zwyczajnych, aż po najbardziej szalone.



Leśna szkoła dla każdego

Peter Houghton,

Jane Worroll

Książka nie musi kojarzyć się ze spokojnym siedzeniem wieczorową porą przy wspólnych bajeczkach. Przygoda z książką może nabrać bardziej dosłownego charakteru. *Leśna szkoła dla każdego* to pozycja stworzona właśnie po to, by wyciągnąć całą rodzinę sprzed ekranów i zmierzyć się z prawdziwą „dziczą”. I nie musi to być od razu dżungla albo puszcza, bo przy odrobinie wyobraźni wystarczy parę drzew na skraju miejskiego parku. Wcielmy się dzięki niej w sprytnego lisa tropiącego swoją ofiarę czy też ćmę uciekającą przed nietoperzem, będziemy rozpoznawali drzewa, zrobimy luk i leśną bizuterię. A to dopiero początek!



*Jak tata pokazał mi
wszechświat*

Ulf Stark,
Eva Eriksson

Kolejna książka opowiada o niezwykłej wyprawie. Bo oto tata Ulfa postanowił zabrać go na wielką wycieczkę, podczas której pokaże synkowi wszechświat – wszystkie gwiazdy i konstelacje nad naszymi głowami, cały ogrom nieboskłonu. Kiedy już obaj założyli ciepłe kurtki i buty, wyruszyli... na pobliską łąkę. Taką, na której wyprowadza się psy. I gdy tato starał się zadzierać oczy ku górze, by pokazać spokój i czystość kryjące się w rozgwieżdżonym niebie, Ulf dostrzegł zupełnie co innego. To piękna historia o tym, co najważniejsze, ale i o tym, co mniej istotne, o rzeczach wielkich i małych, a także o tym, że dzieci mogą nas naprawdę wiele nauczyć, jeśli tylko im na to pozwolimy.

Pięknie ilustrowana książeczka, w której odnajdzie się wielu rodziców. Dzięki niesfornym liskom i ich tacie będziemy mogli zastanowić się nad tym, czym jest czas i jaka jest jego istota oraz jak bardzo zmienia się on w zależności od naszego punktu widzenia. Kiedy podczas pobudki bladym świtem Tata Lis wypowiada tytułowe „jeszcze pięć minut”, okazuje się, że świat dzieci jest bardzo odległy od naszych, dorosłych sformułowań, takich jak „nie mam czasu”, „czas już iść”, czy „zaraz”. Najmłodszy, nie zamykając swojego dnia w ramy godzin, wiąże czas z konkretnymi aktywnościami, a znaczenie może mieć co najwyżej ich kolejność, bo niekiedy nawet brak im świadomości, że wszystko uda się zrealizować jednego dnia. Historyjka ta jest przesympatyczną wyprawą w przeszłość, dzięki której możemy spojrzeć na dzień z perspektywy dziecka.

Książeczka, która opowiada o całym dniu spędzonym przez liski, od przebudzenia aż po moment zaśnięcia w objęciach Taty Lisa, czytającego im ulubioną bajeczkę, jest doskonałą lekturą podczas wieczornego rytuału zasypiania.



Jeszcze pięć minut

Marta Altes



*Tata Oli już nie chce
być dorosły*

Thomas Brunstrom,
Thorbjorn Christoffersen

Tym razem pozycja do poczytania z odrobinę starszymi pociechami, a przy okazji historia, przy której dorośli też będą mieli okazję do śmiechu. Tata Oli, dzielny i odważny - walczący z codziennością jak każdy dorosły, postanawia się zbuntować i knuje małą intrygę. Pozwala Oli na zamianę ról – od tego momentu to ona będzie dorosła i ma się nim zajmować. Wiąże się z tym cała masa obowiązków: przekonać tatę do punktualności, zrobić mu i sobie śniadanie, odebrać go z pracy, a później zrobić zakupy i ugotować kolację. Ale to nie wszystko! Tata Oli też nie ma łatwo – życie dziecka również nie jest pozbawione problemów.

Ta ciepła i dowcipna opowieść tworzy doskonałą przestrzeń, by wspólnie podzielić się odczuciami związanymi z naszymi obowiązkami i uświadomić sobie, że w niektórych kwestiach nie ma się po co spieszyć.

BONUS

*Proszę mnie przytulić*

Przemysław Wechterowicz,

Emilia Dziubak

Pozwalam sobie na ostatnią, nadprogramową książeczkę w tym spisie – jedna z ulubionych historyjek, przerażających razem z moją córką. To pięknie ilustrowana, pełna humoru opowieść o rodzinie misiów, w której tato jest bardzo mądry, odważny, silny, ale nie zawsze „ogarnia rzeczywistość”. Niekiedy jednak jeden, mały, płynący prosto z serca gest, może bardzo wiele zmienić. Poza tym tatusiowie często mają problem z wyrażeniem wprost tego, co czują, więc niekiedy misie mogą załatwić to za nich.

Oczywiście przedstawiony przeze mnie wybór jest bardzo subiektywny i jest tylko kroplą w wielkim i kolorowym morzu wydawniczym, kierowanym do dzieci. Poza tym każdy tato jest inny i szuka innej opowieści. A może nie?

Pozwolę sobie zakończyć cytatem z pamiętników jednego z bajkowych

„Arcytatów”, czyli Taty Muminka: „A ty, małe, naiwne dziecię, które w swoim ojcu widzisz poważną i pełną godności osobę, przeczytaj tę opowieść o przeżyciach trzech tatusiów i zapamiętaj sobie, że tatusiowie nie różnią się tak bardzo między sobą (w każdym razie nie za młodu)” (Tove Jansson, *Pamiętniki Tatusia Muminka*).



TOMASZ FILIPOWICZ

– bibliotekarz i aktywista, od lat związany z działalnością społeczną Białegostoku oraz szerzej – województwa podlaskiego. Jest twórcą i współorganizatorem Konkursu Artystycznego „Piękno niejedno ma imię” (2014–2019), był współorganizatorem Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Franciszka Karpińskiego w Białymstoku (2013–2019). Podejmował liczne inicjatywy skierowane do dzieci, młodzieży oraz seniorów. Głównym obszarem jego pracy społecznej są rodziny.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Agnieszka Bohdan

Pani Ziemia i brudne wróżki

Dawno temu wszędzie wokół rosły ogromne, zielone drzewa, a kwiaty tworzyły wielobarwne dywany. Zwierzęta żyły ze sobą w zgodzie, Pani Ziemia zaś troszczyła się o wszystko i wszystkich. Mieszkała w pięknym, porośniętym bujną roślinnością, zamku. W krainie tej nikt nigdy nie był smutny i wszyscy sobie pomagali.

W każdą niedzielę okoliczni mieszkańcy zbierali się na pikniku. Nie mogło tam zabraknąć nikogo. Zielone Wróżki tańczyły na trawie, a Śnieżnobiałe wirowały wśród chmur, niczym małe statki na niebie, Kolorowe skakały po kwiatkach razem z odpoczywającymi po pracowitym tygodniu pszczołami, zaś Ziemiste leżały na chłodnym mchu, zmęczone przeko-

pywaniem grządek. Śmiech roznosił się po całej okolicy. Każdy był wdzięczny za to, że żyje w tak pięknym miejscu.

Pani Ziemia siedziała uśmiechnięta na trawie i od czasu do czasu śpiewała wszystkim swoje ulubione piosenki. Gromkie brawa i wesołe okrzyki niosły się przez długi czas po okolicy. Po całym dniu tańców, śmiechów i biesiadowania, gdy Słońce udało się na spoczynek, wszyscy goście podziwiali razem gwiazdy, a później sami kładli się do swoich łóżek.

Tak mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem i rok za rokiem. Nikt nie narzekał na nadmiar pracy w ciągu tygodnia. Wszyscy czekali na niedzielne zabawy i biesiady.

Dziwne zaginięcie

Pewnego pięknego, słonecznego dnia Pani Ziemia wybrała się na spacer. Chciała zobaczyć, jak mają się miesz-

kańcy krainy, czy roślinki nie potrzebują deszczu, czy wszystkie Wróżki wykonują swoją pracę. Każdy miał mnóstwo obowiązków.

Po drodze spotkała Zielone Wróżki, które cesały właśnie trawę i układały piękne fryzury krzewom i drzewom. Pomachała im wesoło i ruszyła dalej.

Podniosła głowę i zobaczyła Śnieżnobiałe Wróżki, latające wysoko na niebie – właśnie malowały małe obłoczki, które ułożyły się w owieczkę, skaczącą wesoło po pastwisku. Im również pomachała i pogratulowała pomysłu.

W oddali usłyszała głośnie pluski i śmiech. Po chwili zobaczyła Kolorowe Wróżki całe w tęczyowych barwach i z szerokimi uśmiechami na twarzyczkach. Jej oczom ukazała się również piękna, wielobarwna łąka. Dawno nie widziała tylu kolorów jednocześnie. Wróżki, gdy tylko ją ujrzały, szybko podbiegły i zaczęły wypytywać jak jej się podoba ich dzieło.



– Łąka jest cudowna! – odpowiedziała Pani Ziemia. – Tyle pięknych kolorów sprawia, że od razu mam chęć się uśmiechnąć. Dobra robota!

Wróżki zakręciły się wesoło wokół Pani Ziemi i posłały jej mnóstwo całusów. Ruszyła w dalszą drogę. Nigdzie nie było widać ani słychać Ziemistych Wrózek. Nie przekopywały grządek. Dżdżownice również ich dzisiaj nie widziały. Pani Ziemia bardzo się zdziwiła i zmartwiła.

– Gdzie one mogą być? – zapytała sama siebie. – Zawsze pracowały równie ciężko jak reszta, żeby móc odpocząć na niedzielnym pikniku.

Sprawdziła pod każdym kamieniem, za każdym drzewem, wszędzie, gdzie wcześniej widywało się Ziemiste Wróżki. Nigdzie ich nie było, a do tego nikt ich tego dnia nie widział ani nie słyszał.

– Bardzo dziwne – powiedziała Pani Ziemia. – Gdzieś przecież muszą być.

Zwołała wszystkich i ogłosiła wielkie poszukiwania.

Wielkie poszukiwania

Od czasu zaginięcia minęło kilka dni, a Ziemistych Wrózek nadal nie było. Pani Ziemia chodziła bardzo smutna. Na niebie coraz częściej pojawiały się ciem-

ne chmury i okolice nawiedzały ulewne deszcze. Wszyscy w Krainie wiedzieli, że nastrój Pani Ziemi ma wpływ na to, jaka jest pogoda.

Zielone, Śnieżnobiałe i Kolorowe Wróżki naradzały się długo, przeglądały stare księgi, aż w końcu znalazły rozwiązanie. Wiedziały, jak mogą znaleźć Ziemiste Wróżki.

– Pani Ziemi! Pani Ziemi! Wiemy, co zrobić, żeby znaleźć nasze koleżanki. Wszystko jest w tej książce – przekrzykiwały się nawzajem.

– Pokażcie mi to szybko – powiedziała. – Nie możemy tracić więcej czasu. Za długo ich nie ma. Martwię się, że stało się coś złego. – Duża łza spłynęła jej po policzku i upadła na ziemię. W tym miejscu pojawił się mały staw.

Wszyscy zebrali się wokół księgi:

– Musimy powtórzyć silne zaklęcie dwa razy – zarządziła jedna z Wrózek. – Wszyscy razem, głośno: „Mary czary, dwa zegary, zaprowadźcie nas do koleżanek!”

Wszyscy mieszkańcy powtórzyli zaklęcie i nagle zaczęły pojawiać się małe, przypominające Drogę Mleczną, światelka.

– Musimy iść ich śladem – wykrzyknęła jedna ze Śnieżnobiałych Wrózek.

Ruszyli w nieznaną.

Wielki bałagan

Po przejściu długiej drogi każdy był zmęczony i marzył o niedzielnym odpoczynku. Mijali miejsca, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Wszędzie rosły wysokie i grube drzewa, które sprawiały, że światło praktycznie nie padało na ziemię. Z czasem zaczęło się przejaśniać, ale wszędzie leżały dziwne i brzydko pachnące papierki. Woda nie była tak czysta, jak w Magicznej Krainie, a rośliny wyglądały na chore. Pani Ziemia bardzo przejęła się losem nieznaną krainy. Postanowiła, że jak tylko odnajdą Ziemiste Wróżki, wszyscy będą musieli zatroszczyć się o to miejsce.

W pewnej chwili światelka zaczęły zniknąć. W oddali ktoś zobaczył jedną z zaginionych Wrózek:

– Spójrzcie! To Glibia!

Wszyscy zaczęli biec w jej kierunku. Gdy dotarli na miejsce, poczuli brzydki zapach. Ziemiste Wróżki leżały do góry brzuskami, nic sobie nie robiąc z bałaganu i smrodu.

– Co tu się dzieje? – zapytała zdziwiona Pani Ziemia. – Dlaczego nagle zniknęłyście i co robicie w tej dziwnej i brudnej krainie?

Wróżki otworzyły powoli zaspasane oczy, nie wydawały się ani trochę



zdziwione towarzystwem wszystkich mieszkańców. Nagle odezwała się mała Glibia:

– Mamy już dość tej ciągłej pracy! – krzyknęła. – Tutaj możemy cały czas spać, nie musimy sprzątać ani kopać w ziemi. Nikomu nie przeszkadzają papierki i zapach. To nasz nowy dom.

– Wróżki moje kochane. Nie możecie zaśmieczać tej krainy i nie przejmować się tym wcale. O krainy trzeba dbać i je szanować – powiedziała smutno Pani Ziemia. – Nie widzicie jak bardzo mnie to smuci, kiedy gdzieś panuje nieporządek?

– Wy możecie mieszkać w swojej Magicznej Krainie, a my w swojej – powiedziały Wróżki Ziemiste.

Pani Ziemia długo myślała, co zrobić w tej sytuacji. Kiedy pierwsze promienie słoneczne padły na jej smutną i zamysłoną twarz, w głowie Pani Ziemi pojawił się pomysł. Szybko podbiegła do źródła wody, zamknęła oczy i wypowiedziała cicho zaklęcie.

Jedna z Ziemistych Wrózek właśnie się przebudziła.

– Witaj kochana! Prawda, że piękny dzień? – powitała ją Pani Ziemia.

Wróżka nawet nie zwróciła na nią uwagi, była spragniona, a oczy lepiły jej

się od snu. Nabrała w małe dłonie trochę wody, obmyła twarz i napiła się. Nie minęła nawet chwila, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Mój brzuszek, tak bardzo mnie boli – płakała głośno Wróżka.

Narobiła takiego hałasu, że wszyscy wokół się obudzili.

– Co się stało? – zapytała Glibia.

– Nie wiem, napiłam się wody i rozboleł mnie brzuch.

– To na pewno wina bałaganu, jakiego zrobiliście. Nie można tak zaśmieczać miejsca, w którym się żyje i nie ponosić tego konsekwencji – powiedziała Pani Ziemia.

– Bzdury, na pewno nie o to chodzi. Możemy robić, co nam się podoba w naszej krainie. Zaraz napiję się wody i nic mi nie będzie! – wykrzyknęła rozszalona Glibia.

Jak powiedziała, tak zrobiła, jednak pożałowała tego już po krótkiej chwili. Ją także rozboleł brzuszek i zrobiła się cała czerwona.

– Pani Ziemio, pomóż nam. Prosimy cię, zrób coś, żeby nasze brzuszki nie bolały – płakały teraz obydwie Wróżki.

– Pomogę wam pod jednym warunkiem, musicie mi obiecać, że będziecie dbać o nową krainę. Nie będziecie więcej

śmiecić i niszczyć przyrody – odpowiedziała spokojnie Pani Ziemia.

– Dobrze, obiecujemy. Tylko nam pomóż – teraz wszystkie Ziemiste Wróżki odpowiedziały chórem.

– Cieszę się, że zmądrzałyście – powiedziała wesoło Pani Ziemia. Stanęła na środku zielonej polany, wyszeptala cicho zaklęcie i klasnęła w dłonie.

Po chwili wszystkie Ziemiste Wróżki wyglądały na zdrowe i wesoło fruwały. Nie w głowie im było śmiecenie. Ucałowały Panią Ziemię i zaczęły szybko sprzątać krainę.

Szczęśliwe Krainy

Pani Ziemia i reszta mieszkańców wróciła do Magicznej Krainy. Ziemiste Wróżki pozostały w nowym miejscu. Obiecały, że już nigdy więcej nie będą śmiecić i zaopiekują się swoim nowym domem. Gdyby nie dotrzymały słowa, Pani Ziemia od razu by to poczuła. Ona wie, kiedy ktoś nie dba o przyrodę.

Lasy, parki, rzeki i jeziora potrzebują opieki Magicznych Wrózek i Twojej też. Dołącz do Zaczarowanej Drużyny i zadбай o przyrodę wokół nas.



AGNIESZKA BOHDAN

– bibliotekarka, wolna dusza. Miłośniczka słowa pisanego i długich spacerów.

Poszukiwania zaangażowane

– z Jędrzejem Morawieckim rozmawia Justyna Sawczuk

Justyna Sawczuk: Jak trafiłeś na wissarionowców?

Jędrzej Morawiecki: Chciałem pojechać ze swoim przyjacielem, Filipem Łepkowiczem, na Syberię. Byłem początkującym dziennikarzem, on – foto-reporterem. Na początku miała to być wyprawa zaporozcem – to był jedyny samochód, na jaki nas było stać. Pan, od którego chcieliśmy zakupić auto, był bardzo zakłopotany, gdy zapytaliśmy, czy pojazd dojedzie do Moskwy. Potem, kiedy już byłem w Rosji, dowiedziałem się, że o zaporozcach jest dużo dowcipów i że generalnie samochody te są kultowe, ale mało solidne.

Całe szczęście ostatecznie pojechaliśmy pociągiem. Przeżyliśmy masę dziwnych przygód, podróżując w wagonach bagażowych, w salonkach, wagonach restauracyjnych itd. Z jednej strony mieliśmy kurs jak z Kerouaca, czyli włóczęgowski, ale jednocześnie Syberia była spragniona obcokrajowców. Mimo że byliśmy z Filipem między liceum a studiami, to przedstawiano nas jako dziennikarzy, korespondentów. Po raz pierwszy wtedy rozdawałem autografy.

Schemat był prosty: przyjeżdżaliśmy do Abakanu, Krasnojarska itd., szliśmy do miejscowych redakcji (w Abakanie do rządu chakaskiego, gdzie rozmawialiśmy z ministrem spraw zagranicznych) i pytaliśmy, co u nich ciekawego. Okazało się, że w paru miejscach mówiono nam: „W tajdze mamy swojego Chrystusa”. Pomyślałem, że to będzie temat życia. I zaczęliśmy szukać funduszy.

Po roku zacząłem współpracować z „Tygodnikiem Powszechnym”, w Polskim Radiu zacząłem robić reportaże. Wygrałem stypendium im. Jacka Stwory, co pozwoliło mi zaplanować wyjazd. Wyobrażaliśmy sobie, że to będzie niebezpieczne, że będziemy uciekać z tego miejsca. Dziś wiem, że nie byłoby to możliwe, bo naokoło był metrowy śnieg i jedna droga, która się ciągnęła 80 czy 100 kilometrów, ale nie było też potrzeby ucieczki. Po prostu wjechaliśmy tam i okazało się, że kolejnych 5 lat to był ten reportaż radiowy, reportaż w „Tygodniku Powszechnym”, doktorat socjologiczny, a później książka *Łuskanie światła*. No i film.

Na czym właściwie polega fenomen tej grupy? Kilka razy wracałeś do Zony – enklawy, w której żyją wissarionowcy, powstały z tego i reportaże, i praca naukowa. Co Cię tam ciągnęło i co przyciąga tam ludzi?

To chyba dwie różne rzeczy. To, co mnie przyciągnęło, nie jest na pewno tym, co przyciąga tych, którzy tam zostają, czy zostawali. Chyba patrzę na to inaczej z perspektywy czasu albo widzę jeszcze inne przyczyny niż widziałem wtedy. Wtedy właściwie było to dość proste. Widziałem, że jest to być może temat życia, no i chyba jest, bo minęły 22 lata, a my wciąż o tym rozmawiamy.

Poza tym to było poszukiwanie, sprawdzanie siebie. Biorąc pod uwagę, ile miałem lat, miałem też potrzebę inicjacji, sprawdzenia siebie w warunkach dziwnych, ekstremalnych, niebezpiecznych, zrozumienia świata, wywrócenia trochę siebie i tego świata. Z tego powodu też zacząłem jeździć do Rosji. Zobaczyłem, że ona nie jest taka, jak w opowieściach, że nawet nasi reportażyści ją zaczarowują, ale zobaczyłem też, że ta dziwność, ta niezwykłość, coś, co nas bardzo uwiera i rozbija naszą wizję świata, sprawia, że czujemy się bardzo niekomfortowo jeżdżąc tam, bo zderzamy się z czymś, co jest zupełnie inne niż się spodziewaliśmy i nie jest gorsze – jak mówiło się o Wschodzie. Zobaczyłem tam niezwykłą wielość religijną i że istnieje miejsce na akceptację takich zachowań. Teraz jest z tym w Rosji dużo gorzej.

Z opowieści gangstersko-podróżniczych przeszedłem do opowieści o alternatywie duchowej wobec dużych kościo-

łów i o tym, że sekty nie muszą być złe i nie są niczym gorszym niż kościoły – to po prostu inna ścieżka poszukiwania. Nie czuję się związany z żadną instytucją religijną, ale starałem się te rzeczy obserwować. W tym sensie, co innego ciągnęło do Zony mnie, a co innego ludzi. Oni chcieli się przekonać, czy Chrystus, o którym słyszeli, istnieje naprawdę. Mówili: „Nie wiemy, czy on jest prawdziwy, ale uczciwe, skoro te rzeczy są dla mnie ważne, jest po prostu to przetestować i sprawdzić”. Poza tym to byli ludzie, którzy doświadczyli tego, o czym mówił prof. Włodzimierz Pawluczuk, czyli takiej katastrofy kosmicznej, która wcześniej nastąpiła i szukali czegoś, co znowu im ułoży życie, co powie, że to wszystko, co przeżywają ma sens, no i też miejsca, gdzie mogą poczuć, że są potrzebni, że są lepsi, że można starać się być lepszym. To były trochę wybory kaskaderów – ludzi, którzy postanowili zostawić wszystko, nie – jak się u nas mówi – uciec w Bieszczady, tylko wyjechać w tajgę i żyć zupełnie inaczej.

Jak przyjęli Cię członkowie tej grupy?

Bardzo dobrze. Przypominam sobie taki artykuł, w którym pisano, że tam stosuje się klasyczne techniki manipulacji, charakterystyczne dla sekt, takie jak bombardowanie miłością. Byłem bombardowany miłością, bo to był okres neoficki. To jest taka słodycz, która bywa trudna do wytrzymania. Ciągłe obejmowanie się, uśmiechanie... Tam była w ogóle doktryna uśmiechu. Mieli się uśmiechać, bo zakładali, że wtedy będą emitować pozytywną energię. Po kilku moich wizytach, zrobili listę tego, co muszę wziąć ze sobą – byli przekonani, że ja tam zostanę.

Miałem na początku taki pomysł, że opowiem im bajkę, że po śmierci Jerzego Turowicza „Tygodnik Powszechny”



fot. Bogumiła Maleszewska-Ohsztol

szuka nowych dróg i że wysłał na cztery strony świata ludzi – ja jestem jednym z nich – którzy szukają inspiracji i że usłyszeliśmy o Chrystusie, więc przyjechałem to sprawdzić. Wziąłem nawet ten numer „Tygodnika”, ale kiedy tam przyjechałem, to pomyślałem, że nawet jeżeli zakładamy, że wchodzimy do miej-

sca niebezpiecznego, hermetycznego, takiego, do którego mało kto wchodził i zostawał dłużej, żeby je opisywać, to tego rodzaju postępowanie byłoby po prostu nieuczciwe. Spojrzałem na Vadima Redkina – apostoła Wissariona i powiedziałem: „Słuchajcie, miałem wam opowiedzieć pewną historię, ale prawda

jest taka, że chcę po prostu zobaczyć i zrozumieć to miejsce. Nie obiecuję wam, że was dobrze opiszę. Obiecuję wam, że nie przyjechałem tutaj po to, żeby was opisać źle”. I nagle się okazało, że to otworzyło mi wszystkie drzwi. Nie byłem kontrolowany, nie chodzono za mną, nie miałem opiekuna. Wędrowałem swobodnie. To jest duży obszar w tajdze – trzy dni szło się na piechotę pomiędzy wioskami. Po prostu z nimi żyłem i ich opisywałem. To się zaczęło zmieniać pod koniec, kiedy robiliśmy film dokumentalny – 5 lat później. Kiedy przyjechalśmy z ekipą, zobaczyłem, że inaczej nas traktują, trochę jak narzędzia, bo film był silnym narzędziem propagandowym.

Wydaje mi się, że prowadzenie tego typu badań wymaga zaangażowania, zbliżenia się do drugiego człowieka. Czy wissarionowcy w pewnym momencie nie zaczęli Cię traktować jak „swojego”, jak członka wspólnoty i czy udało Ci się zachować dystans niezbędny, by trzeźwo patrzeć na całą tę sytuację, której się przyglądasz i którą opisujesz?

Część ludzi rzeczywiście traktowała mnie jak „swojego”, ale ja właściwie przechodziłem taką podróż do środka, do duchowego jądra tej grupy i z powrotem, bo z kolei kiedy wróciłem z ekipą filmową, to mimo iż mnie znali, jako grupę traktowali nas inaczej. Natomiast były też momenty, kiedy czułem, że należy z tego wychodzić.

Pierwszy raz kiedy mnie poproszono, żebym przetłumaczył Ostatni Testament, czy Najnowszy Testament (Последний Завет) i zawiózł do Watykanu, żebym zorganizował Wissarionowi na uniwer-

sytetach w Polsce tournée. Drugi moment był, kiedy szukaliśmy bohatera filmu. Miał nim być Mirżan z Kazachstanu. Wieczorem, po nagraniach, Mirżan chciał ze mną porozmawiać i mówi: „Jędrzej, powiedz mi szczerze, bo to jest dla mnie ważne, jak jest na zewnątrz? Jak ty na nas patrzysz?”. Wtedy powiedziałem, że widzę klasyczną realizację utopii, odtwarzanie tych samych nierówności i mechanizmów socjologicznych, które są nieubłagane: mieliście być równi, a nie jesteście równi. Podziękował mi. Parę miesięcy później zadzwoniliśmy z Polski do jednej z wsi, na pocztę, bo tylko tam były telefony, i powiedzieliśmy, że chcemy rozmawiać z Mirżanem. Dowiedzieliśmy się, że wyjechał – oczywiście nie tylko w wyniku tej rozmowy, ale to był moment, kiedy on to w sobie ważył. Zdałem sobie sprawę, że nie jestem neutralny, te rzeczy zależą też ode mnie.

Natomiast, jeżeli pytasz o metodologię i o problem zachowania dystansu, to ja założyłem, że jeżeli zasady i to, w co wierzę, jest na tyle kruche, że mnie ta sekta zwerbuję, to znaczy, że one nie były wiele warte, natomiast naukowo ta sytuacja była na tyle komfortowa, że po prostu szukałem i zbierałem dane. Robiłem wywiady biograficzne, potem miałem więcej obserwacji uczestniczącej. Bycie w środku nie przeszkadzało mi w utrzymaniu dystansu naukowego, natomiast dopiero później zdałem sobie sprawę z tego, co mnie tam ciągnęło osobiście.

Moi rodzice poznali się w teatrze Grotowskiego, pamiętam masę ludzi w domu. Przyjeżdżali w czasach PRL-u z różnych krajów. Wydawało mi się, że taki jest świat i taka jest Polska. Potem zrozumiałem, że się mylę. I pewnie to

była taka kontynuacja poszukiwań, bo wissarionowcy to jest też alternatywa dla otaczającej nas rzeczywistości.

Myślałem o tym, żeby tam znowu wrócić. Długo tego nie robiłem, bo bałem się, że to będzie trudny wyjazd, bardzo smutny – taki Wierszalin dwadzieścia lat później, obraz zgłiszcz albo niezrealizowanej utopii. Teraz już się tego nie boję.

Sytuacja tam na miejscu też mocno się zmieniła, bo Wissarion został aresztowany, więc otwiera się jakiś zupełnie nowy rozdział, ale ja też jestem teraz w innym momencie życia, więc myślę, że to jest dobry czas.

Rozumiem, że nadal śledzisz to, co się dzieje z wissarionowcami, a kiedy ostatni raz odwiedziłeś Zonę?

Ostatni raz byłem tam w 2005 roku, kiedy kończyliśmy film. Potem nie chciałem tam jeździć, ponieważ czułem, że wszedłem już za głęboko. To było bardzo trudne, angażujące emocjonalnie.

Rzeczywiście nadal śledzę los wissarionowców, zostałem też zaproszony przez rosyjskich naukowców do grupy, mającej być taką grupą wsparcia dla tego ruchu, broniącą mniejszości religijnych. Niestety, docierają do nas jedynie strzępy informacji na temat tego, co aktualnie się tam dzieje. Zajęło się tym FSB¹, wjechali do Zony, trzy osoby wywieźli helikopterami. Te informacje o Wissarionie, które wydostają się z aresztu są szczątkowe i nie wiadomo, na ile prawdziwe. Nie jest skazany, zarzuty są bardzo niejasne, właściwie główny zarzut, jaki został podany, to przeprowadzenie nielegalną grupą religijną, który mógł być postawiony dwadzieścia parę lat temu, a postawiono go teraz. Więc oczywiście nie o to w tym chodzi, ale trudno mi mówić o rzeczywistych powodach.

¹ Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej

Mamy XXI wiek, który – teoretycznie – daje nam mnóstwo możliwości. Zastanawiam się, czy czasy współczesne wpłynęły na zmianę motywacji tych, którzy przyłączają się do sekt czy ruchów religijnych? Czego szukamy w nich dzisiaj?

Jest teoria mówiąca, że trzeba spełnić określone warunki, żeby przejść z grupy do grupy, na przykład wejść do sekty. To jest rozczarowanie dotychczasową grupą – niekoniecznie religijną, poczucie pewnej bezradności, poszukiwanie odpowiedzi na pytania egzystencjalne, wywołane np. traumatycznym przeżyciem, brak odpowiedzi na te pytania ze strony aktorów świata, w którym jesteśmy oraz wsparcie ze strony nowej grupy. Pamiętajmy też, że Rosjanie przeżyli rozpad świata, rozpad symbolicznego komunizmu, dużej jego części i to widać w wywiadach biograficznych.

Z drugiej strony powiedziałaś, że mamy tyle możliwości. Ja mam nadzieję, że nadal je będziemy mieli, bo jesteśmy jednak w innym momencie, niż wtedy, kiedy wissarionowcy powstawali. To był też czas, kiedy wydawało mi się, że pójdziemy w kierunku New Age’u, uniwersalizmu, synkretyzmów. Potem się oka-

zało, że wraca świat twardych narracji i fundamentalizmów: katolickich, prawosławnych, islamu itd. Doświadczyło tego także społeczeństwo rosyjskie. Dziś już nie byłibyśmy w stanie sfilmować tego, co zarejestrowaliśmy z Maćkiem Migasem w filmie *Syberyjski przewodnik*, tego, co ludzie opowiadali jadąc pociągiem, np. że ktoś widział Matkę Boską na jeziorze, bo w tej chwili można za to nawet trafić do więzienia. Nie wiem, czy byłbym w ogóle w stanie dotrzeć do ta-

kich ludzi, do jakich dotarliśmy wtedy, bo tamta Rosja odwilży, Rosja liberalna, chociaż niesprawiedliwa, trudna do życia, ale różnorodna, po prostu się skończyła.

Myślę, że dopóki będzie tak, że sami sobie wybieramy, czy jesteśmy w jakiejś grupie czy nie albo czy się o nie ocieramy czy poruszamy pomiędzy nimi, to jest to piękny świat, możemy sobie po prostu szukać.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmowa zarejestrowana
podczas 7. Festiwalu
Literackiego „Patrząc
na Wschód”.

WISSARIONOWCY – potoczne określenie członków Kościoła Ostatniego Testamentu, wspólnoty religijnej, działającej w Rosji i krajach byłego Związku Radzieckiego. Kościół Ostatniego Testamentu założony został w 1991 roku przez byłego milicjanta Siergieja Anatoljewicza Toropa, który ogłosił się inkarnacją Jezusa Chrystusa i przybrał imię Wissarion. W tajdze, na południu Kraju Krasnojarskiego stworzył Zonę – Nowe Jeruzalem, enklawę, w której do niedawna mieszkał przywódca ruchu oraz jego uczniowie – w sumie kilka tysięcy ludzi, żyjących w kilku wsiach. W 2020 roku Wissarion został aresztowany przez rosyjskie służby bezpieczeństwa.

JĘDRZEJ MORAWIECKI

– pisarz, publicysta, reporter, wykładowca akademicki, autor książek reportażowych i naukowych, m.in. *Syberyjska sekta wissarionowców jako fenomen społeczno-religijny* (2010), *Mały człowiek. O współczesnym reportażu w Rosji* (2010), *Łuskanie światła. Reportaże rosyjskie* (2010), *Głęboka. Reportaże z Polski* (2011), *Schylek zimy. Bajka dokumen-*

talna (2011), *Krasnojarsk zero* (2012, z Bartoszem Jastrzębskim), *Innego piekła nie ma. Rozmowy o religii* (2014, z Bartoszem Jastrzębskim), *Cztery zachodnie staruchy* (2014, z Bartoszem Jastrzębskim), *Jutro spadną gromy* (2015, z Bartoszem Jastrzębskim i Maciejem Skawińskim), współtwórca filmu *Syberyjski przewodnik* (z Maciejem Migasem).

Tekst i zdjęcia: Zofia Piłasiewicz

Bug



Bug pod Sławatyczami

Tu nie mówi się „rzeka”, mówi się Bug. Może to wynik tego, że Bug to tylko jedna sylaba, wyraz krótszy od wyrazu „rzeka”, a może to przez szacu-

nek dla tej dzikiej, płynącej wody? Któż to wie. Może tu, w Sławatyczach, „rzeka” rozumiana jest jako coś więcej niż zwykła rzeka, jako coś bardziej archetypowego, dzikiego, błędzącego, wielkiego, granicznego. W każdym razie, jeśli spytać mieszkańca Sławatycz, Kodnia, Włodawy o drogę - zaraz ją wskażą i odniosą do Bugu. „Tam, bliżej Bugu” – powiedzą.

Albo: „Byłem wczoraj nad Bugiem”. Albo jeszcze inaczej: „Idę na ryby, na Bug”, „Wróciłam z łęgów nad Bugiem”. Jakby w okolicy było wiele rzek i można było się pomylić.

A rzeka budzi szacunek. „Rozlewa się wstęgą w szmaragdach traw i drzew liściastych” – jak pisał, w wydanym w 1929 roku przewodniku, Wacław

Świątkowski. „Znać ukochał [Bug – przyp. Z.P.] łąki i błonia, wikliny, wierzby i olchy, bo ani na chwilę nie rozstaje się z nimi (...). Od świtu do nocy czajka nad nim kwili, pogwizdują szpaki i drozdy, żaby kapelę prowadzą. Do czystej jego krynicy długim szeregiem ciągnie kaczka, bocian, żuraw, czapla, szukając żeru dla siebie, pędzi znużone stado, by ugasić pragnienie, spieszy spracowany żeniec, orzeźwić chce ciało spragnione, podąża strudzony wędrowiec, by wzrok nasycić widokiem cudnym”¹.

I niewiele się od tamtego czasu zmieniło. No może żeńców już nie widać, tylko słychać, jak traktor po białoruskiej stronie orze graniczną zonę.

Maciej Kazimierz Sarbiewski, jeden ze znamienitych poetów polskich epoki baroku, tak pisał, zwracając się do Bugu:

*O Bugu, którego głębiny nie zmierza
Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
Ni trzoda bliskiego pasterza
Swawolnym pływaniem cię brudzi,
Jak miło się wsłuchać w twój szelest
i gwary!*

I po prawdzie wiosłem trudno grunt zmierzyć. Moja próba wykonania tej czynności kończy się jego złamaniem. Może nie jest strasznie głęboko, ale naniesione przez rzekę, na jej dnie, gałęzie przykryte łem, tworzą dziwną kombinację, w której więźnie pióro mojego wiosła i zostaje tam na zawsze. Wyciągam złamany kij. Bug to niebezpieczna rzeka. Ciągłe zmieniające się dno, łachy ilastego piachu, piękniejszego niż nad naszym Bałtykiem, a zarazem głębiowe doły, wartki prąd i miejscowe wiry, liczne starorzecza i stojąca w nich woda, wyspy, skarpy, łęgi i trzciniowiska. Jak dobrze, że człowiek jeszcze nie pokusił się o regulację jego brzegów.

Dolina rzeczna sprawia, że wiosną Bug się rozlewa szeroko. Czasem można dopłynąć prawie pod mury klasztoru w Jabłecznej, a ze skarp rozciągają się bajeczne widoki. Rankiem dolinę pokrywają mleczne poduchy mgieł, nad które wystają wierzchołki drzew.

My płyniemy w drugiej połowie sierpnia, ale jeszcze żegnamy kołujące

szosę już opuściła swoje kolonie wydrążone w piaszczystych skarpach, ale niektóre znaczą czarne linie na niebie. No i zimorodki jak niebieskie przecinki. I ta cisza! Tylko czasem szemranie Bugu na zwałonych drzewach, wśród konarów, w nurcie pięknej rzeki.

Dolina Bugu jest umowną granicą między Europą wschodnią i zachodnią.



Bug – piaskowe skarpy po białoruskiej stronie

przed odlotem bociany, dostrzegamy białe czaple, czarnego bociana na brzegu, a nawet niespotykaną już w Puszczy Augustowskiej krasę – jej barwny rysunek odznacza się wyraźnie na tle zielonych liści. Jeszcze nieliczne brzegówki – więk-

Na północ od Bugu rozciąga się Wysoczyzna Podlasko-Białoruska, należąca do rozległej prowincji Niżu Zachodniorosyjskiego. W granicach Polski położony jest makroregion zwany Niziną Południowopodlaską. Na południe od

¹ W. Świątkowski, *Podlasie*, Warszawa, 1929 r.



Cerkiew w Sławatyczach

dopływów Bugu: Krzny i Leśnej leży Polesie, także wchodzące w skład Niżu Zachodniorosyjskiego.

Krajobraz szerokiej doliny rzeźbiony był przez tysiąclecia przez rzekę. Wpływające doń liczne dopływy, strumienie i wiatr pozostawiły po sobie liczne starorzecza. Na starych, dziewiętnastowiecznych mapach widać, jak koryto przesunęło się w kierunku wschodnim, pozostawiając miejsca odcięte od głównego nurtu, wypełnione wodą o spokojnej toni lub starsze, niewyraźne ślady w postaci zwiększonej wilgotności gleby i płatów roślin szuwarowych. Starorzecza, zwane tu „bużyskami”, to raj dla różnego rodzaju stworzeń. Fauna i flora tych miejsc przyciąga miłośników fotografii

przyrodniczej i tych spragnionych po prostu kontaktu z jeszcze dziką przyrodą i ciszy, której nie zakłóca żaden warkot samochodów. No, może czasem quad strażnicy granicznej zaznaczy swoją obecność.

Codziennie meldujemy straż, jaki odcinek będziemy przepływali, a zasada jest taka, by nie wysiadać na prawym brzegu – tam jest już Białoruś i możemy mieć kłopot. Polecają nam też trzymać się raczej lewego brzegu. Czasem bywa to trudne, bo nurt zawija bliżej prawego, ale rozumiemy, że granica państw przebiega środkiem nurtu, a nie rzeki, więc nie mamy obaw trzymając się czasem prawej strony.

Gdzie duża rzeka, tam i ludzie zwabieni przyjaznym szlakiem komu-

nikacyjnym. Osadnictwo pojawiło się tu około VI wieku naszej ery. Do dziś zachowały się kamienne baby pod Nęplami i Pratulinem. Podobne do tych można spotkać w Azji Środkowej czy na północy Europy. Podlasie zawsze było ziemią pograniczną. W końcu pierwszego tysiąclecia, gdy zaczęły tu powstawać pierwsze stałe osiedla ludzkie, było to pogranicze Mazowsza i Rusi, stanowiące też pogranicze kulturowe. Rusini byli prawosławni, Mazowszanie – katolikami. Dzisiaj, na jednej ulicy, po przeciwnych stronach, można spotkać kościół katolicki i cerkiew prawosławną, a w Kostomłotach jeszcze klasztor unicki – nadal działająca, jedyną w Polsce, parafię neo-



Kostomłoty – dzwonnica



Fragment ruin zabudowań folwarcznych w Różance

unicką. W obrębie tego pogranicza, obie nacje oddziaływały na siebie wzajemnie, na swoją kulturę i obyczaje, w wyniku czego na Podlasiu wykształciła się specyficzna mozaika etniczno-religijna, prawdziwy, fascynujący tygiel kulturowy, którego resztki mamy przywilej zobaczyć i dziś. Resztki, bo o tym, jakie jeszcze kultury miały swój udział w tworzeniu tego pejzażu, świadczą pozostałości zabytków kultury żydowskiej we Włodawie. Pobliskie Muzeum i Miejsce Pamięci w Sobiborze wyjaśnia, co stało się z tą społecznością i stanowi wstrząsający ślad Holokaustu. Z pietyzmem i ogromnym szacunkiem dla ofiar dokumentuje losy ostatnich mieszkańców pochodzenia żydowskiego

z nadbużańskich wiosek i miasteczek. Wzruszający, biały plac, przysypane białym tłuczniem pole obok dawnego pieca krematorium. To tu zostały w ziemi szczątki bestialsko zamordowanych. Ktoś na skraju tego białego pola położył czerwoną różę. Żałuję, że nie mam ze sobą kwiatu, powinnam położyć go obok.

Spacerując alejkami obozu, czytam napisy na kamieniach, rzecznych otoczkach poukładanych wzdłuż ścieżek. Czasem imiona i nazwiska, czasem nazwy miejscowości skąd pochodzili ci, którzy tu zginęli. Nie sposób upamiętnić każdego z setek tysięcy, ale przynajmniej część. Wielkie cyfry są

bezosobowe. Imię i nazwisko na kamieniu przywraca tożsamość. Czytając je, w jakiś sposób przywracamy pamięć konkretnych osób. Więc... czytamy.

Wracamy nad Bug. Płyniemy, po prawej stronie mijamy słupek trójstyku granic. Polska, Ukraina, Białoruś. Od tego miejsca liczymy kolejne słupki graniczne narastająco. Czasem wyraźnie widoczne, a czasem schowane gdzieś w zieleni. We Włodawie, przy słupku granicznym nr 15 mijamy wodowskaz, punkt pomiaru wysokości Bugu. To za sprawą codziennych komunikatów emitowanych w radiowej Jedynce „We Włodawie na Bugu...” wszyscy znamy to miejsce, a przynajmniej o nim słyszeliśmy.



Fragment ruin i parku w Różance nad Bugiem

A potem, kilkadziesiąt kilometrów dalej – Różanka, a właściwie to, co zostało z kwitnącego majątku, fragmentu ordynacji Zamoyskich. Pałac umiejscowiony nad Bugiem nie miał szczęścia.

Według legendy, wybudowany został za zasługi dla Ludwika Pocięja przez cara Rosji, Piotra I. Pocięja to dość szermirana postać, lawirant polityczny, hetman litewski. Car, który odwiedził Pocięja, zdumiony skromnością jego domu w Słusznie, wezwawszy go na swój dwór, tak długo gościł w Moskwie, aż mu siedzibę w niedalekiej Różance w międzyczasie wybudował. Tak mówi legenda, ale prawdą jest, że Pocięja, wchodząc w kontakty z dyplomatami rosyjskimi, zapewnił sobie strumień rubli, płynących z Rosji, do końca swoich dni. W 1713 roku Ludwik Pocięja zamieszkał w okazałym pałacu. Wyrobił sobie intrykatne stanowisko podskarbiego litew-

skiego, co pozwoliło mu nadzorować ściąganie podatków i bicie monet dla Litwy. Wkrótce wartość wybijanych przez niego pieniędzy była tak licha, że widniejące na monetach inicjały L.P. tłumaczono jako „Ludzki Płacz”. Po jego śmierci pałac wraz z otoczeniem przeszedł w ręce Zamoyskich. W pałacu w Różance zamieszkała szósta gałąź rodu Zamoyskich z Augustem Zamoyskim na czele. Odbudowany z rozmachem, po spaleniu w 1836 roku stanowił perłę architektoniczną Ziemi Włodawskiej. Pałac otoczony był pięknym parkiem, który schodzi aż do samego Bugu. Ogród owocowy, tak zwany francuski, założony jeszcze przez Augusta przy pomocy ogrodnika z Francji, słynął na całą okolicę wybornymi gatunkami owoców. Od strony Bugu pięknie urządzone, tarasami schodziła do wody, skarpa, na której stał pałac. Tu znajdowała się też przystań, a gospoda-

rze, poruszając się łodziami, mogli odwiedzać swoich sąsiadów w Kodniu.

W środku wsi, w niewielkim gminnym muzeum, oglądamy zdjęcia dawnej siedziby i ślady życia mieszkańców. Wydawano tu nawet gazetę o nazwie oczywiście „Bug”, a jakże inaczej, z informacjami, co się w majątku dzieje. Nawet dziś zachowane resztki zabudowań folwarcznych budzą podziw rozmachem. Kiedyś musiało to być znakomicie funkcjonujące gospodarstwo. Nie bez powodu August Zamoyski uchodził za utalentowanego i przyjaznego nowinkom technicznym gospodarza.

Dziś z pałacu nie pozostało nic, ale zachował się zaniedbany park. Pokrzywy po pachy, ale drzewa, czterdziestometrowe jesiony, dęby, klony i kasztany, dają wyobrażenie świetności tego miejsca. Z lustra wody nie widać nic, poza szczelną, zieloną ścianą liści, ale kiedy podej-



Klasztor w Jabłecznej



Święty dąb pod klasztorem w Jabłecznej

dzie się od strony zabudowań folwarcznych i bramy głównej, drzewa dają znać, że nie jest to zwykły porzucony ugór. To właśnie drzewa nadal przywołują moc tego miejsca.

Jeszcze 30 kilometrów i dopływamy do Kodnia. A tu wita nas – powitajka! Starsza pani przywołuje nas i z błyszczącymi oczami opowiada: „Dwa lata temu postanowiłam, że będę taką powitajką. Będę witać ludzi, którzy tu przyjeżdżają, przyplwają czy przychodzą. A teraz musicie wysłuchać mojego powitania!”. W przestrzeń leci rym częstochowski, długi poemat o pięknie tego miejsca i całego boskiego urzędzenia świata. Słuchamy zauroczeni nie tyle rymem, co zapalem opowiadającej czy jak chce siebie nazywać – powitajki, jej uśmiechem i uwagą, jakby nie z tego świata. Aż nagle recytacja się kończy i zaskakująco trzeźwy głos mówi: „O! Tu mieszkam” –

wskazuje na małe domki. „A mówię swoje powitajki, żeby ludzi zatrzymać w ich pędzie, niech się skupią na tym, co dookoła, na tym pięknie wokół. Trochę was zatrzymałam, prawda?”. Prawda! Bo na chwilę wpadliśmy w jakiś inny strumień czasu. Niewątpliwie za sprawą tej dziwnej, ale pięknej i przyjaznej kobiety.

W Jabłecznej najbardziej zachwyca mnie dąb. Nie jakieś zwykłe drzewo, ale dąb, który ma może 400, a może 600 lat. Klasztor prawosławny św. Onufrego w Jabłecznej stoi tu od 500 lat, a podobno pierwsi pustelnicy zamieszkiwali w dziuplach wypalanych w dębach. Może te dęby z Jabłecznej jeszcze to pamiętają? To ewenement, że na terenach zalewowych, w niedalekiej od siebie odległości, rośnie czterdzieści wspaniałych, rozłożystych dębów szypułkowych. A ten, przed którym stoję jest naprawdę niezwykły. Mam ochotę ukłonić mu się najpiękniej

jak potrafię. Zresztą chyba nie tylko ja. Cała kora wokół pnia pokryta jest mniejszymi, większymi, bardziej zdobionymi lub mniej krzyżkami. Czasem za korę wsadzony jest święty obrazek lub kawałek wstążki, a czasem przybita kapliczka. Pielgrzymi widać i dębowi składają ofiarę. Bo jakże nie chwalić stworzenia bożego w tym pięknym drzewie? Więc kłaniam się zamasyście... i słyszę zrezygnowane westchnienie mojego męża. A w drzewach jest przecież coś magicznego. Zapisują we własnych ciałach dzieje wszystkich kryzysów jakie przeżyły, kąpią się w wiedzy sprzed setek lat. Ach, żeby móc ją odczytać, może wtedy i my bylibyśmy mądrzejsi? Podobno dąb może mieć 500 milionów korzonków, które skutecznie wymijają się z konkurentami wzajemnie sobie nie przeszkadzając. Potrafią rozpełzać się na 300 metrów w poszukiwaniu odżywczych składników. Więc z szacun-



Święte drzewo Jabłeczna



Kościółek w Hannie

kiem dotykam kory, spoglądam w górę, w zieloność szeleszczącego cicho listowia i nawet nie próbuję objąć drzewa, którego obwód ma chyba ponad 7 metrów.

Dalej, płynąc Bugiem, lądujemy w Kostomłotach. Nie sposób nie zauważyć błyszczącej w słońcu czaszy pięknej, drewnianej cerkiewki, której początki sięgają XVII wieku. O jej historii opowiada nam ksiądz Zbigniew Nikoniuk. Wzniesiona na planie prostokąta, posiada jedną kopułę na czworobocznej wieży. Ale prawdziwe skarby znajdują się w środku. Zabytkowy, dwurzędowy ikonostas, osiemnastowieczne carskie wrota, wizerunek św. Nikity otoczony czternastoma scenami z życia patrona cerkwi. A każda ikona uświęcona pięknie wyszywaniem, bielutkim ręcznikiem.

Ksiądz opowiada o niełatwej historii, o bieżenstwie, o wojnie 1920 roku, kiedy Kostomłoty sześć razy przechodziły z rąk do rąk, w efekcie zostając całkowicie zniszczone, o powrocie do tych zniszczonych domów bieżenców, którzy pytani o motyw powrotu na te nędzne zgliszcza odpowiadali: „Ta strona myła, de mate wrodyla”², o epidemii tyfusu, o chwilach spokoju i współlistnienia z innymi wiarami, o wojnie, o akcji „Wisła” i wysiedleniu. Po raz kolejny musieli opuścić swoje domy. We wsi pozwolono zostać jedynie starcom i kalekom. Wprawdzie na Mazurach, gdzie przesiedlono mieszkańców, materialnie dobrze im się powodziło, ale tęsknota za rodzinnymi stronami wywoływała smutek i melancholię. Po dziesięciu latach, za sprawą decyzji Władysława

Gomułki z 1956 roku, mogli wrócić do swoich domów. „Niektóre gospodarstwa miały już nowych właścicieli, trzeba było więc je wykupić, część gruntów przyłączono do PGR-u, wielu musiało budować swoje gospodarstwa od początku” – opowiada ksiądz Zbigniew.

Kostomłoty to ostatni w tym roku przystanek naszej kajakowej wędrówki po Bugu, ale zanim wrócimy do domu, jedziemy – już samochodem – do Romanowa – dworu, w którym dzieciństwo u swoich dziadków spędził Ignacy Kraszewski. To stąd wyniósł patriotyzm i szacunek do tradycji, a także kult piękna, przejawiającego się w literaturze, muzyce, sztukach plastycznych. W pięknie odrestaurowanym parku, podziwiamy drzewa pamiętające młodego Ignacego, a kustoszka w odrestaurowanym dworze-muzeum opowiada nam o życiu pisarza, który zostawił po sobie 220 powie-

² Ta strona miła, gdzie nas matka urodziła.



Dwór w Romanowie – Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego



Przestrzeń i rzeka

ści w 400 tomach. Spacerując po salach, urządzonych zgodnie z epoką świetności dworu, można poczuć atmosferę tamtego czasu i niemal usłyszeć gwar, a na parkowej ławce zobaczyć schylonego nad kartką Ignacego w pięknym cylindrze.

Tyle ciekawych rzeczy można zobaczyć w zakolach wielkiej rzeki, a to zaledwie mały kawałek tego, co może tam odkryć podróżnik-turysta, przyrodnik czy tylko potrzebujący ciszy spacerowicz. Bo nie spotkamy tu tłumów jak nad mo-

rzem ani nie będziemy deptać po piętach tych, co przed nami w górach, a i kajaki policzyć można na palcach jednej ręki. Bug w ciszy płynie przez kolejne pory roku, a my już myślimy o zimowym wyjeździe nad wielką rzekę.

ZOFIA PIŁASIEWICZ

– psycholog, autorka książek: *Syberyjski sen. Opowieść bezdrożna, Gruzja. W pół drogi do nieba, Podróż*, tomiku wierszy *Ćwiczenia z pamięci*, licznych artykułów prasowych dotyczących podróży i nie tylko. Zdobywczyni I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Mikołaja Kajki (2019)

i Ogólnopolskim Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza (Łomża 2012). Zajmuje się również fotografią. Wystawy indywidualne: „Impresje” (2010), „Sen leśnych olbrzymów” (2012), „Gruzja w pół drogi do nieba” (2013), „Droga” (2019), udział w wystawie zbiorowej „Mężczyźni w obiektywie kobiet” (2013).

„Podlasianie nie gęsi, swój język mają”, czyli Miś Mieczysław i podlaska gwara

Przedstawiamy Państwu Misia Mieczysława – znakomity projekt

grafik Anny Jaszczuk oraz ks. Kamila Dąbrowskiego, kapłana i poety.

Miś Mieczysław urzekł nas prostotą i umiejętnością zabawy słowem.

Na naszych łamach „wziął na warsztat” podlaską gwara.

o mnie

Miś o całkiem wielkim rozumku i jeszcze większym sercu.

Najlepsze powstaje po połączeniu Mianownika i Biernika. A może raczej Biernika i Mianownika. Tak, to bardziej prawdopodobne.

Następnie to, co naukowe trzeba dodać do tego, co dziecięce. Bo tylko dzieci są w stanie poznać Tajemnice Królestwa. Sama naukowość, choć ważna, nie jest wystarczająca. To tak jak zupa pomidorowa. Sam pomidor nie wystarczy. Bez wody, to tylko pomidor. A z wodą to już pomidorowa.

Naukowość dodana do tego, co dzieciinne rodzi kogoś niezwykłego. To Miś Mieczysław.

Miecz + sława

Biernik
Kogo? Co?
Miecz.

Mianownik
Kto? Co?
Sława.

I tak powstałem Ja, Miś Mieczysław.

Moje DNA składa się z miecza i sławy. Jestem składową naukowości i dziecięności.







ANNA JASZCZUK

– grafik freelancer. W wolnej chwili członkini scholi oraz koordynatorka i animator Wspólnoty Ichtys w Białymstoku, chórzystka Chóru BSNE „Angeli”. Miłośniczka języków obcych, wieczorów z książką i aromatyczną herbatą, pięknej złotej jesieni i historii mody.

KS. KAMIL DĄBROWSKI

– kapłan Archidiecezji Białostockiej. Odpowiedzialny za Białostocką Szkołę Nowej Ewangelizacji oraz Chrześcijańskie Centrum Ewangelizacji w Białymstoku. Lubi czytać książki oraz komiksy. Miłośnik dobrej kawy oraz kotów.

fot. Maciej Arciszewski

Joanna Grzelczyk

Edukacja poprzez komiks

Komiks

w polskich szkołach

Odkąd [komiks] znalazł się w podstawie programowej, uczniowie i uczennice powinni „charakteryzować komiks jako tekst kultury; wskazywać charakterystyczne dla niego cechy”.

Ten krótki, ogólny zapis to tylko teoria – co w rzeczywistości oznacza umiejętność „wskazywania charakterystycznych cech” komiksu? Czy uczniowie zdobywają w szkole wiedzę o komiksie, jego strukturze i języku, z odpowiednim merytorycznym wprowadzeniem i komentarzem? Czy uczą się samodzielnie czytać komiksy z należytą uwagą i krytycznym podejściem? Czy można w ogóle mówić (już) o edukacji komiksowej w Polsce?

Tytuł *Szkoła latania* Janusza Christy, który znalazł się w kanonie lektur dla klas IV-VI, można traktować jako polską „klasycę” komiksu dla dzieci (seria „Kajko i Kokosz” ukazuje się niemal od początku lat 70. XX wieku). Młodzi odbiorcy z pewnością powinni poznawać również takie komiksy, jednak na polskim rynku,

szczególnie w ciągu ostatniej dekady, pojawiło się mnóstwo innych znakomitych tytułów, często także tworzonych przez rodzimych artystów (i edukatorów). Bez wątplenia część z tych tytułów powinna znaleźć się na liście lektur. Współczesna estetyka różni się od znanych wszystkim „Tytusa, Romka i A’Tomka” czy właśnie „Kajko i Kokosza”, niejednokrotnie zyskując większą uwagę, zainteresowanie i uznanie wśród dzieci i młodzieży. Ponadto nowy polski komiks dla młodych odbiorców to często na wskroś edukacyjne i jednocześnie pełne humoru (oraz współczesnego, żywego języka) historie z pogranicza publikacji popularnonaukowych, np. cieszące się ogromnym zainteresowaniem komiksy (autorskie oraz we współpracy z innymi twórcami) Tomasza Samojlika – doktora nauk biologicznych, który swoje opowiadania obrazkowe poświęca szerzeniu wiedzy o środowisku.

Nowe pokolenie polskich twórców komiksowych kieruje swoją pracę do odbiorców, którymi często są ich własne dzieci. Scenarzyści i rysownicy tworzą więc ze świadomością, co jest ważne dla rozwoju młodego czytelnika, co może mu się spodobać i jak zarazić dzieciaki miłością do komiksu. Podobne zadanie spoczywa jednak także na współczesnych nauczycielach, choć ostatni z wymienionych punktów z pewnością

nie może dotyczyć tych, którzy sami nie czytają, nie rozumieją i nie lubią komiksów. W tym miejscu pojawia się pytanie: czy ktoś/kto edukował współczesnych edukatorów? Czy mieli szansę zrozumieć, jak ogromną wartość mają komiksy albo jak wiele zabiegów i cech charakterystycznych dla tego medium można wykorzystać w pracy z dziećmi i młodzieżą? Skoro edukacja komiksowa w Polsce nadal raczkuje, podejrzewam, że dopiero zmiana pokoleniowa, również wśród nauczycieli, przyniesie powszechnie zauważalne poważne traktowanie komiksu i wpłynie na ciągłość (budowanie tradycji) wykorzystywania go w pracy edukacyjnej. W tej chwili z pomocą w prowadzeniu zajęć dla najmłodszych poświęconych komiksowi przychodzą publikacje łączące informacje o medium komiksu z interaktywnymi ćwiczeniami, np. seria „Zrób sobie komiks”, a nawet niektóre podręczniki szkolne, w których odnaleźć można fragmenty takich pozycji jak m.in.: „Tymek i Mistrz”, „Blacky”, „Fistaszki”, ale także „Spiderman” czy „Star Wars”.

Istotną rolę w kształtowaniu edukacji komiksowej może spełniać biblioteka. To w niej istnieje przestrzeń do gromadzenia wartościowych tytułów, inicjowania działań popularyzujących komiks, pracy edukacyjnej z komiksem. W bibliotekach szkolnych coraz częściej



pojawiają się współczesne tytuły skierowane do młodych odbiorców, a także warsztaty komiksowe, które prowadzą sami bibliotekarze, natomiast w bibliotekach publicznych coraz częściej organizowane są otwarte wydarzenia związane z upowszechnianiem powieści graficznych (ładniejsze określenie komiksu), takie jak warsztaty twórcze, spotkania autorskie czy zajęcia tematyczne skierowane do grup szkolnych.

Rola biblioteki w edukacji komiksowej na przykładzie działań MBP we Wrocławiu

W bibliotekach publicznych zbiory komiksu powiększają się z roku na rok, a w oparciu o nie prowadzone są coraz szerzej zakrojone programy edukacyjne. Znajomość i dostępność komiksów zwiększa swój zasięg. Bibliotekarze sami

coraz chętniej sięgają po komiksy, korzystają z oferty szkoleń dotyczących pracy z komiksem, samodzielnie organizują dedykowane mu wydarzenia. Komiks zaczyna częściej towarzyszyć literaturze na dużych imprezach, czego dobrym przykładem była m.in. piąta edycja festiwalu „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie”, organizowanego przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górniciego w Białymstoku.

W kilku polskich bibliotekach działają akademie komiksu, w innych spotykają się dyskusyjne kluby komiksowe, jeszcze inne stanowią przestrzeń katedralnych festiwali, a część z nich łączy te funkcje. Wrocławskie biblioteki, w których miałam okazję pracować, w ramach edukacji komiksowej, skupiały się do tej pory głównie na rekomendowaniu wartościowych tytułów (na żywo, tj. poprzez swoich pracowników oraz za pośrednictwem strony internetowej), a także na prowadzeniu przez bibliotekarzy autorskich zajęć dla młodszych czytelników.

Niemal od początku pracy w Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu (zaczynałam w słynnej Mediatece) miałam za zadanie prowadzić zajęcia dla młodzieży. Komiks był wówczas dziedziną, którą dopiero odkrywałam, jednak szybko znalazł się na zaproponowanej przez nas – zajęcia prowadziłam początkowo razem z koleżanką Jolą – liście tematów. Przez kilka lat z powodzeniem przeprowadziłyśmy liczne warsztaty dla grup zorganizowanych, nakreślając historię komiksu, przybliżając zagadnienie relacji obraz-słowo, języka, kompozycji, struktury komiksów itd. Wówczas nie było jeszcze komiksu w podstawie programowej, zatem większość opiekunów grup biorących udział w naszych warsztatach stanowili nauczyciele chcący „na własną rękę” uzupełnić braki programowe o dziedzinę, którą interesują się ich podopieczni. Nastolatkomie bardzo chętnie sięgają po komiksy, przede wszystkim po mangę i komiks superbohaterski, a na zajęciach w bibliotece mogli poznać

liczne tytuły, z którymi nie mieli szansy zetknąć się w środowisku szkolnym. Dobrze zaopatrzony dział komiksu w Mediatece pozwalał na korzystanie z rozmaitych przykładów podczas tworzenia materiałów edukacyjnych oraz wymyślenia zadań dla różnych grup wiekowych. Jako prowadzącym nowy temat przydały nam się również publikacje popularnonaukowe i naukowe (książki, artykuły, prace badawcze): polskie i zagraniczne.

Zmieniając filie MBP w kolejnych latach pracy, nie przerwałam prowadzenia zajęć poświęconych komiksowi. Nie zliczę grup, które uczestniczyły w przygotowywanych przeze mnie warsztatach, co świadczy jedynie o zapotrzebowaniu na podobne aktywności. Po pewnym czasie zaczęłam organizować małe wydarzenia tematyczne (m.in. „Czytelnia komiksów na tarasie”) oraz pisać projekty popularyzujące komiks na większą skalę, a następnie koordynowałam ich przebieg. Założyłam Dyskusyjny Klub Komiksu dla dorosłych, który od 2018 r. do tej pory spotyka się bez przerwy i regularnie (już poza biblioteką). Korzystając z dotacji MKiDN udało mi się poprowadzić dwa duże cykle wydarzeń: „Wszystkie strony książki” oraz „Pociąg do komiksu”. Pierwszy z nich był autorskim programem skupionym wokół książki, a komiks stanowił temat jednego z sześciu warsztatów (obok intrologatorskiego, ilustratorskiego, wokół książki artystycznej, wizyty w drukarni typograficznej i kameralnych księgarniach). Drugi program – napisany z Agnieszką Jamroszczak z Centrum Kultury Zamek w Leśnicy – w całości został poświęcony komiksowi. Zakładał nie tylko prowadzenie zajęć przez profesjonalnych twórców komiksu (grupa dzieci: Berenika Kołomycka; młodzież: Paweł Rzodkiewicz i Tomek

Woroniak; dorośli: Roch Urbaniak; seniorzy: Przemek „Trust” Truściński), ale także zamówienie ośmiu plansz komiksowych dedykowanych kolei i dworcom (byłam wówczas bibliotekarką w filii 12 MBP na dworcu Wrocław Główny, ale to nie jedyny powód – o czym za moment). Plansze zamówiliśmy u czołowych polskich twórców komiksu (Edyta Bystron, Závka, Gosia Kulik, Kamila Kozłowska, Wojciech Stefaniec, Marek Turek, Paweł Garwol, Karol „KRL” Kalinowski), a następnie zorganizowałyśmy im ekspozycję w holu dworca głównego. Dzięki temu wielu przypadkowych odbiorców mogło obcować w przestrzeni publicznej z wartościowym lokalnym komiksem. Innym charakterystycznym elementem tego projektu była forma warsztatów: rozpoczynających się w filii 12 MBP, kontynuowanych w pociągu na trasie Wrocław Główny – Wrocław Leśnica (atrakcyjna formuła, ale też najkrótsza forma transportu między instytucjami), a po podróży przenoszonych do „Zamku”, gdzie mieści się galeria dedykowana komiksowi i ilustracji „Tymczasem...”. Realizację projektu zakończyło wydanie broszury, w której wszystkie osiem plansz znalazło się razem, w pomniejszonym formacie względem ekspozycji na dworcu. Broszurę dystrybuowałyśmy w bibliotekach, „Zamku” i innych miejscach związanych z wrocławskim życiem kulturalnym.

Kolejnym działaniem, dzięki któremu komiks jest bardziej widoczny i trafia do nowych odbiorców, okazuje się organizowanie obchodów Światowego Dnia Publicznego Czytania Komiksów (28 sierpnia). Od kilku lat – począwszy od zaproszenia do współpracy przez Jana Skarżyńskiego z Młodzieżowego Domu Kultury Krzyki we Wrocławiu (pracownia komiksu dla dzieci) – staram się symbolicznie zaznaczać ten dzień

w przestrzeni miejskiej (wrocławskie parki, księgarnia w centrum), korzystając z własnych zbiorów, kolekcji biblioteki i zaplecza księgarni.

Czasami wystarczy pomysł, który nie musi wcale generować dodatkowych kosztów. Przemysłana ekspozycja zakupów komiksowych (które oczywiście generują koszty, ale jednak te wpisane w podstawową działalność bibliotek) czy wybranych tytułów według autorskiego klucza – to dobry pomysł na początek. Czytelnicy ufają rekomendacjom bibliotekarzy i widzą, kiedy coś zmienia się w przestrzeni ich ulubionych bibliotek. Tak naprawdę wystarczy zacząć od „przemycania” komiksów przy wypożyczaniu książek, sięjąc wśród czytelników ziarno zainteresowania „nowym” medium, które po czasie najprawdopodobniej wykiełkuje. Oznacza to nic więcej, jak tylko samemu czytać komiksy i polecać te, które zrobiły na nas wrażenie... Dla bibliotekarzy to przecież „tylko” zmiana medium w codziennej pracy!

Wnioski i (życzeniowe?)

prognozy na przyszłość

Podejmowanie autorskich działań propagujących sztukę komiksu wynika z głębokiego przekonania o wartościach tego medium i jego potencjale edukacyjnym. Wartościowe komiksy m.in. rozwijają wyobraźnię i zdolność krytycznego myślenia, uczą skupienia i uważności, kształtują poczucie estetyki i opowiadają o ważnych sprawach w atrakcyjny sposób, co z kolei przekłada się na zdolność zapamiętywania, odtwarzania oraz interpretacji historii. Podczas lektury komiksów angażujemy wszystkie zmysły, pracują obie półkule mózgu.

Obecność komiksu w szkołach i bibliotekach umożliwia coraz bardziej powszechny dostęp do niego. Wybór tytułów do bibliotek szkolnych i publicznych bardzo często w pierwszej kolejności decyduje o tym, po co sięgną (przyszli) czytelnicy komiksów i jak długo zostaną z nowo poznanym medium. Wiedza na temat posiadanych zbiorów jest niezbędna, by świadomie wpływać na jakość przyszłych wyborów ludzi, którzy polegają na naszym zdaniu. Myśląc o edukacji komiksowej, nie należy zawężać zjawiska do młodego odbiorcy. Komiks w Polsce powszechnie cieszy się na tyle złą sławą, pogardą, a w lepszym przypadku obojętnością lub niezrozumieniem, że mimo ogromnego rozszerzenia oferty polskich wydawnictw o tytuły z wielu względów wartościowe, wciąż należy promować go również wśród osób dorosłych, często „wyrobionych” czytelników literatury.

Podejście do komiksu w naszym kraju zmienia się, jednak wszystko wskazuje na to, że musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim komiks stanie się pełnoprawnym uczestnikiem polskiej kultury. Trudno będzie nam kiedykolwiek „dogonić” kraje europejskie, w których jest on powszechnie obecny w edukacji szkolnej, bibliotecznej i domowej od najmłodszych lat, jednak współcześni twórcy i wydawcy w Polsce robią bardzo wiele, by czytelnicy, w tym edukatorzy, mieli dostęp do ogromnej liczby tytułów, które śmiało można polecać osobom w różnym wieku. Powiększająca się oferta komiksów dla dzieci i młodzieży, wydawanie kanonu komiksu europejskiego, sięganie po historie z różnych kontynentów i kręgów kulturowych, świetne tytuły w obrębie gatunków (reportaż, biografia itd.) to tylko kilka czynników, które mogą pomóc w promocji czytelnictwa

komiksów i organizacji zajęć edukacyjnych z ich wykorzystaniem.

Wierzę, że nieco starsze ode mnie pokolenie zbudowało już solidną podstawę do edukacji komiksowej i podjęło szereg działań, które pomagają nareszcie wybić się komiksowi ponad krzywdzące stereotypy. Zinstytucjonalizowanie części tych działań, a z drugiej strony oddolne inicjatywy podejmowane z potrzeby „zarazania” miłością do komiksowego medium pozwalają przypuszczać, że rozwój zainteresowania komiksem zmierza we właściwym kierunku. Jest jeszcze przed nami sporo pracy, ale pracy tyleż trudnej, co satysfakcjonującej. Do tej pory każdy wysiłek podjęty na rzecz upowszechniania wartości komiksu przynosi mi wielką radość, czego życzę wszystkim bez wyjątku, którzy również spróbują swoich sił na polu edukacji komiksowej.



fot. Justyna Sawczuk

JOANNA GRZELCZYK

– mgr historii sztuki z Wrocławia, animatorka kultury, głównie zajmuje się upowszechnianiem komiksu autorskiego. Stypendystka Ministra Kultury, Dzie-

dzictwa Narodowego i Sportu w 2020 r., inicjatorka licznych projektów edukacyjno-artystycznych, moderatorka dyskusyjnego klubu komiksu Wykolejeni.

Grzegorz Kowalski

Ludzkie – nieludzkie, czyli czego możemy się dowiedzieć w bibliotece solaryjskiej

Człowiek, niedoskonały bibliotekarz, może być dziełem przypadku czy też złośliwych demiurgów; wszechświat, ze swym eleganckim wyposażeniem w szafy, w zagadkowe tomy, w nieznużone schody dla podróżnego i w ustępy dla siedzącego bibliotekarza, może być jedynie dziełem jakiegoś boga.¹

Wiele już napisano o naj-słynniejszym dziele Stanisława Lema – tak wiele, że można by z tego stworzyć osobną bibliotekę. A właśnie o bibliotece będzie tu mowa – o bibliotece oraz o Bibliotece.

Badacze nieraz podkreślali ważność opisu biblioteki solaryjskiej dla interpretacji utworu, jak również istotne znaczenie tematów: biblioteki, książki, szeroko rozumianego uniwersum tekstów w całej twórczości autora *Solaris*². Jednak zarówno ilościowy, jak i jakościowy udział tych zagadnień w historii o zmaganiach z koloidalnym oceanem, wciąż wart jest podkreślenia.

O zbiorach solaryjskich mówi się w powieści Lema często, poza tym książki wypełniają półki nie tylko ulokowanej w centrum Stacji biblioteki, ale także po-

zostałych pomieszczeń, w szczególności gabinetów, prywatnych kwater, laboratoriów etc. Kelvin, główny bohater i zarazem pierwszoosobowy narrator, czyta je dość często, a kiedy czyta – to także je nam referuje. Co najmniej trzy obszernie fragmenty powieści wprowadzają czytelnika w zawilości długiej historii badań nad planetą Solaris oraz jej jedynym mieszkańcem – myślącym oceanem³. Jeśli przyjrzeć się treści utworu, Kelvin spędza w bibliotece całe dni. Gdy oma-

wia zagadnienia poruszone przez kolejnych badaczy Solaris, streszcza epoki sporów, przedstawia najważniejszych myślicieli, nie zapominając też o autorach kuriozalnych i wariackich teorii, jednocześnie przez cały ten czas czyta, przypomina sobie poszczególne solariana, ściąga z półek kolejne tomy (ileż to musiało trwać!). Nad książkami ślęczy również „poza akcją”: „Całymi dniami przesiadywałem albo w bibliotece, albo w kabinie z Harey, snującą się koło mnie jak cień” (S, 285).

Na pytanie o przyczyny obecności tytułu opisów całkowicie zmyślonej książki oraz o jej znaczenie dla ogólnej interpretacji powieści odpowiadano różnorako, ale przyjmuje się powszechnie, że biblioteka solaryjska stanowi przede-

¹ J. L. Borges, *Biblioteka Babel*, [w:] tegoż, *Fikcje*, Warszawa 1972, s. 66-67.

² Zob. J. Jarzębski, *Intertekstualność a poznanie u Lema*, [w:] tegoż, *Wszechświat Lema*, Kraków 2002, s. 103-129.

³ Na samym początku jest to niemal cały rozdział: *Solarysci*, szczególnie str. 30-42 wg wydania: S. Lem, *Solaris*, Kraków 2008 (do tego wydania będę odsyłał w dalszej części tekstu, oznaczając tytuł literą „S”, podając następnie po przecinku numer strony); później rozdział *Potwory*, szczególnie str. 174-200, oraz wspomniani *Myśliciele* na str. 263-281. Do tego wykazu można dołączyć także *Mały apokryf*, czyli dokładny opis raportu Bretona – kolejnego woluminu biblioteki solaryjskiej. Poza tym mnóstwo innych fragmentów dotyczących zgromadzonej przez ludzkość wiedzy o Solaris.

wszystkim odzwierciedlenie modelu ludzkiej nauki. Opisy jej rozwoju odsłaniają głębokie analogie do znanej nam historii prądów umysłowych: od mroków scholastyki, przez optymistyczny, lecz zdyscyplinowany racjonalizm, pełen prometejskich ambicji romantyzm, później chłodny pozytywizm i pozbawiony złudzeń pragmatyzm, aż po rozpad solarystyki na setki specjalizacji do momentu, w którym jeden badacz nie jest w stanie już zrozumieć, czym zajmuje się drugi i jakakolwiek synteza o prawdziwie holistycznych ambicjach przestaje być w zasadzie możliwa⁴.

Ta konstatacja wymaga dopowiedzenia. Powstaje bowiem w ramach biblioteki solaryjskiej coś, co można nazwać ekstrapolacją nauki, zastosowaniem i rozwinięciem jej prawideł, struktur i determinant rozwoju w hipotetycznych, nowych warunkach, w odniesieniu do wyimaginowanego przedmiotu. W konsekwencji odsłania się słabość ludzkich metod poznania, które zostają ukazane w całym swoim żalonym uwikłaniu w kontekst historyczny, kulturowy – a także, ogólnie rzecz biorąc, ludzki po prostu. Okazuje się bowiem, że ile już wieków nie liczyłyby sobie nasza cywilizacja, a także na jakie wyzwania poznawcze by nie trafiła, przejść musi zawsze

przez te same etapy, popełnić te same błędy, odbyć te same jałowe dysputy – by dusić się wciąż we mgłę zagadek. To sugeruje, że przedmiot poznania jest w zasadzie nieistotny, istotny jest natomiast *modus operandi* myślącego podmiotu. Jego myślenie i komunikacja toczy się zawsze tym samym torem. Jest jak zaprogramowany automat, który mniema, że kroczy ku prawdzie, a w rzeczywistości odtwarza swój głęboko zakodowany algorytm, niekoniecznie mający z prawdą cokolwiek wspólnego⁵.

Nie należy jednak przypisywać Lemowi, wielkiemu entuzjaście nauki, zbyt daleko idącego sceptycyzmu w tym zakresie. Wierzył on bez wątplenia w skuteczność badań naukowych, w to, że przynajmniej częściowo, okazjonalnie, powoli i z trudem, ale odsłaniają one przed nami tajemnice wszechświata⁶. Nie miał jednak złudzeń co do „czystości”, krystaliczności ludzkiego myślenia i naukowych dociekań – wiedział dobrze i w kilku powieściach dał temu silny wyraz (m.in. *Fiasko*, *Niezwy ciężony*, *Głos Pana*), jak bardzo są one uwikłane w cielesność, historyczność i lokalność. (W tej perspektywie nawet to, co oparte na „twardej” empirii, nie może być przełożone z ludzkiego na niehumaniczne.)

I biblioteka solaryjska stanowi najpełniejszy bodaj wyraz owych przekonaniań – jest jakby synekdochą całej ludzkiej nauki, a zarazem ironicznym i nieco gorzkim komentarzem odnośnie granic, możliwości ludzkiego poznania, szczególnie w starciu z czymś prawdziwie obcym. Bo trzeba tu podkreślić z całą mocą, że inteligentny ocean, tajemniczy twór o niepojętych zdolnościach i nieznanym intencjach, jawi się w powieści jako coś tak niehumanicznego, wymykającego się ludzkiej percepcji, jak to tylko możliwe. Koloidalny potwór rodzący w swym wnętrzu struktury o niewyobrażalnym stopniu komplikacji, stabilizujący własne pole grawitacyjne, żywy i reagujący niekiedy na obecność człowieka, ale w sposób nieprzewidywalny, niepojęty, jedyny mieszkaniec planety, nierozwikłana zagadka, to zarazem granica postawiona ludzkiej ekspansji, wyzwanie rzucone człowiekowi ery kosmicznej przez niezwykły wszechświat.

Opisy oceanu solaryjskiego same w sobie rodzą w czytelniku mnóstwo pytań i zachęcają do stawiania hipotez, fragmenty dające wgląd w zawartość biblioteki przynoszą ich nieporównanie więcej. Staje się powoli jasne, że zagadki Solaris nie można rozwikłać „ludzkiem” sposobem i tak samo niepodobna zinterpretować jednoznacznie powieści Lema. Autor nie krył się z tym zresztą, że jego dzieło to swoisty test Rorschacha – posiada ono nieskończone możliwości odczytań, zależne od tego, kto czyta⁷. Ta sama prawidłowość dotyczy opisywanej w powieści planety, dlatego każdy czytelnik Solaris staje się zarazem skazanym na porażkę solarystą, wydanym na pastwę nierozwikłanej tajemnicy⁸.

Biblioteka i jej gałęzie, odnogi, korzenie, obejmują cały ekosystem powieści, a nawet przekraczają jej ramy, akcentując

⁴ Zob. Ł. Kucharczyk, *Granice interpretacji na przykładzie Solaris Stanisława Lema*, „Spotkania Humanistyczne” 2016, nr 6, s. 45.

⁵ J. Jarzębski, dz. cyt., s. 111: „Nie można już teraz ‘obiektywnie’ opisać przygody poznania, ponieważ opis staje się ‘obiektem’ – godnym refleksji i analizy, mówi bowiem tyleż o swym przedmiocie, co o nadawcy, kulturze, w jakiej powstał, języku, instrumentarium pojęciowym, człowieku (odniesionym do nie-ludzi) itd.”

⁶ „[...] kakofonia różnych głosów rozlegająca się w Lemowych bibliotekach to stan w nauce normalny, nie zaś asumpt do odrzucenia scjentycznych metod poznania lub tylko złośliwość pisarza pod adresem uczonych”. Tamże, s. 115.

⁷ S. Bereś, *Rozmowy ze Stanisławem Lemem*, Kraków 1987, s. 57.

⁸ Zob. I. Csicsery-Ronay Jr., *Książka jest Obcym: o pewnych i niepewnych interpretacjach „Solaris” Stanisława Lema*, [w:] *Lem w oczach krytyki światowej*, Kraków 1989.

jawnie intertekstualny charakter naszego poznania. Więcej nawet – powieść sama, jako narracja Kelvina, przynależy do biblioteki solaryjskiej, staje się jednym z jej tomów.

Jest w tym wszystkim jednak coś, co mnie zaskakuje i nie jestem pewien, na ile uchwycono to w badaniach nad *Solaris*. Otóż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że biblioteka, próbująca wyjaśnić ocean, podążająca jakby za nim przez wieki, sama także stanowi objaw szalonej wytwórczości, dążenia do przetwarzania informacji, które bierze się na pozór z chęci poznania. Ale, jeśli sięgnąć głębiej, pod to proste wyjaśnienie, to właściwie... Dlaczego ludzkość – w każdym razie jej część – wytwarza niekończące się biblioteki, skąd ta potrzeba, która przeraża się niekiedy w kompulsję? Podobne pytanie pada zresztą w powieści, zadane przez naiwną uczestniczkę przywołanej przez Kelvina ze wspomnień szkolnej wycieczki: „A po co to wszystko...?” (S, 196) Cienka jest u Lema granica między dążeniem do prawdy a szaleństwem. (Samo to, jak niepojęty jest rozkołysany, kosmiczny koloid doprowadza niektórych bohaterów do samobójstwa.)

Można powiedzieć, że takie stawianie sprawy jest co najmniej podejrzane, bo teksty naukowe powstają w oparciu o empirię, uniwersalne standardy, na czele z zasadami falsyfikowalności i powtarzalności doświadczeń – poza tym są tworzone w konkretnym celu. Oczywiście wszystko to prawda, ale przecież z perspektywy „Innego” – w tym wypadku oceanu solaryjskiego – wytwórczość umysłowa ludzkości może wydawać się równie bezsensowna, obca, niepojęta, jak aktywność oceanu solaryjskiego z perspektywy człowieka. Tym bardziej, że owa „myśląca galareta” nie widzi w ludziach indywidualnych, osobnych bytów –





Z. Maciejewska / PLSP w Supraślu

jako że sięga wprost do umysłu, ku świadomości i nieświadomości mieszkańców Stacji, nie dostrzega dzielących ich granic. Oddają to słowa Snauta o oceanie: „Nie istniejemy dla niego tak, jak dla siebie nawzajem. Powierzchnia twarzy, ciała, którą widzimy, sprawia, że poznajemy się jako indywidua. To jest dla niego przezroczystą szybą. Wnikał przecież do wnętrza naszych mózgow” (S, 310). Ocean widzi więc raczej potok myśli, ich skręty i bulgotanie, a wręcz cały „system wodny” umy-

słu: dopływy, baseny, źródła i ujścia, a także niezmierzone morze podświadomości. Jeden ocean przygląda się drugiemu.

Ten zbiorowy umysł, może wcale nie mniej otchłanny niż solaryjski koloid, produkuje morze tekstów, w którym jakieś wyraźne dążenie ulega po pewnym czasie zatracie: „A potem kołowrót hipotez, odświeżanie dawnych, wprowadzanie nieistotnych zmian, uściślanie lub, przeciwnie, uwieloznaczanie jęło zamieniać tak dotąd klarowną, mimo

rozległości, solarystykę w coraz bardziej powikłany, pełen ślepych uliczek labirynt. W atmosferze powszechnego zubożenia, stagnacji i zniechęcenia drugi ocean zadrukowanych jałowo papierów zdawał się towarzyszyć w czasie solaryjskiemu” (S, 270).

Biblioteka solaryjska stanowi zatem „ocean” i „labirynt”. Wolno chyba uściślić, że to właściwie zaczątek prawdziwego labiryntu, bo przecież praca nad tworzeniem kolejnych tekstów, wyjaśnień, nie ma końca⁹. Cechy te dotyczą właściwie każdej biblioteki, albo po prostu całej Biblioteki wytworzonej przez ludzkość, która – jeśli poddać ją dalszej ekstrapolacji – ostatecznie, wnieskończenie odległym horyzoncie

⁹ „Solaryści zdają sobie doskonale sprawę z tego, że proces poznania nie ma końca; umieścili swoją bibliotekę w centrum labiryntowej przestrzeni Kosmosu, mimo iż wiedzą, że centrum labiryntu istnieje tylko w ich podświadomym pragnieniu”. – M. Piąza, *O poznaniu w twórczości Stanisława Lema*, Wrocław 2006, s. 386.

czasowym, musi się zamienić w „bibliotekę totalną” albo Bibliotekę Babel, opisaną przez Jorge L. Borgesa. Księgozbiór z wizji argentyńskiego pisarza, powstały w oparciu o wszystkie możliwe kombinacje wszystkich liter alfabetu, przedstawia całość ludzkiej wiedzy, przyszłej i przeszłej, wszystko, co najmądrzejszego i najgenialniejszego można w ogóle napisać – ale także kompletny bełkot, niewyobrażalną liczbę tomów zadrukowanych po prostu jedną literą albo bezsensownymi ciągami przypadkowych znaków. Oczywiście ten żywioł „tekstu szalonego”, nieznaczącego nic, przeważa w Bibliotece Babel. Tak być musi, podobnie jak w znany od wieków twierdzeniu o nieskończonej liczbie małp, które, wciskając przez nieskończenie długi czas losowe znaki na maszynie do pisania, stworzyłyby w końcu wszystkie dzieła Szekspira. Przy okazji powstałby oczywiście nieprawdopodobnie wielki maszynowy znak bez żadnej sensownej treści.

Wydaje się, że ocean solaryjski można opisać w podobnych kategoriach (choć oczywiście nie w tak pobieżnym szkicu). W każdym razie jego nieustanna praca i wytwórczość, w której niepodobna dopatrzeć się sensu, a jednak nosi ona oczywiste ślady inteligencji wyższego rzędu, nasuwają skojarzenie właśnie z Borgesowską biblioteką totalną. Mimo idy, długonie, symetriady i asymetriady, wytwarzające się na powierzchni oceanu „konstrukcje” zakrzywiające ludzką wyobraźnię – być może mają konkretną funkcję, ale równie dobrze mogą być po prostu efektem nieustannego działania, generowania nieskończenie wielu wariacji struktur, które może wytworzyć solaryjski koloid. Jest to jakby jego język albo *modus operandi* jego umysłu.

Inaczej mówiąc, bibliotekę totalną oraz solaryjski ocean z powieści Lema

można prawdopodobnie opisać jako dwie hipostazy, dwa przejawy tego samego żywiołu. Metonimiczna wobec całej ludzkiej umysłowości biblioteka solaryjska oraz potworny ocean, choć z pozoru całkowicie różne, obce, nieprzenikalne, mogą być paradoksalnie ujęte jako różne modele tej samej nienasyconej wytwórczości, siły, która samą siebie próbuje rozpoznać i obliczyć, uparcie dążąc do wyprodukowania wszystkich możliwych we wszechświecie znaków i znaczeń. Jest w każdym razie w tych myślących, działających i poznających podmiotach coś niepokojąco podobnego.

Ostatecznie, jeśli ktoś miałby wątpliwość, że Lem w tak dziwacznych kategoriach mógłby postrzegać ludzki umysł, to warto przypomnieć fragment powieści zatytułowany Mały apokryf. Zawiera on raport pilota, który po śmierci towarzysza w solaryjskiej głębi napotkał wytworzony przez ocean, czy też raczej wypreparowany z umysłu nieszczęśnika wstrząsający twór: wielkie, dziwaczne, automatycznie jakby wykonujące pewne czynności niemowlę. Jest to scena doprawdy surrealistyczna i wielce znacząca w tym kontekście, że autor raportu, świadek przerażającej sceny nosił nazwisko Berton. Jeden z badaczy zauważa, że „być może Lem, jako miłośnik sztuki surrealistycznej, przemycił w anagramie aluzję do surrealisty André Bretona”¹⁰. Otóż zamieniłbym „być może” na „z pewnością” – na samym początku powieści, na długo przed przytoczeniem treści raportu, zo-

staje wymienione, jakby przypadkiem, imię pilota – i jest to w istocie André. Poza tym Lem – racjonalista i empirysta – był także faktycznie miłośnikiem surrealizmu, doskonale znającym nie tylko *Manifest surrealizmu* Bretona¹¹. Ale pozostajmy przy *Manifestie*, skoro Breton, jego autor, przywołany został wprost. Oto, jak Breton rozumiał surrealizm:

„Surrealizm, rz. m. Czysty automatyzm psychiczny, który ma dać słowny, pisemny lub jakikolwiek inny wyraz rzeczywistym procesom myślowym. Dyktat myśli poza kontrolą rozumu oraz poza wszelkimi – estetycznymi czy moralnymi – zainteresowaniami”¹².

Uważam, że to, co kryje się pod słowami „rzeczywisty proces myślowy [...] poza kontrolą rozumu”, „automatyzm psychiczny” – może zostać w akcie interpretacji powieści Lema odniesione do szeroko rozumianej dziedziny ludzkiej wytwórczości, która znajduje swe odbicie zarówno w tomach biblioteki solaryjskiej, jak i „tworach F” – wytworzonych przez ocean fantomach, mających swój początek w najbardziej utajonych, ukrytych i niedostępnych obszarach umysłów mieszkańców Stacji. Być może jest to także cenny trop w odniesieniu do zrozumienia istoty oceanu solaryjskiego.

Te wszystkie ślady – Borgesowskie i Bretonowskie, lecz nie tylko – odsyłają wyraźnie do absolutnie irracjonalnego, związanego właśnie z surrealizmem i realizmem magicznym kontekstu inter-

¹⁰ Ł. Kucharczyk, dz. cyt., s. 42. Litery w nazwisku („Berton” zamiast „Breton”) zostały zamienione przez Lema celowo.

¹¹ Zob. M. Wosnitzka, *Komplikowanie świata. Nauka i sztuka Stefana Themersona*, [w:] *Żydzi Wschodniej Polski. Seria IV: Uczni żydowscy*, Białystok 2016, s. 335.

¹² A. Breton, *Manifest surrealizmu*, [w:] *Antologia współczesnej estetyki francuskiej*, Warszawa 1980, s. 133.

pretacyjnego *Solaris*, który wciąż chyba domaga się głębszego uwzględnienia¹³.

Mam bowiem wrażenie, że Lem nie tylko obnaża w powieści ludzką bezsilność w zetknięciu z czymś zupełnie obcym, jak to stwierdzają kolejne, liczne studia naukowe. Owszem, czyni to, a następnie odkrywa ową zupełną obcość, coś, co nie mieści się w kategorii

„ludzkie” – w samym człowieku. Myśle nie „obrane ze skórki”, odarte z języka i uwarunkowań społecznych, okazuje się procesem w jakimś sensie sąsiadującym z fluktuacjami i gargantuiczną aktywnością oceanu solaryjskiego. Najpierw więc wszechświat „pozaludzki” okazuje się na zawsze nieprzenikniony dla człowieka, a potem sam człowiek okazuje

się obcym, nie sobą, tworem nieświadomym siebie – zupełnie jak solaryjskie „twory F” (S, 173) – i dla siebie samego przerażającym.

Czy więc nie ma dla niego już żadnej nadziei? Czy jest w wizji Lema skazany na samotność we wszechświecie, na rozpacz, czy nigdy nie odnajdzie sensu, celu, tego wszystkiego, czego tak rozpaczliwie poszukuje?

We wszechświecie, nieskończonej bibliotece, gdzie małpa może teoretycznie napisać dramat Szekspira, a Kelvin może spotkać i znów utracić swą dawną, wyrwaną przez *Solaris* z krainy śmierci miłość, wszystko może się zdarzyć.

Uciec od rozpaczki można dopóty, dopóki wszystko jest możliwe. A w bibliotece, a raczej w Bibliotece, na ile podobna to jeszcze stwierdzić, wciąż wszystko jest możliwe – na dobre i na złe. W tym punkcie, pośród falujących cykli czasu i przestrzeni spotykają się, być może, „elegancka nadzieja” Borgesa¹⁴ oraz wiara w „okrutne cuda” z zakończenia *Solaris*¹⁵.

¹³ Na związek *Solaris* z surrealizmem wskazywał m.in. Manfred Geier, ale badacz sugerował raczej ujęcie całej powieści jako tekstu surrealistycznego – mnie chodzi natomiast o wykorzystanie przez Lema surrealistycznej wykładni ludzkiego umysłu w opowieści, która jednak, moim zdaniem, nie mieści się w całości w poetyce surrealizmu. Por. M. Geier, *Fantastyczny ocean Stanisława Lema (przyczynek do semantycznej interpretacji powieści Science Fiction „Solaris”)*, [w:] *Lem w oczach krytyki światowej*, Kraków 1989, s. 156.

¹⁴ „Przed chwilą napisałem n i e s k o ņ c z o n a. Nie z retorycznego przyzwyczajenia wstawiłem ten przymiotnik; sądzę, iż nie jest nielogiczna myśl, że świat jest nieskończony. Ci, którzy uważają go za ograniczony, twierdzą tym samym, że w odległych miejscach galerie i schody, i sześcioboki mogą w niepojęty sposób kończyć się – co jest absurdalne. Ci, którzy wyobrażają go sobie bez kresu, zapominają, że ma kres liczba możliwych książek. Ośmielam się poddać takie rozwiązanie tego pradawnego problemu: Biblioteka jest nieograniczona i periodyczna. Jeśliby wieczny podróżnik przebywał ją w jakimkolwiek kierunku, stwierdziłby po upływie wieków, że te same tomy powtarzają się w takim samym chaosie (który, powtórzony, byłby jakimś porządkiem: Porządkiem). Moja samotność cieszy się tą elegancką nadzieją.” – J. L. Borges, *Biblioteka Babel*, [w: tegoż], *Fikcje*, dz. cyt., s. 73.

¹⁵ „Jakich spełnień, drwin, jakich mąk jeszcze się spodziewałem? Nie wiedziałem nic, trwając w niewzruszonej wierze, że nie minął czas okrutnych cudów” (S, 328).

GRZEGORZ KOWALSKI

– pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Interesuje się głównie literaturą i kulturą XIX oraz XX wieku, a także edytorstwem tekstów literackich. Współpracownik Ośrodka Badań nad Polskim Dramatem Współczesnym IBL PAN.

Dominik Sołowiej

Dramat i odrodzenie, czyli jak stworzyć fascynującą opowieść

Wszyscy uwielbiamy słuchać opowieści. Wciągają nas fascynujące historie, dzięki którym możemy oderwać się od codzienności, przeżyć nadzwyczajne emocje albo nauczyć się czegoś o sobie i świecie. Ta fascynacja sięga prehistorycznych czasów, kiedy nasi przodkowie siadali wokół ogniska, by wspólnie zjeść posiłek i posłuchać gawędy swojego mędrca, szamana, człowieka obdarzonego świętą wiedzą o wszechświecie, o przeznaczeniu człowieka, o jego pochodzeniu i pośmiertnych losach. Taka opowieść, objaśniająca świat, scalała społeczność, budowała jej tożsamość, integrowała poszczególne jednostki. Dziś już nie pamiętamy o tej pierwotnej funkcji, jaką pełniło opowiadanie historii. Na szczęście, gdzieś głęboko w nas, pozostała potrzeba doświadczenia magii opowieści. To dlatego uwielbiamy czytać książki, oglądać

filmy i seriale. Skoro drzemie w nas głód wciągających narracji, to warto wiedzieć, w jaki sposób je budować, by przekonać do siebie słuchaczy i czytelników.

Dawniej słuchaliśmy o wyprawach na koniec świata w poszukiwaniu skarbu, Świętego Graala, wody życia, Eldorado. Dziś fascynują nas reklamowe klipy albo seriale, oglądane jeden za drugim, na popularnych platformach streamingowych, bo schematy narracyjne mogą być wykorzystywane skutecznie w wielu dziedzinach. Także tam, gdzie nie mamy do czynienia z literaturą. Takie opowieści, skonstruowane w oparciu o storytellingowe narzędzia i schematy, mają określony charakter, są zbudowane z rozpoznawalnych dla słuchaczy elementów, które autor modyfikuje i wzbogaca o nowe treści, by stworzyć z nich niezapomnianą historię, trafiającą nie tylko do umysłów, ale i serc odbiorców. Pisał o tym między innymi Joseph Campbell w książce *Potęga mitu* i Władimir Propp, autor historycznych korzeni bajki magicznej. Co więc powin-

ny zawierać fascynujące opowieści? Do jakich obrazów trzeba się w nich odwoływać?

Na początku przyjmijmy jedno założenie – budujemy opowieść, którą chcemy wygłosić podczas wystąpienia publicznego. Jej długość to mniej więcej 10-11 minut. Zastanówmy się, co chcemy przekazać naszym słuchaczom. Czy nasza opowieść będzie miała czysto informacyjny charakter? Czy chcemy w niej przekazać wiedzę? A może ważne będą dla naszych słuchaczy nowe umiejętności, które dzięki naszemu wystąpieniu sprawnie nabędą? Odpowiedzi na te pytania będą miały wpływ na strukturę poszczególnych rozdziałów naszej opowieści. Oczywiście możemy także przygotować prezentację, w której wpłyniemy na sposób, w jaki funkcjonują, działają nasi odbiorcy. Tak właśnie zrobimy, jeśli będziemy chcieli, tak jak Steve Jobs, pokazać ludziom nowy produkt, który rewolucyjnie zmieni ich życie.

I jeszcze jedna opcja – moja ulubiona – to wystąpienia, które wpływają na światopogląd, przekonania odbiorców. To wystąpienia, które działają najgłębiej na człowieka, dotykając go gdzieś głęboko. Taki właśnie charakter mają słynne na całym świecie wystąpienia

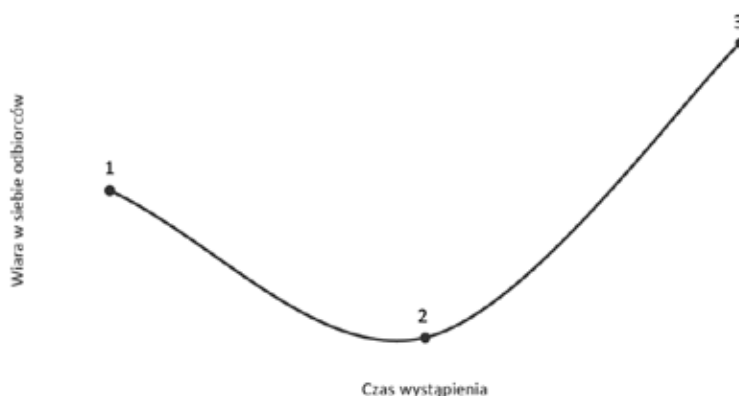
¹ TED to skrót od Technology, Entertainment and Design (Technika, Rozrywka, Design), dotyczy konferencji naukowych, organizowanych corocznie przez amerykańską fundację non-profit „Sapling Foundation”. Ich celem jest popularyzacja, jak głosi motto, idei wartych propagowania (Ideas Worth Spreading).

w ramach konferencji TED¹. Występują tam wybitni badacze, ludzie świata nauki i sztuki, aktywiści społeczni, ale i amatorzy, którym coś wyjątkowego się udało i którzy chcą swoimi pasjami, odkryciami i przemyśleniami podzielić się ze światem. Wśród najważniejszych uczestników TED znaleźli się m.in.: Bill Clinton, Richard Dawkins, Bill Gates, Jane Goodall, Stephen Hawking, Naomi Klein, Colin Powell, Edward Snowden i Monica Lewinsky, a także wielu laureatów Nagrody Nobla. Każdy mówca, występujący na scenie TED, ma do swojej dyspozycji maksymalnie 18 minut, ale jak pokazuje doświadczenie, mówcy ograniczają się do 13-15 minut.

Zastanówmy się więc nad wystąpieniami publicznymi, które wpływają na nasze poglądy, przekonania, zmieniają nasze przyzwyczajenia. By przygotować takie wystąpienie, musimy być prawdziwi, autentyczni. Jeśli chcemy, by nasi słuchacze dbali o planetę, by segregowali śmieci, korzystali z miejskiej komunikacji albo jeździli rowerami do pracy, to opowiedzmy im o sobie, o tym, że właśnie takie zachowania stały się częścią naszego życia. Słuchacze szybko wyłapią kłamstwo, dlatego szczerść to podstawowe założenie dobrze przygotowanego wystąpienia publicznego. Wystąpienia, w którym chcemy przekonać ludzi, by zachowywali się tak, jak my. Pamiętajmy jednak, by mówiąc o swoich ekologicznych zachowaniach, nie stawiać się w pozycji superbohaterów. Jeśli tak podejmiemy do tematu, nikt nie będzie chciał poświęcić nam swojego czasu, bo

ludzie najszybciej będą się identyfikować z kimś, kto jest im bliski, podobny do nich, kto posiada te same wady i zalety. To, czy staniemy się dla naszych słuchaczy herosami, nie zależy od nas, lecz od naszych odbiorców, więc jeśli będziemy prawdziwi, ludzie pójdą za nami, bo zobaczą w nas swoje lepsze odbicie.

Jak pisze Dan Roam w książce *Pokaż, opowiedz i zainteresuj. Jak przygotować i przeprowadzić niezwykłą prezentację*, nasze wystąpienie musi zawierać w sobie dramat, który będzie inspirował słuchaczy do nowych przekonań lub nowych sposobów spojrzenia na świat. Zdaniem Roama za pomocą dramatu „(...) zmieniamy przekonania naszych słuchaczy. Dobry dramat umożliwia nam solidaryzowanie się z wysiłkami innych ludzi, doskonały dramat sprawia, że czujemy jakby to były nasze wysiłki”. Tu tkwi banalna prawda: najszybciej dotrzemy do naszych odbiorców, jeśli to oni sami, oczywiście dzięki nam, odkryją prawdę o sobie. Gdybyśmy chcieli przygotować wykres, obrazujący nasze wystąpienie, to wyglądałby on mniej więcej tak:



Istotą takiej opowieści jest kryzys, wynikający z utraty wiary w siebie, swoje możliwości, utraty zdrowia, pieniędzy, śmierci bliskiej nam osoby. Naszą opowieść rozpoczynamy jednak od punktu nr 1 – jesteśmy szczęśliwi, zdrowi, pra-

cujemy, rozwijamy swoje pasje, marzenia, plany zawodowe. Nic nie zapowiada katastrofy. Wyobraźmy więc sobie, że pracując na co dzień przed komputerem, zapominamy o tym, jak ważna jest ergonomia pracy. Stopniowo, niezauważalnie niszczymy swój kręgosłup i nagle „trach”. Budzimy się sparaliżowani bólem. Nie wiemy, co się stało, przecież spaliśmy tak, jak zawsze, a teraz nie możemy wstać z łóżka bez pomocy drugiej osoby. Wszystko się załamuje, zaczynamy szukać pomocy u kolejnych lekarzy, rezygnujemy z codziennych aktywności, planów, projektów zawodowych i dostrzegamy, że to, co nas spotkało, to efekt braku higieny pracy.

Punkt nr 2 (dolna część krzywej) to właśnie ten dramat, o którym pisze Dan Roam – dno, które osiągnęliśmy, miejsce, z którego pozostaje nam już się tylko odbić. I robimy to. Na początku dzięki pomocy przyjaciół, a później dzięki ćwiczeniom, które intuicyjnie odkryliśmy, próbując rozluźnić swój kręgosłup i mięśnie. Nic oryginalnego, to po prostu specyficzne ruchy rąk, określone skłony i obroty. Oczywiście wszystko konsultujemy z naszym rehabilitantem, który mówi, że to jest w porządku, że jest w tym sens. I zaczynamy to robić, wracając stopniowo do zdrowia i coraz większej sprawności. Oczywiście nie będziemy mieli tej formy co dawniej, ale czujemy się już znacznie lepiej, jesteśmy dumni, że odkryliśmy kilka prostych ćwiczeń, które uzupełniły profesjonalną rehabilitację. To jest punkt numer 3 na naszym wykresie. Jest on usytuowany wyżej niż punkt numer 1, bo teraz – mimo,

że mamy za sobą poważną chorobę – jesteśmy mądrzejsi. Mamy doświadczenie, odkryliśmy nowe talenty i umiejętności, nasz dramat stał się pretekstem do czegoś nowego, lepszego. Postanawiamy więc, że uruchomimy bloga, w którym opiszemy swoje dolegliwości i zamieścimy apel o to, byśmy wszyscy dbali o swoje zdrowie. Bo szczęściem i wiedzą należy się dzielić. Dziś nasz blog może mieć dziesiątki tysięcy odwiedzających, a nasza metoda pracy z ciałem pomagać tysiącom potrzebującym. O blogu w naszym wystąpieniu mówimy krótko, przez kilkanaście sekund, bo nasza przemowa nie jest po to, by się chwalić. Nasze wystąpienie powinno motywować ludzi do zmiany, pokazywać im, że z każdej sytuacji można znaleźć wyjście, że nie warto się poddawać. W naszym wystąpieniu możemy oczywiście zachęcać do dbania o zdrowie, do badań profilaktycznych. To

także szansa, aby opowiedzieć o swoim odkryciu, pokazując fenomen ludzkiego organizmu, który ma w sobie zadziwiające zdolności regeneracyjne. Jeśli oczywiście tylko damy mu szansę. W naszej opowieści nie chodzi o nas, tylko o to, co my możemy dać innym. Szukajmy więc punktów wspólnych między naszym życiem i życiem naszych słuchaczy.

Roam, opisując taką właśnie prezentację, wymienia jej poszczególne składniki: wyzwanie, pogłębiający się kryzys, skaliste dno, odkrycie, odrodzenie, powrót, konkluzja. Wszystko układa się w kształt krzywej, którą zaprezentowałem na rysunku. Aby nasza opowieść była atrakcyjna, pamiętajmy również o właściwie dobranych słowach, które muszą mieć odpowiedni ładunek emocjonalny. Ważne są odczucia, uczucia, osobiste doświadczenia. Skupmy się na tym, podając jednocześnie słuchaczom niezbędne

statystyki - oczywiście we właściwych proporcjach. Powiedzmy, ile mniej więcej osób w Polsce lub na świecie cierpi z powodu schorzeń kręgosłupa, ile osób sobie z nimi radzi, jakie urazy dopadają ludzi, mających siedzący tryb pracy. Fakty, dane są konieczne, bo nasze wystąpienie nie jest emocjonalnym roztkliwianiem się nad sobą. Nasza opowieść musi przekazywać wiedzę, chociaż jej najważniejszym zadaniem jest dodawanie siły innym. Za każdym więc razem, kiedy będziemy wychodzić na scenę, pamiętajmy o myśli przewodniej konferencji TED: „idee warte propagowania”, bo idea naszego wystąpienia musi być czytelna, uniwersalna, powszechna, chociaż osobista jednocześnie. Tylko wtedy skupimy na sobie uwagę przez tych kilkanaście minut, kiedy setki oczu będą zwrócone właśnie na nas.



DOMINIK SOŁOWIEJ

– dziennikarz, publicysta, krytyk literacki i właściciel agencji reklamowej, ambasador Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Regina Kantarska-Koper

Kilka uwag o zmianach znaczenia słów i nadgorliwości

określenia kogoś pochodzącego ze wsi; podobnie wulgarne dziś słowa „dupa” (dawniej – wydrążenie, dziupla) czy „kutas” (frędzel)¹.

Język podlega zmianom, jak wszystko na świecie. Jedne słowa się starzeją i same znikają, inne rodzą się wraz z nowymi zjawiskami. Chyba nie ma potrzeby ingerować w naturalny bieg rzeczy. Słowa niegdyś neutralne mogą stać się pejoratywne lub odwrotnie, np. słowo „kobieta” dawniej było nacechowane negatywnie. Pojawiło się w XVI wieku, wg Aleksandra Brücknea pochodziło od słowa kob, czyli chlew, koryto i oznaczało osobę, która zajmuje się chlewem. Było to słowo obelżywe, a neutralnym stało się dopiero pod koniec XVIII wieku. Słowo „gadać” z oficjalnego stało się potocznym; „kmieć” oznaczał najpierw wysokiego urzędnika książęcego, potem bogatego gospodarza, a obecnie został zdegradowany do pogardliwego

Chciałabym poświęcić chwilę uwagi zjawisku, które u wielu wywołuje kontrowersje i gorące dyskusje. Przykładem tego może być m.in. decyzja Rady Języka Polskiego na temat słowa „Murzyn”, uznająca je za obraźliwe i zakazująca używać go w szkołach, urzędach, mediach. Z tego powodu ucierpiał sympatyczny „nasz koleżka” Murzynek Bambo z bardzo znanego wiersza Juliana Tuwima. Oberwało się także książce *W pustyni i w puszczy* noblisty Henryka Sienkiewicza jako rzekomo propagującej kolonializm. Zmieniono tytuł poczytnego kryminału Agathy Christie *Dziesięciu małych Murzynków* na *I nie było już nigdy*. Komu przysłała do głowy myśl, że te i podobne lektury mogą być szkodliwe i uczynić z czytelnika rasistę?

Zainteresowanych tematem odsyłam do prześledzenia dyskusji w Internecie².

Podobny los spotkał słowo „Cygan” (zamienione na „Rom”). Co w takim razie zrobić z licznymi piosenkami, bez których trudno wyobrazić sobie wesołe biesiady czy wesela: „Hej, Cyganie”, „My, Cyganie”, „Cygan”, „Cyganka”, „Cyganieczka Janka”, „Cyganieczka Zosia”, „Życie Cygana”, „Cyganski tamburyn”, „Ach ty, Cyganko, zielone oczy twe”, „Czarne oczy twe, Cyganie”, „Pokochaj Cygana”, „Graj, piękny Cyganie”, „Cyganka dola”, „Ech, Cyganko, piękne oczy masz”, „Cyganski tabor”, „Cyganka gitara”, „Stary Cygan”, „Śpiew Cygana”, „Pokochałem Cyganek”, „Tańczmy z Cyganami”, „Wszyscy jesteśmy Cyganami”, „Cygankie wesele”, „Cygankie lato”, „Cyganka biesiada”, „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma” czy „Jadą wozy kolorowe”?

Czy po przeczytaniu tych tytułów i wysłuchaniu piosenek może powstać w normalnym człowieku jakakolwiek nienawiść lub pogarda? Czy raczej ciepłe, miłe uczucia, radość, sympatia i szacunek dla utalentowanej muzycznie grupy etnicznej?

Myślę, że to nie słowa są temu winne. Nacechowanie ich pozytywnie bądź negatywnie zależy od ludzi, od ich postaw,

¹ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Kobieta>; <https://wstepdojezyk.wordpress.com/> – Zmiany semantyczne. Publié le 21 décembre 2017.

² https://rjp.pan.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=1892:murzyn-i-murzynka&catid=44&Itemid=208; <https://kurierhistoryczny.pl/artykul/czy-murzynek-bambo-jest-wierszem-rasistowskim,638>; <https://www.salon24.pl/newsroom/1069982,rada-jezyka-polskiego-o-slowie-murzyn-obrazliwe-archaiczne-nalezyc-go-unikac>; <https://www.onet.pl/informacje/onetwiadomosci/powiesc-agathy-christie-zmienia-titul-usunieto-slowo-murzyn-z-calej-ksiazki/zt9ddk6,79cfc278>; <https://sjp.pwn.pl/poradnia/haslo/Klopotliwy-Murzyn;17473.html>.

uczuciu, nastawienia, intencji. Jeśli ktoś do ukochanego dziecka mówi z dumą i czułością: „ty łobuzie”, czy ma intencję je obrazić? I czy dziecko obrazi się za „łobuza”, czy raczej odbierze komunikat, że rodzic je kocha i jest z niego dumny? Nie mam wątpliwości, że to drugie. Człowiekowi, który nie wartościuje innych według koloru skóry, nawet przez myśl nie przejdzie, że znane mu od zawsze słowo „Murzyn” jest niestosowne i jego użycie naraża go na miano rasisty. Tak jak ucziwy człowiek nie podejrzewa innych, że chcą go oszukać, przez co może być uznany za naiwnego.

Poetka pisze: „Skoro zaprowadzają taki/ pruski dryl, / trzeba będzie słowniki / zmieniać co parę chwil... / Może wypada zmienić / nazwę ruskich pierogów? / Co jeszcze? W jakich słowach / dopatrzą się wrogów? / Po tych wszy-

kich / reformach co nam / pozostanie? / Uchowa się, dajmy na to, / «tureckie kazanie»?” (Wanda Kapica, *Brzydkie słowa*).

Gdyby rozumować w ten sposób, może należałoby usunąć także słowo „blondynka”, ponieważ z powodu złośliwych dowcipów, wymyślanych zapewne przez odrąconych przez właścicielki tego ślicznego koloru włosów adoratorów lub przez zazdrosne brunetki, którym blondynki odbiły partnerów, stało się synonimem jakoby niskiej inteligencji jasnowłosych kobiet. Zastanawiam się też, czy kupując w drogerii wybielającą czarną pastę do zębów, nie narażę się na oskarżenie o rasizm? Ciekawe, czy w obawie przed posądzeniem o seksizm lub antyfeminizm językoznawcy zabrońnią używać nazw: męsko- i niemęskosobowy rodzaj rzeczownika...

Podważliwe doszukiwanie się na siłę wszelkich -izmów czy -fobii w języku może przynieść więcej szkody niż pożytku, bardziej dzieli ludzi zamiast łączyć. Nie od dziś mówi się, że nadgorliwość gorsza od faszyzmu. Może zamiast represjonować słowa należałoby raczej zająć się edukacją człowieka, aby chciał i umiał popracować nad poprawą siebie, swojej empatii, życzliwości, m.in. po to, żeby nie nadawać słowom znaczeń, które mogłyby kogoś skrzywdzić, urazić, obrazić. A jeśli koniecznie trzeba usuwać jakieś słowa z użycia, to te, które zdecydowanie są już od dawna pejoratywne, obelżywe, tj. wulgaryzmy, o których pisałam w poprzednim numerze nieregularnika „Epea. Pismo literackie”, a które ciągle mają się całkiem dobrze w sferze publicznej, niestety.

REGINA KANTARSKA-KOPER

– emerytowana nauczycielka języka rosyjskiego, terapeutka, poetka, melomanka. Urodzona na Mazowszu, po studiach na UW w Warszawie zamieszkała w Białymstoku. Uprawia poezję, prozę i amatorsko malarstwo, pisuje także aforyzmy, fraszki, haiku, recenzje, wstępy i posłowania do tomików poezji i aforystyki. Członek Związku Literatów Polskich i Nauczycielskiego Klubu Literackiego. Na swoim koncie ma dziesięć indywidualnych tomików i trzy jako współautorka w serii „Kajety Starobojarskie” oraz liczne publikacje w: „Twórczości Robotników”, „Własnym Głosem”, „Głosie Nauczycielskim”, „Najprościej”, „Akancie”, „W Służbie Miłosierdzia”, w „Epei. Almanachu”, a także w ponad stu wydawnictwach zbiorowych: pokonkursowych, antologiach poezji i aforystyki, almanachach, w tym za grani-

cą (w języku angielskim w Wielkiej Brytanii i USA oraz w Indiach w języku telugu, angielskim i polskim). Tłumaczona także na esperanto i kilka haiku na język litewski. Redaktor antologii dla dzieci *Czarowny świat wierszy* (2011), książek Marianny Szulborskiej *Książka kanonik Czesław Bułkowski* (2017) i Edwarda Lipińskiego *Słowa niczym ziarna* (2020), współredaktor serii poetyckiej – rocznika „Kajety Starobojarskie” (w latach 2010–2018) oraz kilkunastu antologii i tomików poetyckich (m.in. zamieszkałego w Brukseli albańskiego poety Jetona Kelmendiego *Wiersze wybrane*, antologii *Pomiędzy dłońią a niebem 2020*, włączonej w międzynarodowy projekt „Dar na Stulecie” i in.). Zajmuje się także pracą korektorską, była laureatką i jurorką konkursów literackich.

fol. Justyna Sawczuk



Uwielbiam czuć „tę moc”

– z Rafałem Salmanowiczem, gitarzystą i założycielem grupy Hope On,
rozmawia Eligiusz Buczyński

Dział Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej to miejsce, gdzie kolekcjonujemy i archiwizujemy regionalną twórczość, zarówno pisaną, jak i muzyczną. W cyklu WyGracie – MyPropagujemy, skupimy się na przybliżeniu sylwetek białostockich artystów muzyków, pokażemy, czym się zajmują oraz w jaki sposób tworzą. Podpowiemy, co się gra „na mieście”.

Powiedzmy, że macie coś wspólnego z Guns N’ Roses. Na ich szósty, autorski album Chinese Democracy, czekano 27 lat. Mniej więcej tyle czekaliśmy też na debiutancki album Hope On. Co sprawiło, że trwało to tak długo?

Życie. Przez Hope On przewinęło się parę osób, dwóch już nie ma na tym świecie. Myślę tu o Borku (Tomku Borawskim) i Leszku Komorowskim. Potem dużo przerw, związanych ze studiami poza Białymstokiem, wyjazdami, żony, dzieci itd. itp.

Słowa i nazwy niosą ze sobą znaczenie. Kiedy postanowiliście (sprytnie) zmienić nazwę z No Hope (Bez Nadziei), na Hope On (Z Nadzieją) i czy miało to na Was jakiś wpływ?

Po drodze był jeszcze No Hope?. Tak że ze stwierdzenia braku nadziei zrodzi-

ło się pytanie, a potem NO ewoluowało w ON sprytnie zmieniając znaczenie nazwy. Myślę, że to odzwierciedlenie tego, co czułem w danym czasie, jak patrzyłem na świat i siebie w nim.

Jedna z piosenek (Hope On) jest Waszą wizytówką: *Dużo Małego, trochę Borka, Kuba na bębnach i ja (Memek) do worka. Słysząc, i czuć, że jest to Twoje autorskie dzieło. Wyrasta z korzenia bluesa, a dalej...? Co Cię inspirowało?*

Dużo Hendrixa, trochę punk rocka, jazz, metal, funky, alternatywa do worka. Lubię słuchać różnego rodzaju muzyki, zresztą Memek i Kuba również. Na mnie, w swoim czasie, na pewno duży wpływ miała muzyka Hendrixa i paru innych artystów z czasów hipisowskich.

Jesteście świetni technicznie, a Twoja gitara gra jak co najmniej

dwie albo trzy inne, zwykłe gitary, naraz. Następuje niesamowita kumulacja energii, ta muza niesie. A Ty jak ją odbierasz?

Dla mnie energia w muzyce jest bardzo istotna. Ten sam kawałek może zabrzmieć zupełnie inaczej, gdy się go zagra z energią lub bez niej. Uwielbiam czuć „tę moc” podczas grania. To bardzo wyzwalające.

Jak postrzegasz Białystok w kontekście muzyków? Jest otwarty, inspirujący, czy jest gdzie grać i się pokazywać? Czy raczej więcej w nim barier pod tym względem? Może wrócisz na chwilę do Waszych początków, przy Dobrej. Jakie to było miejsce?

Uważam, że w Białymstoku jest trochę inspirujących, dobrych muzyków. Było i jest parę naprawdę dobrych zespołów. Może trochę żal, że niewiele z nich wypłynęło na szersze wody. Może brakuje ludzi, czy instytucji, które chciałyby zająć się poważniej promocją, może też mentorów. Jeśli chodzi o granie koncertów, to myślę, że jest sporo miejsc, oferujących swoje sceny i mam wrażenie, że jest ich coraz więcej.

Jeśli chodzi o Dobrą, to mam same dobre wspomnienia. Udało nam się



fot. archiwum prywatne Autora

stworzyć świetną, undergroundową przestrzeń, w której spotykało się mnóstwo muzyków. Kilka lat funkcjonowało tam Salman Studio. To był wspaniały czas. Myślę, że wiele osób bardzo dobrze

wspomina to miejsce. Kiedyś, po latach, zadzwonił do mnie człowiek z Jastrzębiej Góry i gdy dowiedział się jak się nazywam, spytał czy mam coś wspólnego z Salman Studio. Twierdził, że to miejsce

było wręcz legendarne w jego kręgach. To było bardzo miłe. A dzwonił w zupełnie innej sprawie...

Ja grałem tam z No Hope, potem z No Hope? i w końcu z pierwszym skła-

dem Hope On. Tam zaszła przemiana. Pierwszy skład Hope On był z Borkiem (Tomkiem Borawskim) i Lechem (Leszkiem Komorowskim). Obaj niestety odeszli już dawno...

Zaczynałeś w latach 90., kiedy przekaz bezpośredni był nośny, a spotkania w klubach i na koncertach stanowiły formę ważnej wymiany myśli. Co powiesz o lokalnych zmianach w podejściu do muzyki, spotkań na żywo, konkursów, koncertów? Jak wspominasz przygodę z „Muzyczną wiosną”?

Tak, gram już dość długo. Zaczynałem w sumie w podstawówce, jako

perkusista. Potem przerzuciłem się na gitarę. Na pewno najwięcej grałem w czasach liceum, olewając trochę szkołę i grając często po osiem godzin dziennie. Później różnie bywało. Praca na etacie na pewno nie pomaga w rozwoju artystycznym, ale jakoś udaje się ciągnąć tę historię. Na „Wiosnie muzycznej” zagraliśmy z No Hope, chyba w 1990 lub 91 roku. Jako zespół zajęliśmy drugie miejsce, a ja cieszyłem się z nagrody dla najlepszego gitarzysty konkursu. To moje jedyne w życiu wyróżnienie, ale w sumie to więcej już nie startowałem. Jak wyglądają teraz konkursy, to za bardzo nie wiem, nie śledzę. Ogólnie uważam, że dają możliwość pokazania się publiczności, choć

formuła zawodów w odniesieniu do sztuki nie do końca mnie przekonuje.

Na koniec: jakie najczęściej stosujesz chwytty?

Hmmm, najlepiej żeby pasowały. Chyba najczęściej durów i siódemek durowych. Czasem zdarza mi się grać też chwytty, których z racji braku wykształcenia muzycznego nie potrafię nazwać, bo nie biorę ich ze zbioru chwytów ogólnie znanych. W ogóle, to lubię sam odnajdywać fajne dla mnie rzeczy na gitarze, choć wiem, że to trochę wyważanie otwartych drzwi. Dziś wszystko można znaleźć w internecie...

Maciek ‘eM-Ski’ Snitkowski, redaktor muzyczny Radia Akadera, poproszony o krótkie podsumowanie muzyki granej przez Hope On, powiedział:

Dziś klasyczne rockowe trio – gitara, bas i perkusja to rzadkość. Dlatego na wieść o reaktywacji białostockiego składu Hope On postanowiłem wrócić do ich debiutanckiego dema z 2015 roku, żeby sprawdzić, czy to może zadziałać.

I stwierdzam, że tak. Pod warunkiem, że to będzie właśnie takie granie: inteligentne, zaangażowane, z miejscami połamanym rytmem, z przepięknie „brudnymi” gitarami, z przekazem, ale i dużą dozą humoru. Okazuje się, że ściana dźwięku wcale nie jest konieczna. Takich rzeczy chcę słuchać i włączam moją nadzieję (Hope On), że na nowy materiał długo czekać nie będę musiał.

Włączamy się w strumień nadziei na rychłą, kolejną płytę. Debiutancki album Hope On znajdziecie oczywiście w Dziale Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej. Zapraszamy do wypożyczenia!

RAFAŁ SALMANOWICZ

– urodzony w 1973 r. w Białymstoku. Studiował na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, specjalizacja – malarstwo. Na co dzień pracuje jako grafik komputerowy w agencji reklamowej. Po pracy zajmuje się malarstwem, grą na gitarze elektrycznej i komponowaniem utworów, czasem też pisanie tekstów. Uczestnik kilkunastu wystaw malarskich. Założyciel zespołów: No Hope, No Hope?,

Hope On. Laureat nagrody dla najlepszego gitarzysty „Wiosny Muzycznej” w Białymstoku. W latach 90. współzałożyciel i prowadzący undergroundowe Salman Studio. W 2021 roku debiut aktorski w spektaklu teatralno-muzycznym *Curik Ahejm*, w którym uczestniczył także jako muzyk, wykonując kilkanaście utworów z zespołem SOK oraz stworzył animacje komputerowe wyświetlane podczas wydarzenia.

Walentyna Szwed

„Piórem Smaszcz się namaszczą” – jubileusz siedemdziesięciolecia białostockiego krytyka

W 2021 roku jubileusz siedemdziesięciolecia obchodzi Waldemar Smaszcz – historyk, eseista, krytyk literacki i tłumacz. Jego bogaty, nowatorski dorobek w zakresie krytyki literackiej i eseistyki oraz opracowań redakcyjnych, zgromadzony w czasie czterdziestu pięciu lat pracy, zapewnił mu silną pozycję wśród współczesnych polskich badaczy literatury.

Gruntowną wiedzę na temat literatury polskiej, szczególnie epoki romantyzmu i dwudziestolecia międzywojennego oraz warsztat pisarski zdobył na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu pod kierunkiem prof. Artura Hutnikiewicza i prof. Konrada Górskiego. Po ukończeniu studiów pracował w Instytucie Filologii Polskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, ale gdy w 1984 roku został przyjęty do Związku Literatów Polskich, podjął decyzję o samodzielnej pracy twórczej,

niezwiązanej etatowo z żadną instytucją. Pozwoliło mu to na zachowanie niezależności sądów oraz nieskrępowaną działalność badawczą, która zaowocowała znaczącymi osiągnięciami krytycznoliterackimi zwłaszcza w obszarze chrześcijańskiej poezji religijnej.

Waldemar Smaszcz jest autorem dwudziestu książek, w tym m.in. ośmiu dotyczących twórczości Jana Twardowskiego, trzech książek o Krzysztofie Kamile Baczyńskim i dwóch o Karolu Wojtyłe. Ponad pięćdziesiąt szkiców, esejów, rozpraw zamieścił w wydawnictwach zbiorowych, a w czasopiśmie opublikował około osiemdziesięciu tekstów.

Debiutował w 1975 roku w „Kontrastach” (nr 5, s. 51-52) recenzją *Bohaterka dla Boya* książki Marii Wołkońskiej *Pamiętnik*. Za właściwy jednak debiut krytycznoliteracki autor uważa szkice *Lechoń* i *Liebert* opublikowane w miesięczniku „Poezja” w 1977 roku. Publikował w najbardziej liczących się czasopiśmie literackich i kulturalnych w kraju. Warto podkreślić, że mimo renomy twórcy o znaczeniu ogólnokrajowym, nie omijał prasy białostockiej.

Wyróżniająca się jest także praca redakcyjna i edytorska Waldemara Smaszcza. Jego dorobek w tym zakresie to sto czterdzieści opracowań wyborów wierszy poetów polskich z różnych epok literackich jak: Adam Mickiewicz, Franciszek Karpiński, Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Krzysztof Kamil Baczyński, Władysław Broniewski, Julian Tuwim czy Czesław Miłosz. To odkrywanie i udostępnianie czytelnikowi twórczości autorów zapomnianych czy mniej znanych utworów wielkich poetów, a nawet wierszy w ogóle niedrukowanych. To również promowanie współczesnych wielkich nazwisk jak ks. Jan Twardowski oraz plejady poetów z województwa podlaskiego.

Autorskim pomysłem białostockiego twórcy była np. Seria Poetycka „Z Listkiem” wydawana przez Instytut Wydawniczy PAX. W serii tej Waldemar Smaszcz opracował dwadzieścia tomów, a rekord popularności zdobyły wiersze i rozmyślenia religijne ks. Jana Twardowskiego *Blisko Jezusa*, wydawane siedmiokrotnie, w tym pięciokrotnie w serii „Z Listkiem” oraz *Poezje wybrane* Karola Wojtyły, które miały sześć wydań. Za-

proponowane do wydania i opracowane przez Waldemara Smaszcz książki zostały wysoko ocenione nie tylko przez czytelników, ale także przez krytykę literacką.

Jego zasługą jest opublikowanie we Lwowie – wspólnie z ukraińskim poetą Stanisławem Szewczenką – czterech zbiorów poezji polskiej w wersji polsko-ukraińskiej (*Dłatego, że są – Antologia współczesnej poezji polskiej*; Wisławy Szymborskiej *Pod jedną gwiazdką*; Czesława Miłosza *Poezje wybrane* oraz Karol Wojtyła – *człowiek, duszpasterz, poeta*).

Waldemar Smaszcz dał się także poznać jako znakomity translator poezji rosyjskiej i ukraińskiej na język polski. Przetłumaczył wiersze wielu poetów rosyjskich m.in. poemat Siergieja Jesienina *Anna Sniegina* oraz wiersze poetów ukraińskich w tym wiersze Stanisława Szewczenki, wydane jako odrębna publikacja *Nic oprócz słowa*.

Szczególne cenne są jego dokonania w dziedzinie odkrywania, zachowania i popularyzowania lokalnej tożsamości kulturowej. To właśnie Waldemar Smaszcz wydobył z niepamięci twórczość religijną Franciszka Karpińskiego, autora związanego z dworem Branickich w Białymstoku. Wybrał i opracował dwa tomy jego poezji: *Pieśni nabożne i inne wiersze* (wybór i posłowie, Warszawa 2000) oraz *Pieśni nabożne i patriotyczne: Sielanki* (wybór i układ Waldemar Smaszcz, słowo wstępne Stanisław Szymecki, arcybiskup metropolita białostocki, Białystok 2000). Napisał także książkę *Obsypany Twymi dary: Rzecz o Franciszku Karpińskim* (Białystok 2000). Aby podtrzymać pamięć o chrześcijańskiej duchowości tego oświeceniowego poety, stał się inicjatorem powstania Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Franciszka Kar-



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

pińskiego przyznawanej od 1995 roku przez Oddział Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Białymstoku za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury chrześcijańskiej.

Swoją działalnością literacką Waldemar Smaszcz przyczynia się także do rozwoju białostockiego środowiska literackiego. Współredagował „Rewers” – swoistą kronikę Klubu Literackiego

ZLP w Białymstoku. Należał również do słynnej grupy literackiej „Bakalarz” przy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Inicjował cykle spotkań literackich *Białostockie Wiosny i Jesienie Literackie*. Wzbogacał *Supraskie Spotkania z Naturą i Sztuką*. Był inicjatorem utworzenia, przyznawanej od 1992 roku, Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego.

Znane na Podlasiu jest określenie Andrzeja Koziary „piórem Smaszcz się namaszcz”. Killkudziesięciu autorów z Białegostoku, Suwałk, Łomży, Hajnówki i innych miejscowości regionu podlaskiego, a także wielu młodych literatów na terenie całego kraju, których tomiki wierszy przygotowywał do druku i opatrywał swoimi komentarzami skorzystało z „namaszczenia” białostockiego krytyka.

O wybitnych osiągnięciach Waldemara Smaszcz świadczą także przyzna-

ne nagrody. Dwukrotnie (1981, 1991) otrzymał nagrodę II stopnia Rektora Uniwersytetu Warszawskiego. Także dwukrotnie został laureatem Nagrody im. W. Pietrzaka (1984 – Nagroda Młodych, 1997 – Nagroda Literacka) przyznawanej przez Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” za wybitną twórczość literacką. Ponadto otrzymał Nagrodę Twórczą Wojewody Białostockiego (1989) za prace poświęcone Kazimierzowi Wierzyńskiemu i innym wybitnym twórcom emigracyjnym, Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. W. Kazaneckiego (1999) za książkę *Słowo poetyckie Karola Wojtyły* (Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1998), Ogólnopolską Nagrodę Literacką im. F. Karpińskiego (2000) za twórczość poświęconą nurtowi chrześcijańskiemu w polskiej literaturze ze szczególnym

uwzględnieniem opracowań dotyczących twórczości Franciszka Karpińskiego oraz Nagrodę Literacką im. Witolda Hulewicza (2005) za całokształt twórczości. Jest wielokrotnym laureatem Warszawskiej Jesieni Poetyckiej (1984, 1985, 1986, 1989) w konkursie na esej. Odznaczony Medalem im. Biskupa Ignacego Krasickiego *Godzien kraj kochania*, przyznany przez Olsztyński Oddział Związku Literatów Polskich (1979), Złotym Krzyżem Zasługi (2000), Medalem 100-lecia Odzyskania Niepodległości (2018) i Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2020).

W roku 2000 papież Jan Paweł II przyznał Waldemarowi Smaszczowi – w dowód uznania dla zaangażowania w pracę na rzecz Kościoła – wysokie odznaczenie Stolicy Apostolskiej Krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice*.

WALENTYNA SZWED

– mgr kulturoznawstwa, Uniwersytet Wrocławski (1977 r.). Wieloletni pracownik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku do spraw współpracy z instytucjami artystycznymi i środowiskami twórczymi.

Andrzej Zdanowicz

Kolejne kartki pozostaną puste ...

12 sierpnia 2021 roku zmarł Andrzej Salnikow – poeta, filozof, dziennikarz, animator kultury. Ostatnio popularne jest określenie „człowiek kultury”. Definiuje ono intelektualistę ze zmysłem artystycznym, otwartego na sztukę, mającego szerokie horyzonty myślowe. Taki właśnie był Andrzej Salnikow. Urodził się w 1960 roku. Wychowywał się w Bielsku Podlaskim, tu skończył II Liceum Ogólnokształcące z Białoruskim Językiem Nauczania im. Bronisława Taraszkiewicza. Był absolwentem Wydziału Filozofii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, pracownikiem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie – tu też był współzałożycielem i pierwszym redaktorem naczelnym pisma literackiego „Fraza”. Po latach wrócił do rodzinnego Bielska Podlaskiego. Nie zrezygnował z twórczości: wydał kilka tomików i książek dla dzieci, pisał artykuły w lokalnej prasie, prowadził i redagował kwartalnik „Cyrylica”, pracował w Bielskim Domu Kultury, współtworzył program artystyczny.

Tworzył, ale też wspierał i motywował do tworzenia innych. To dzięki niemu wielu nieodkrytych wcześniej poetów zdecydowało się tworzyć nie tylko do szuflady, ale wydać swoje wiersze. To właśnie z myślą o takich osobach Andrzej Salnikow założył przed laty Stowarzyszenie Poetów Ziemi Bielskiej, skupiające autorów z Bielska Podlaskiego i okolic. W ramach stowarzyszenia, ale też jako przyjaciel, służył radami dotyczącymi poezji oraz wsparciem w pozyskaniu środków, wydaniu i promocji tomików. Wielokrotnie organizował spotkania autorskie z twórcami w różnym wieku. Stowarzyszenie cyklicznie wydawało almanachy poezji lokalnych twórców. Krótko przed nagłą śmiercią założył Stowarzyszenie Latający Dom Kultury, które miało krzewić różne formy sztuki poza murami placówek kultury.

Andrzej zawsze miał głowę pełną pomysłów. Nie lubił stagnacji, co chwila realizował nowe projekty, mniejsze, większe, angażował w nie osoby starsze, dzieci, szkoły. Był ciekawą osobowością jako artysta, animator i menadżer kultury, ale też po prostu jako człowiek, który lubił towarzystwo innych ludzi. I to nie tylko tych z kręgów poezji czy sztuki. Zawsze uczynny, sympatyczny, skory do rozmowy. Patrzył na spotykane osoby od tej lepszej

strony. W każdym potrafił znaleźć to, co najpiękniejsze i najbardziej wartościowe: pasję, talenty lub po prostu dobre serce. Dostrzegał w innych zalety, których często oni sami nie byli w stanie dostrzec.

Mało tego, potrafił skłonić do rozwijania tego, co dobre. Gdy innym brakowało słów, on je znajdował. Podczas wielu dyskusji i spotkań zawsze można było liczyć na jego trafną uwagę, komentarz. Nie były to komentarze złośliwe, ale budujące, motywujące do działania. Może dlatego miał tak wielu znajomych i przyjaciół, którzy chętnie rozmawiali z nim nie tylko podczas oficjalnych spotkań, ale także przy kawie, herbach lub przystając na ulicy.

Miał głowę pełną pomysłów i planów. Wiele z nich realizował. Był ciągle w ruchu. Lubił się rozwijać, poszerzać swoją wiedzę. Często zaskakiwał nową pasją, celem, który przed sobą stawiał.

Jego śmierć także była zaskoczeniem. Z dnia na dzień źle się poczuł, trafił do szpitala, wydawało się że tylko na chwilę, że za parę dni wróci do realizacji swoich planów. Miał między innymi dokończyć rozpoczętą już jakiś czas temu powieść. Niestety, kolejne kartki pozostaną puste.

Niedługo przed śmiercią napisał ten oto wiersz... Ostatni wiersz, który stał się epitafium...



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Trwanie

Nie rozwiążę krzyżówki
Nie poznam wyniku końcowego
Nawet gdy hasło wpiszę
Taka dziwna kombinacja
Zdarzeń nieprzewidzianych
Co dyktują splątane życie
Wirują klatki i słowa
Jak paski w tomografie
Rozbijają niewzruszone Bycie

Andrzej Salnikow
Bielsk Podlaski, 8.07.2021

Eligiusz Buczyński

Łódeczki na ocenie – wspomnienie o Janie Leończuku

To był głos. Spokojny, głęboki, ale kiedy trzeba potrafił wzniesić się na melodramatyczny ton, wynosząc słowa do wyrazów natchnienia. Za każdym razem podchodziłem do radia i robiłem głośniejszy, kiedy w eterze pojawiał się felieton z „Zapiśnika”. Zaczęło do mnie docierać, że ich autor wyraża coś niedostrzegalnego, o wiele więcej niż opis zjawisk i rzeczy. Że metafory, przy pomocy których buduje swój świat, nadają jakiś nowy sens rzeczywistości i wypełniają życie. Pozwalał słowom wpływać niczym małym łódeczkom na

szeroki ocean rzeczywistości. Uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że to właśnie nazywa się poezją.

Miał w sobie nieustannie pracujący młyn do przerabiania na chleb tego, co rozproszone i bezładne jak mąka. Dużo działało się wokół niego.

Rozmawiał o Demiurgach, choć wiadomo było, że jego jedynym Demiurgiem jest Bóg.

Pamiętam, że przed drzwiami jego gabinetu, przy Kilińskiego 11, wisiał cytat z Tolstoja: „Wiedza daje pokorę wielkiemu, dziwi przeciętnego, nadyma małego” i że kiedy przekraczało się Janowe progi, nie czuło się żadnych barier.

– Napijesz się kawy?

Jego gabinet zawsze był „założony” książkami i nadsyłanymi tekstami, tymi

do druku i do recenzji. Rozmaici, ludowi artyści, przynosili mu swoje dzieła sztuki. Wtedy na chwilę sam stawał się oceanem, na którym puszczano małe łódeczki.

I tak oto znalazłem się po raz pierwszy obok Jana.

Kiedy zaczynał czytać, nastawała cisza jak w mickiewiczowskich *Stepach akemańskich*. Trochę się jej bałem. Jan Leończuk był probierzem słowa, wchłaniał je, po czym czynił z niego modlitwę. Odsiewał, tłumaczył, był w tym prawdziwy i przejmujący.

Wydaliśmy wspólnie trzy tomy wierszy i przeprowadziliśmy jeden wywiad. Był ciekaw, pytał, nie ingerował w treść. Te cztery łódeczki, którymi udało nam się wzbogacić rzeczywistość i odbić od brzegu, to On, to Jego zasługa.



JAN LEŃCZUK

– poeta, prozaik, tłumacz i publicysta. Urodził się 24 czerwca 1950 roku w Łubnikach k. Białegostoku. Był absolwentem Technikum Rolniczego w Białymstoku–Dojlidach, a następnie Wydziału Humanistycznego Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku oraz Podyplomowego Studium Bibliotekarskiego na Uniwersytecie w Białymstoku.

Od 1975 roku pracował jako nauczyciel akademicki w Instytucie Filologii Polskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, a po dwuletniej przerwie od roku 1985 w Instytucie Historii tejże uczelni, po czym otrzymał nominację na dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku (1998), która stała się później Książnicą Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Debiutował na łamach „Radaru” w 1970 roku. Po ukończeniu studiów powrócił w rodzinne strony, prowadząc – oprócz pracy dydaktycznej na uniwersytecie – gospodarstwo rolne.

Był założycielem i pierwszym prezesem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Zabłudowskiej. Od roku 1991 redaktorem naczelnym lokalnego dwumiesięcznika „Z Zabłudowskiej Ziemi”, od 1994 związany z pismami „Gryfita”, „Magazyn Polski” oraz kwartalnikiem „Rubież”. W latach 1991–2000 członek Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Od 1996 roku członek Komisji Synodalnej Archidiecezji Białostockiej. Wykładowca w Studium Kultury Polskiej w Wilnie w latach 1990–1994, od roku 1998 – członek Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i wieloletni członek Zarządu Podlaskiego Oddziału tegoż stowarzyszenia. Członek Związku Literatów Polskich od 1989 roku, w latach 1992–1995 wiceprezes białostockiego oddziału ZLP; w latach 1995–1999 – prezes. Współpracował z Polskim Radiem Białystok, na antenie którego ukazywały się jego cotygodniowe felietony.

Był trzykrotnym laureatem Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego (1990, 1997, 2010) oraz Nagrody Prezydenta Miasta Białegostoku w dziedzinie tworzenia i upowszechniania kultury (1997). W 1979 i w 1987 roku otrzymał Nagrodę Twórczą Wojewody Białostockiego oraz Ogólnopolską Nagrodę Literacką im. Franciszka Karpińskiego w 2003 roku. W 1979 r. – Nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej, 1987 r. – Nagrodę Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki, 1993 r. – Dyplom Ministra Kultury i Sztuki.

Odnznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1990), odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (1981), srebrną (1996) i złotą (1998) odznaką „Zasłużony Białostoczczyźnie” oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2000). W 1991 r. uhonorowany Nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka.

Odszedł 23 listopada 2021 roku, po długiej i wyczerpującej chorobie.

(oprac. tf)

„Goniec Kresowy” – tradycja w nowej odsłonie

Od 2022 roku Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku podejmuje współpracę z Towarzystwem Przyjaciół Grodna i Wilna, oddziałem w Białymstoku. W ramach tejże współpracy obie instytucje będą wydawać „Gońca Kresowego”, czasopismo znane, o dużej i bogatej tradycji, sięgającej 1988 roku. W związku z tą inicjatywą prezentujemy rozmowę Łukasza Zabielskiego z Rafałem Cierniakiem, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna.

Łukasz Zabielski: Czym jest „Goniec Kresowy”? Jaka misja Wam przyświecała, powołując tak zatytułowane czasopismo do życia?

Rafał Cierniak: „Goniec Kresowy” to pismo, które w swej misyjnej działalności dążyło i wciąż dąży do podtrzymania tradycji polskich Kresów, Grodzieńszczyzny i Wileńszczyzny. Tradycji, rzecz jasna, w jej ujęciu zarówno historycznym, jak i współczesnym. Mówiąc inaczej: wydajemy pismo skierowane do wszystkich osób zainteresowanych polską przeszłością, jednak treści poświęcone historii równoważymy artykułami omawiającymi wydarzenia aktualne. Po części prowadzimy swego rodzaju kronikę rejestrującą i popularyzującą formy statutowej działalności Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wil-

na (TPGiW) oraz organizacji partnerskich.

Na przestrzeni wszystkich lat, które upłynęły od otwarcia „Gońca Kresowego”, misja pisma się zmieniała. W pierwszym numerze (który *notabene* nie został oznaczony żadną liczbą porządkową), wydanym w kwietniu 1989 roku, „Goniec Kresowy” zatytułowano „Informatorem”. Najważniejszym jego zadaniem pozostawała wówczas integracja autorów i czytelników, konsolidacja środowisk skupionych wokół Towarzystwa, aspekt kluczowy w początkach działalności naszej organizacji. Tak literalnie misję określił anonimowy redaktor w prospekcie pisma.

Wysuwano ponadto liczne apele o pomoc w przygotowaniu treści do kolejnych numerów. Przywołajmy może jako przykład fragment odredakcyjnego słowa wstępnego z pierwszego numeru: „Chcemy prosić Szanownych Kolegów o pomoc w kompletowaniu materiałów.

Oprócz tekstów wspomnieniowych, pamiętnikarskich, liczą się współczesne zapiski z terenów Grodzieńszczyzny i Wileńszczyzny, a na początek przede wszystkim informacje, także informacje o formach aktywności poszczególnych oddziałów”.

Z czasem misja pisma zaczęła ewoluować. Na pewno mieli na nią wpływ kolejni redaktorzy prowadzący oraz prezesi oddziału białostockiego TPGiW, ale przede wszystkim autorzy tekstów. Z broszurki-informatora „Goniec Kresowy” zaczął się przeobrażać w poważne pismo o profilu społeczno-kulturalnym, nie lekceważące przekazów wspomnieniowych czy kronikarskich, jednak okraszonych od-tąd zacięciem dziennikarskim, pogłębioną refleksją i spojrzeniem krytycznym.

Opowiedz bardziej szczegółowo o początkach pisma. Od czego się to właściwie zaczęło?



fot. TPGiW

Początki pisma są ściśle związane z momentem powołania do życia Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna. Był to rok 1988. Pierwsze dwa numery ukazały się już rok później i opatrzone je

w stopce redakcyjnej określeniem „Informator oddziału białostockiego TPGiW”. Od numeru 3 z 1990 roku „Goniec Kresowy” nazywano już pismem. Tytuł ukazywał się dość nieregularnie. Rok 1989

przyniósł dwa numery, 1990 również dwa, ale na przykład rok 1991 aż cztery. Obecnie trzymamy się raczej liczby 3 wydań w roku kalendarzowym. Najszym nadzrędnym zadaniem początkowo

stała się wspomniana integracja środowisk kresowych, ale też informowanie o powstających oddziałach naszej organizacji, ułatwianie kontaktów między osobami zainteresowanymi współpracą. Zaczęły z czasem coraz odważniej i częściej ukazywać się publikacje o Kresach, Wilnie i Grodnie, o treści zarówno historycznej, jak i współczesnej. Angażowaliśmy do współpracy nie tylko amatorów, ale też zawodowych historyków, socjologów, zaawansowanych stażem miłośników historii i tradycji polskich Kresów.

Ojcem chrzestnym całego wydawniczego projektu jest Eugeniusz Kurzawa. Tak mi się wydaje, sądząc po wielu rozmowach z uczestnikami zdarzeń z końca lat 80. XX wieku. On jako w jednej osobie redaktor prowadzący i redaktor naczelny odpowiadał za wydawanie pisma w latach 1989–1992. Od numeru 13 z 1993 roku pismo prowadziła już Rada Redakcyjna, a redaktorzy prowadzący się zmieniali: Krzysztof Filipow, Piotr Olędzki, Barbara Czarnecka, Witold Czarnecki. W 1996 roku „Goniec Kresowy” się nie ukazał. Rok później wrócił na rynek wydawniczy w odświeżonej szacie graficznej, nowym naczelnym wybrano Roberta Tomczaka. Następnie pismo ponownie redagował zespół, tym razem pod przewodnictwem Marii Gedymin. Od numeru 39 z 2003 roku do dnia dzisiejszego redaktorem naczelnym jest Aleksander Miśkiewicz.

Nazwisko obecnie urzędującego redaktora naczelnego jest kojarzone w naszym, podlaskim środowisku.

Cóż, za nami już prawie 19 lat i blisko 60 numerów „Gońca Kresowego” pod redakcją Aleksandra Miśkiewicza. To znany białostocki historyk, polski Tatar, wieloletni wykładowca Uniwersy-

tetu w Białymstoku. Wykładał m.in. na Wydziale Historyczno-Socjologicznym oraz na białostockiej Filologii historii Polski. Obecnie przebywa na emeryturze, ale warto podkreślić, że prócz pracy czysto redakcyjnej, aktywnie publikuje, tworzy nowe, oryginalne materiały oraz wywiady.

A kiedy Ty dołączyłeś do pisma i jaka jest w nim Twoja rola?

Okolo 2003, 2004 roku współpracę z TPGiW rozpoczęła Fundacja na rzecz Pomocy Dzieciom z Grodzieńszczyzny. Nasz ówczesny prezes, Piotr Jankowski, skierował mnie do współpracy przy redagowaniu „Gońca Kresowego”.

Początki były więcej niż skromne. Od 2004 roku przepisywałem nadsyłane artykuły, sugerowałem konieczne zmiany, skróty, układałem śródtytuły, wyszukiwałem materiał ilustracyjny, czasem zajmowałem się korektą i kontaktem z grafikami. Od 2010 roku, gdy prezesem białostockiego oddziału TPGiW wybrano mnie, mój wkład w redagowanie „Gońca” zdecydowanie się zwiększył. Zyskałem przede wszystkim szerszy wpływ na merytoryczną zawartość pisma. Muszę się też pochwalić. Z mojej inicjatywy pismo zmieniło szatę graficzną, wydawane jest w pełnym kolorze, nabrało bardziej nowoczesnego, adekwatnego do współczesnych czasów, charakteru i kształtu.

Dzisiaj nadzoruję prace nad każdym numerem, ustalam wspólnie z redaktorem naczelnym tematy przewodnie. Tutaj część pracy wykonuje Aleksander Miśkiewicz, część ja. Choć od razu wyjaśnię, że to naczelny odpowiada za warstwę tekstową, ja za ikonografię, układ i podział treści. Moje są też kontakty i współpraca z korektorami, grafikami, drukarnią. I oczywiście odpowiadam za

finanse, szukam możliwości finansowania „Gońca”, a więc po mojej stronie są wnioski, projekty, podania...

Jakie na przestrzeni lat były pomysły na pismo? Czy zmieniał się wydawca (instytucja wydająca)? Czy zmieniała się misja wydawnicza?

Pomysłów było naprawdę dużo. Zazwyczaj wprowadzaliśmy coś nowego wraz z kolejnym zarządem oddziału białostockiego TPGiW. Najczęściej była to aktualizacja szaty graficznej, nierzadko zmianie ulegał układ zawartości pisma. Każdy prezes naszej organizacji, a także redaktor naczelny czy redaktor prowadzący, proponowali „swoje” tematy, zagadnienia, które były im bliższe. Proszę się w tej deklaracji nie doszukiwać niczego kontrowersyjnego, bo najczęściej te propozycje wiązały się na przykład z ich pochodzeniem lub emigracyjnymi losami ich rodzin. Oczywiście, nie zmieniło to charakteru pisma, nie tworzyło żadnych rewolucji. Jednak zmiany były zauważalne. Szczególnie stali czytelnicy od razu spostrzegali, że prezentujemy więcej artykułów na jeden, określony temat, a inne pomijamy milczeniem. Warto chyba też dodać, że wydawca „Gońca” się nie zmieniał. Od początku był to białostocki oddział TPGiW.

Co wspominać z największym sentymentem? Jaki okres, jakie zdarzenie, jakich ludzi, autorów, czytelników?

Och, tu dużo trzeba by wymienić. Zdarzyło się na przykład, że spora część nakładu jednego z numerów poszła do kosza. Powód? Nawałiła maszyna i na drukowała zdjęcia na tekście artykułów. W innym zeszycie odwrócona była okładka, cały nakład musieliśmy rozszywać i na nowo zszywać. Podkreślam:

każdy egzemplarz ręcznie, osobno. Ale to było tak dawno temu...

Osobiście – najbardziej wspominam ludzi, z którymi przez te kilkanaście lat współpracowałem w redakcji „Gońca”, a których już z nami nie ma. Dużo tutaj nazwisk, dlatego wymienię tylko kilka: Maria Gedymin i jej przepiękna polszczyzna, Klara Rogalska – czasem wybuchowa, ale bardzo rzeczowa, konkretna, a jak pięknie o Wilnie opowiadała... Jurek Gubarewicz – wiele zdjęć jego autorstwa zdobiło strony „Gońca”, wiele tekstów napisał. Ela Słupska, która pismo składała, a z którą czasem się kłóciłem, bo coś mi się w składzie nie podobało.

Autorzy to obszerny temat, warty potraktowania osobnego i bardziej rzeczowego. Ponadto więcej by o nich opowiedzieli redaktorzy naczelni. Ja dodam tylko, że wszystkich cenię i dziękuję im za współpracę. To oni stworzyli i wciąż tworzą „Gońca”.

A czytelnicy? Cóż, pismo jest dla nich, nie dla nas. Czytelnicy są najważniejsi! Kiedyś mieliśmy z nimi bliższy i częstszy kontakt. Dzisiaj raczej sporadycznie, okazjonalnie. Czasem pojedyncze osoby podczas Dni Kultury Kresowej, na jarmarku Kaziukowym podchodzą, dziękują. I ja im dziękuję!!!

Rozwiń proszę ten wątek. Jak wyglądała interakcja z czytelnikami? Dostawaliście głosy poparcia lub

oceny, komentarze negatywne?

Jak wspominałem, kontakt, a co za tym idzie: uwagi, głosy, komentarze, oceny etc. w przeszłości były zdecydowanie częstsze. Niektórzy czytelnicy prowadzili otwarte na naszych łamach polemiki z autorami poszczególnych artykułów. Zwracano uwagę na błędy, nieścisłości, niedopowiedzenia lub zupełne przekłamanie. Pojawiały się propozycje tematów, pomysłów na całe zeszyty. Czytelnicy nadsyłali teksty i zdjęcia. Owszem, zdarza się to i dzisiaj, ale zdecydowanie rzadziej i w mniejszej skali.

Mogę przywołać jeden przykład. Do Izabelli Cywińskiej, reżyserki *Bożej podszewki*, w imieniu redakcji i czytelników wystosowano protestacyjny list, punktujący przeinaczenia i przekłamania ukazane w serialu.

Czasem zdarzają się uwagi od czytelników, podkreślające, że – a to przesadziliśmy z ilością zdjęć, a to jakiś artykuł okazał się rzekomo zbyt długi, albo wręcz przeciwnie, zanadto krótki, a to temat nie uległ wyczerpaniu itd. Najczęściej jednak, gdy (i jeśli!) uda się spotkać, pojawiają się wspomnienia czytelników, nieraz osobiste opowieści, niczym fotografie z przeszłości. Najpiękniejsze moje wspomnienia ze spotkań z czytelnikami zawsze dotyczą tego, że jakiś artykuł, czasem nawet pojedyncze zdjęcie, przywoływało u nich falę wspomnień, emocji, wzruszeń.

Marzenia „Gońca Kresowego” – czy takie są? Czy były? O czym marzyliście w przeszłości i jak te marzenia przekładają się na obecne pragnienia?

Mówię oczywiście tylko za siebie – po prostu marzyłem i starałem się, aby pismo się ukazywało, aby było wydawane, aby nie miało przestojów. Marzyłem, by te szablone 40 stron udało się wypełnić wartościowymi tekstami i dobrze dobranym materiałem ilustracyjnym, by nie zabrakło funduszy i energii na wydawanie. Marzyłem i marzę, by zawsze pojawiał się ktoś do minimalnej choć pomocy. Wcześniej Fundacja na rzecz Pomocy Dzieciom z Grodzieńszczyzny, teraz Książnica Podlaska, w przyszłości... kto wie? To wielkie dla redakcji szczęście dostrzegać na swojej drodze nowe możliwości rozwoju i współpracy.

A plany na przyszłość?

W przyszłość patrzę teraz z dużym optymizmem. Czasy trafiły się, a i owszem!, zdecydowanie cięższe, czy raczej: inne, specyficzne, swoiste, wymagające bardziej kreatywnego podejścia do realizacji zadań. Biorąc pod uwagę „Gońca Kresowego” widzę, że damy sobie radę. Mamy silnych i inspirujących przyjaciół. Zapewne coś się zmieni, ale będzie to nowa, pozytywna jakość.

Dziękuję za rozmowę.

Dorota Sokołowska

Wiersze potrzebne jak codzienna kromka chleba



Regina Kantarska-Koper

Wiersze codzienne

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku
2021

Już samo brzmienie jej imienia i nazwiska jest mocne jak skała, wibruje w uszach, ciekawi. Taka silna kobieta mogłaby być menadżerem rzeczywistości, jaka przytrafia się każdemu z nas, zarządzać nią konsekwentnie, oddzielając sprawy ważne od nieistotnych, rozdzielając dyspozycje i delegując zadania – i byłaby w tym bardzo dobra. Ale zdecydowała się na łagodne spojrzenie poetki, ciekawej tego, co odsłania każdy wschód słońca. Regina Kantarska-Koper bywa w wielu miejscach, nasze ścieżki przecinają się raz na jakiś czas, więc widzę jak zbiera doświadczenia, chłonie je, wkłada pod lupę języka, aż wreszcie przerabia w wyobraźni na wiersze.

Najnowszy tomik to *Wiersze codzienne*, zadedykowane najbliższymi. Zawsze myślę, czy spotkani ludzie, do których lubi

się uśmiechać, to także najbliżsi i wierzę, że tak. Poczulałam się zaproszona do przygody przez życie i otwarcie książki było naprawdę jak otwieranie drzwi do domu kogoś, kto wita mnie życzliwie, z nadzieją, że nasze przeżycia mają część wspólną. Choć przecież jesteśmy dwiema odrębnymi trawami na wielkiej ludzkiej łące.

Początek tomiku jest jak wyliczanka – kolejne pory roku, miesiące i dni, sezony, kalendarz, ważne chwile. W tym mijaniu znajduję swoje zdziwienie, że to tylko chwila, zawsze nienasycona i nie do zatrzymania. „Kurczy się / maleje / czas” – pisze poetka i jest w tym wyznaniu i moja tęsknota do zatrzymania wielkiego zegara świata. Kiedy to piszę, ostatnie liście z drzew za oknem zrywa wiatr, a przecież jeszcze niedawno szumiały ciepłym latem, rozsiewając zapach lip, zapraszając czerwcowe bąki do kryjówek wśród gałęzi. Kantarska-Koper zapisuje chwile, jakby chciała napęcznieć nimi do brzegów. Są proste: to spotkania bliskich, kaskady dźwięków na koncertach, wspomnienia z młodości – zawsze za krótkiej, przenikanie się pór roku, piękni ludzie. Trudne sytuacje jak ostatnia, zmieniona przez koronawirusa. Każda chwila rodzi wiersz i nie ma w nim przesadnej metaforyki, tylko najprostsze słowa, zderzone ze sobą, owinięte w rytm, który towarzyszy strofom. Dużo jest tu muzyki, niektóre wiersze są jak wersy do piosenki, zwłaszcza ze środkowej części tomiku *Stara kobieta i Pani Ś*. Może dlatego, że autorka dotyka tu sedna tematu, który interesuje ją najbardziej. „Urodziłam się / śni mi się życie / chodzę po jego szczelkach ucząc się śmierci / (...) / pokarm i głód / praca i zmęczenie / miłość i troska / choroby i śmierć / to tylko sen / z którego obudzę się / w świecie bez tęsknoty”. Ta poezja mówi do czytelnika prostotą zapisu, nie udziwnia świata ani go nie koloryzuje, jakby autorka ze wszystkich słów języka polskiego wybrała tylko najważniejsze i chciała je ocalić. Wszystko to

sprawia, że jej jubileuszowy wybór wierszy czyta się jak intymny pamiętnik – bez koloryzowania, bez potrzeby niepotrzebnej metaforyzacji i szukania symbolu.

Odnosi się wrażenie, jakby tomik był prezentem także dla samej siebie. Są tu wszystkie najważniejsze tematy, dotyczące mijających dni, przeżyć z codzienności zmieszanej z mistyką świata niewidzialnego, zamieszkałego przez Boga i świętych. Jest rozpacz w samotności 2020 roku, kiedy ziemię zatrzymał COVID-19, jest zapis wytchnienia podczas koncertów muzycznych, w których Regina Kantarska-Koper znajduje wyjątkowy smak, przewijają się tu przyjaciele, którym dedykuje swoje wiersze i ci, nadający znaczenie słowom w mottach i cytatach. Autorka uważnie przygląda się swojemu światu, swoim snom, przemijaniu i starzeniu. Czasami mam wrażenie, jakby pisała intymnie, tylko dla siebie, notując lęki: „Całą noc przyglądał mi się księżyc / a ja wiedziałam – / to śmierć mnie obserwuje / przyświeca sobie księżycową lampą / badawczo śledzi czas i sposób obmyśla”. Kiedy czyta się te wiersze, ma się nieodłączne wrażenie podglądania zza lustra, takie są wsobne i osobiste.

Ale jednak Regina Kantarska-Koper pisze nie po to, żeby myśl zataić, ale przeciwnie – podzielić się nią z innymi. Jest poetką, czuje głębiej i umie nazwać zdarzenia i pojęcia, wie

o tym, jak poruszyć strunę wrażliwości zwykłego czytelnika. Ten tomik jest jak zaproszenie do stołu i rozmowa o rzeczach najważniejszych, które zapisała najlepiej jak potrafi.

Wystarczy ulec jej łagodnemu uśmiechowi, przyjąć zaproszenie, wejść do domu poezji, lekko zamknąć drzwi. Dać się owiać słowom, „wważać” w zapachy przeszłości, potrzymać za rękę strachy z dawniej i teraz. Kiwać głową na znak, że współodczuwa się zbyt szybko stygnące życie, wierzyć w szczelinę, za którą jest lepszy świat. Po prostu być obok, w tym przemijaniu, dla którego ma czułość i poezję.

„Nie ma drogi / i nie ma powrotu / do domu / którego także już nie ma”. A jednak jest coś, co łączy światy. To skarga, którą można powierzyć drugiemu człowiekowi, wiedząc, że ją zrozumie, bo istnieje obok w tej samej czasoprzestrzeni.

Tomik *Wiersze codzienne* ma jeszcze jeden wymiar, na który warto zwrócić uwagę. To przejmujące ilustracje wnuczki poetki, Julii Magdaleny Koper, która dopełnia nimi notatnik z wersami. Szczególnie ujmująca jest okładka książki, z harfistką skrywającą pół twarzy w dłoniach. Nitki żył łączą się z instrumentem, stanowiąc jedno. Wymowna to metafora poezji, także stapiającej się w całość w krwioobieg Reginy Kantarskiej-Koper. Wiersze potrzebne jak codzienna kromka chleba – czyż można żyć inaczej?



DOROTA SOKOŁOWSKA

– dziennikarka i prezenterka Polskiego Radia Białystok, wydawca magazynu kulturalnego „Podróże po kulturze”, autorka programów promujących czytelnictwo, recenzentka teatralna i autorka audycji

dokumentalnych i reportaży. Autorka książek: *Dźwiękoczulość* (2015), *Bóg jest portem* (2016), *Sekrety Łomży i Ostrołęki* (wspólnie z Grzegorzem Maculewiczem) (2018).

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Ewa Szarkowska

Blask ukrytego



Krzysztof Czyżewski
Żegaryszki 2 i inne
 Pogranicze
 2021

Każdy, kto obserwował kiedyś drwa dopalające się w piecu albo ognisku, zauważył zapewne, jak niesamowity jest to proces: z twardych i zbitych brył drewna zostaje tylko garść żarzących się węgielków, okruchów pełnych blasku i ciepła, jeszcze na pół materialnych, ale na pół już ulotnych. Podczas tej alchemicznej niemal przemiany, następuje redukcja materii do esencji – tego, co uchwytnie i namacalne, do jakości niematerialnych, jak blask i ciepło. Wypaliwszy się do cna, żar ogniska zostaje tylko stosem popiołu, ale rozniecony w porę przez czyjś oddech lub podmuch wiatru, na powrót może ogrzewać i rozświetlać. Trzeba tylko wydobyć iskry i umiejętnie je przechować, podsycając od czasu do czasu ogień uwagi.

Taką właśnie sztukę „alchemicznej” przemiany, kondensacji widzialnego do iskier (z)rozumienia uprawia Krzysztof Czyżewski w swojej najnowszej książce *Żegaryszki 2 i inne*.

na rozpałkę dnia
 zegaryszki wybieram
 z pieca żar-słowa

– deklaruje poeta w utworze stanowiącym motto książki, wskazując od razu, gdzie szukać źródeł oryginalnej nazwy jego utworów. Po pierwsze związek z nazwą miejscowości Żegary, w sąsiedztwie której mieszka, po drugie – związek z ogniem właśnie. Żegaryszki to w tamtejszej okolicy nazwa węgielków przenoszonych na rozpałkę z pieca do pieca.

Ale utwór powyższy streszcza też, jak się wydaje, ogólną koncepcję poetycką autora, objaśniając metaforycznie istotę zapisu zwanego zegaryszkiem. Byłby więc zegaryszek takim okruchem językowym (iskrą właśnie), skupiającym w sobie blask i światło rozpoznania. Wierszem najmniejszym, jak lubi mówić sam poeta. Pozbawioną upiększeń i zbędnych treści formą poetycką wyrażającą uchwycone doświadczenie całości, najgłębszego zrozumienia, moment epifanii.

Przy czym mówiąc o zegaryszku nie sposób, mimo całej świeżości i oryginalności nazwy, pominąć tradycję literacką wyraźnie w twórczości Czyżewskiego obecną, mianowicie japońską tradycję haiku. Lakoniczność, prostota, językowa dyscyplina (ograniczenie do 17 sylab) – to podobieństwa w warstwie formalnej. Temat przemijania i zmian pór roku, bliskie obcowanie z naturą – to podobieństwa w warstwie tematycznej. Lecz poetyka haiku także nie wyczerpuje artystycznej koncepcji autora.

Podkreślić bowiem trzeba, że *Żegaryszki 2 i inne*, podobnie zresztą jak pierwsze *Żegaryszki* wydane w 2018 r., stanowią realizację słowno-wizualnego projektu, gdzie krótkim formom poetyckim towarzyszą artystyczne fotografie. Wszystkie autorstwa poety. Przy tym obecność fotografii nie jest tu czysto ilustracyjna, przeciwnie – jest jakby drugą stroną medalu, innym sposobem wyrażenia tego samego doświadczenia. I tak samo, jak wiersz nie opisuje ani nie objaśnia fo-

tografii, tak zdjęcie nie ilustruje wyłącznie tego, co przekazuje tekst. Raczej oświetlają się nawzajem, dopowiadają to, czego nie można wyrazić w jednej czy drugiej formie. Znamienne jest tutaj współtowarzyszenie, jakieś ponadgatunkowe współbrzmienie słowa i obrazu. Jak mówi sam poeta, jedno i drugie – tekst i fotografia – są sposobami uchwycenia istoty rzeczywistości, dotarcia do pierwotnego doświadczenia całości, „spójni”, które było naszym udziałem, a które bezpowrotnie utraciliśmy.

Z racji tego, że obie warstwy, słowna i wizualna, są tak ściśle ze sobą związane, może pojawić się pewna trudność w cytowaniu książki. Przytaczając bowiem tekst wiersza bez towarzyszącego mu obrazu, prezentujemy jedynie połowę dzieła, zubażając je o te sensory niewerbalne, które niesie w sobie fotografia. Owszem, taki wiersz będzie dla odbiorcy zrozumiałym, może nawet wywoła wzruszenie czy natchnie do refleksji, ale tak czy inaczej będzie tylko jedną stroną artystycznej wypowiedzi. Mimo wszystko spróbujmy...

15 sierpnia

ktos żyje we mnie
ktos pod prąd mnie samego
ktos wbrew mej racji

W centrum towarzyszącego zdjęcia pień starej brzozy, jego dolna część, z wielkimi naroślami deformującymi sylwetkę drzewa.

Takie zespolenie słowa i obrazu przywodzi na myśl inną tradycję artystyczną dawnej Japonii – haiga. To połączenie malarstwa i haiku, ten sam minimalizm, oszczędność formy, raczej kontemplacja niż odwzorowanie rzeczywistości. Obrazy haiga były najczęściej tworzone przez poetów haiku i ozdabiane krótką formą poetycką, stanowiąc kompletną wypowiedź artysty. Byłaby więc książka Czyżewskiego nowoczesną odmianą haiga, gdzie malarstwo zastąpiła fotografia.

Tematyka zegaryszków, oscylując wokół przemijania i śmierci, sytuuje się na granicy tego, co widzialne i niewidzialne, nieobecne, a przeczuwane, na pograniczu ludzi i zwierząt, życia i zaniku. Każdy wiersz i każdy obraz próbuje przekroczyć tę granicę, będącą też po części granicą naszych zmysłów. Jak mówi sam autor, poezja zegaryszków jest „zagajaniem rozmowy z nie-ludzkiem”, a przewodnikami w tej rozmowie (dość nietypowej, bo odbywającej się najczęściej w ciszy) zjawiają się rośliny, zwierzęta, siły natury, ale też ludzie. Wszystko po to, by odnaleźć pierwotne doświadczenie całości.

Poezja Czyżewskiego wyrasta z kontemplacji przyrody i regularnie praktykowanej medytacji codzienności. A dyscyplina językowa wierszy służy przede wszystkim zagęszczeniu treści i koncentracji uwagi (poety, ale też odbiorcy). To właśnie uważność jest u Czyżewskiego słowem-kluczem, jest podstawą aktu twórczego, ale też, jak się wydaje, postulatem egzystencjalnym. Poeta powinien być „struną uwagi”, medium, poprzez które ukryte daje o sobie znać. Powinien być czujnym i czułym obserwatorem świata, tak by nie przegapić nawet najdrobniejszych zdarzeń, najlżejszych poruszeń rzeczywistości – tych wszystkich fragmentów, które składają się na pierwotną całość. W przeciwnym razie, twierdzi autor, jakaś część tej całości pozostanie nieopisana, a więc tym samym utracona. Czułość jest tutaj nieodzowna, bo tylko czułe spojrzenie potrafi dostrzec szczegóły, wydobyć blask mądrości z najzwyczajszych rzeczy.

Ta praktyka uważności, świadome bycie tu i teraz pozwala uchwycić istotę egzystencji (a przynajmniej zbliżyć się do jej blasku), pozwala „wydobyć świetliste z codzienności”. Zapisem tych przeżyć są właśnie zegaryszki, te wiersze najmniejsze, które mogą pomóc innym oświetlić drogę w ich wędrówce ku poznaniu i zrozumieniu. Ważna jest tutaj postawa odbiorcy. Bowiem, jak podkreśla sam poeta, czytelnik jawi się w jego projekcie artystycznym jako partner i współtwórca. To od niego zależy, czy i na ile pozwoli zajaśnieć zegaryszkom w swojej przestrzeni osobistej.

Układ wierszy w książce wyznaczony jest przez pory roku, poczynając od wiosny, a kończąc na zimie. Zamiast tytułów poszczególne utwory posiadają daty dzienne, co nadaje książce formę poetyckiego dziennika i po raz kolejny odsyła do japońskiej tradycji literackich. Tym razem chodzi o haibun, czyli formę literatury będącą połączeniem haiku i prozy, przy czym pojęcie prozy obejmuje w oryginale szereg gatunków: autobiografię, pamiętnik, esej, opowiadanie czy dziennik podróży. Datowanie zegaryszków z jednej strony podkreśla pewną ciągłość pisania, powtarzalność tej czynności, z drugiej – wydobywa osobność i wyjątkowość każdego zdarzenia czy spotkania, które dało początek wierszom.

O powinowactwie z haibun świadczą też obecność w książce Czyżewskiego kilku fragmentów prozy, miejscami autobiograficznej, miejscami poetyckiej, stanowiącej dopełnienie niektórych zegaryszków, swoistą głosem, a czasem wprost artystyczne wyznaczenie poety. Chociażby ten piękny fragment tłumaczący, skąd pochodzi dar uważnego widzenia:

„To tak, jakby nasze widzenie było studnią, którą można pogłębiać o kolejne cembrowiny. Odkrywam, że żyjąc

w Krasnogrudzie, powoli i niepostrzeżenie nabieram tej samej spostrzegawczości co Nam [bhutański przewodnik autora – E.Sz.]. (...) Nie od razu, ale z upływem tysięcy nocy i dni, nasze zmysły, w tym pamięci i serca, odkrywają tajemnicę światła. (...) Dostrzegam każdą zmianę w pejzażu, każdą rysę na ciszy, ruch w listowiu, przemianę barw, odcień eteru, pogłos wiatru, zapach łąki, każdą transmutację światła. Przestrzeń staje się niewyobrażalnie gęsta. Staram się tworzyć jej topografię zatrzymanymi obrazami i najmniejszymi bo najwierniejszymi formami poezji. Ale to jest jak wybieranie ziaren piasku z nadmorskiej diuny. Jeżeli życie w tym się istotczy, to ono nie ma końca.”¹

Opisywana książka, oprócz tekstów poetyckich stanowiących, wraz z towarzyszącymi im fotografiami, najobszerniejszą część dzieła, i wspomnianej prozy, która z kolei objętościowo stanowi część najmniejszą, zawiera jeszcze trzecią składową – litanie. Zbiór czterdziestu krótkich, wierszowanych przykazań, może próśb, adresowanych do Janeczki, a zatytułowanych *Litania dobrego życia*. Cykl rozpoczyna takie oto wezwanie: „bądź kochająca / idź ku drugiemu / i w nieznanie do końca”, zamyka zaś koda: „bądź kochana / trudniejsza od kochania / jest sztuka daru przyjmowania”. Pomiedzy tymi klamrami szereg wskazówek, o jakie przymioty ducha i umysłu warto zabiegać i nad którymi warto pracować. W tej dość osobistej litaniu zawiera

się przesłanie doświadczonego poety do kogoś rozpoczynającego dopiero swą życiową wędrówkę. A jednocześnie uniwersalny manifest dobrego, wartościowego życia.

Jest książka Krzysztofa Czyżewskiego pozycją niezwykle, dziełem na wskroś oryginalnym, nie tą oryginalnością na pokaz, tylko wypływającą z idealnego zestrojenia treści, formy i artystycznej koncepcji. Mimo licznych nawiązań do japońskich wzorców, nie stanowi ich prostej kontynuacji, a jest ich twórczym przekroczeniem, daje im nowe życie. Jakby autor odciskał na tradycji literackiej własny stempel autentyzmu i niepowtarzalności. Haiku staje się zegaryszkiem, bo „wymusza” to na artyście miejsce i czas. W jednej z rozmów Krzysztof Czyżewski przyznaje, że zegaryszki nie mogłyby powstać gdzie indziej, tylko w specyficznym polu magnetycznym rozciągającym się wokół Krasnogrudy.

Jest to książka niezwykle również dlatego, że każdy może wziąć z niej tyle, ile potrzebuje. Jeden więcej, drugi mniej, ale na pewno nikt, kto poszukuje punktów orientacyjnych na drodze ku rozumieniu, nie odejdzie z pustymi rękoma. Blask zegaryszków nie jest może spektakularną pochodnią, widoczną z daleka, ale rozświetla rzeczywistość z równomierną, niesłabnącą mocą.

tyle nas będzie
ile zbierzemy światła
reszta już gaśnie

¹ K. Czyżewski, *Żegaryszki 2 i inne*, Krasnogruda 2021, s. 347.



EWA SZARKOWSKA

– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski. fot. Bogumila Maleszewska-Oksztol

Piotr Janicki

Oczarowana małpami rzeczywistość



Dariusz Adamowski
Skrawki
 Novae Res
 2021

Skrawki Dariusza Adamowskiego – znanego nam, bądź przynajmniej przez nas kojarzonego z tych (ostatnie prozy, przetłumaczone wiersze Briana Turnera) czy tamtych (aktywne uczestnictwo w życiu literackim lat zerowych, skupione m.in. wokół portalu Nieszuflada.pl) chwil – ukazały się dobrych kilka miesięcy temu. Spore grono już je zna, więc być może nadszedł czas, żebyśmy sprawdzili, czy łączą nas zbliżone czytelnicze wrażenia.

Literatura współczesna przypomina pięknie utrzymany park, pełen unikatowych nasadzeń, w którym starożytne definicje gatunkowe: liryka, epika i dramat przypominają wstawione dla żartu wyrzeźbione z opon samochodowych łabędzie. Czym w takim razie są *Skrawki*? Otóż tytuł książki jednocześnie określa jej postać. Czym zatem jest skrawek? W pierwszym namyśle to odjęta od większej całości cząstka, a także niewielka przestrzeń i pod obie te definicje podpada najnowszy Adamowski. Na utwór składa się kilkadziesiąt niewielkich

objętościowo części, ułożonych w narracyjny stosik (najmniejszy okrawek zawiera ledwie trzy słowa), zaś przedstawiona w powieści tematyka, problemy, postacie lokują się na obrzeżach idei: nie płynie tu wielka historia, nie pojawiają się znane postacie, za sprawą naszych lokalnych lęków nadgraniczny jest też społeczny wymiar miłości, rodzinnych dramatów, udręku i lotów w górę głównego bohatera.

Jeśli chodzi o semantykę głębi, to skrawki wskazują na coś surowego, chociaż daleko im do szkicu, bo skrawanie to też zajęcie krwawe; czytamy przecież fragmenty „mojego rozpadającego się życia”. Rozpadające się życie głównego bohatera uwidacznia się w jego historiach, ale także w historiach i obrazach innych postaci, w szczególności historii i obrazach matki. Malując je Adamowski jest skupiony i czujny, w efekcie czego młodszy czytelnik może się dowiedzieć, że dawniej papieros pozostawiony sam sobie wypalał się, drążąc w powietrzu złowieszczy, popiołowy tunel.

Na koniec uwag gatunkowych i w kontekście działań bohatera można zaryzykować stwierdzenie, że fragmenty, z których składa się książka, są czymś na kształt następujących po sobie „wejść” do kolejnych historii. W każdej „działa” „pamięć”, jednak żaden nadrzędny umysł, jak choćby osoba narratora, która nie spina tychże „wejść” w wyższą całość. Nie mam na myśli problemu wiarygodności rozgrywających się wydarzeń, bo ich prawdopodobieństwo przegrywa ze stawianymi obok siebie doświadczeniami, jak to ujmuje narrator: „bliskości, ciepła, prawdy, fałszu, zapomnienia”.

Skrawki zniszczonego listu, z którego pod koniec książki dowiedzieliśmy się o dziwnych, strasznych i niemożliwych do odkupienia w naszej cywilizacji wypadkach, wieńczą subtelną i głęboko dźwięczącą polifonię *Skrawków*, nurzając je przy okazji w nurcie dzieł spod znaku kryminału.

Staralem się nie zdradzić za dużo. Motta do opowieści też nie zdradzę, za to – ciągle pozostając przy gatunkowych, klasyfikacyjnych pułapkach, zastawianych przez ten rodzaj po-

znania, który rozróżnia tzw. fikcję literacką od tzw. twórczości pamiętnikarskiej – wspomnę o równoległe układającej się i kilkakrotnie zburzonej w mojej lekturze układance o związkach bohatera-narratora z autorem książki: na lewo – Święta Góra Grabarka, na prawo – Mielnik. Dwa drogowaskazy, które pamiętam z dzieciństwa, z czasów szkoły i studiów. Nietrudno na Google Maps o rozjazd Grabarka-Mielnik na zachód od Siemiatycz, gdzie przecież przyszedł na świat Adamowski, ale pomyślmy o dwóch przeciwstawnych kierunkach i niech ten na Świętą Górę znaczy coś odwrotnego niż ten do Mielnika...

Związki bohatera-narratora z autorem książki budują się w innym porządku niż w tym, w którym zwykliśmy ich szukać. Mniej więcej pośrodku *Skrawków* pojawiają się dwa niezwy-

klej urody klucze do odczucia tych związków. Kształt drugiego migocze w śnie Lao-Tsy, śnie opowiedzianym w wymownej chwili, zaś klucz kulturowo niezapośredniczony, nadbużański jaśniej kilkanaście stron wcześniej. Zaczyna się słowami „Obudziłem się”, po których następuje zapierająca dech w piersiach sekwencja, której też nie zdradzę, a w jej miejsce proponuję taki oto obraz: wyglądasz przez okno i widzisz plecy samego siebie wyglądającego przez okno i widzącego plecy samego siebie wyglądającego przez okno.

Nie wiem, co jeszcze moglibyście mi o *Skrawkach* powiedzieć. Że mienią się możliwie najdelikatniej? Że ich przezroczystość jest unerwiona? Literatura, która nie rozpycha drzew, a stąpa między nimi, sarnia?



PIOTR JANICKI

– ur. w 1974 r. w Białymstoku, mieszka w Supraślu. Współtwórca i redaktor zina poetyckiego www.cycgada.art.pl (2005–2010). Autor tomów poetyckich: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014),

13 sztuk (2016), *psia książka* (2018), *Spis treści* (2020, wraz z Adamem Kaczanowskim). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty *Boży rok* (2007).

foto. Justyna Sawczuk

Ewa Szarkowska

Wszystkie kolory Lonika



Małgorzata Czyńska
**Nie opuszczam rąk. Rozmowa
 z Leonem Tarasewiczem**
 Wydawnictwo Czarne
 2021

w formie książkowego wywiadu to dobra okazja, żeby zaprezentować szerokiemu gronu odbiorców swoje spojrzenie na wiele spraw i Leon Tarasewicz czyni to z właściwą sobie swadą, bezpośredniością, momentami w sposób dosadny i daleki od poprawności politycznej.

„Jestem zlepkiem różnych aktywności, kilka światów się u mnie nakłada, i to dopiero tworzy pełnię” – deklaruje artysta. Te światy wzajemnie się przenikają, zahaczają o siebie (jak tożsamość białoruska i sztuka) albo też przeciwnie – jeden jest odskocznią dla drugiego (jak np. hodowla kur jest odskocznią i swoistą terapią po malowaniu). Przy czym każdy z tych światów jest na tyle wyrazisty i na tyle angażuje bohatera, że sam jeden wystarczyłby za temat nie tylko książki, ale i całego życia. Artysta jest tego świadomy, bo w innym miejscu, w kontekście życia osobistego, dodaje, z właściwą sobie przekorą, że trudno połączyć sztukę, białoruskość i ornitologię, o założeniu rodziny nie wspominając.

A zatem białoruskość. Sam zainteresowany wspomina, że poszukiwanie tożsamości, własnych korzeni odbywało się u niego równoległe z wchodzeniem w świat sztuki. Pobyt w Warszawie podczas studiów sprzyjał poznawaniu osób z kręgu białoruskiej inteligencji, jak też zacieśnianiu kontaktów z rówieśnikami o podobnym pochodzeniu i podobnych dylematach. „Cały czas byłem aktywny,

„Powie ci, że najgorzej to próbować rozmawiać z malarzem o jego malarstwie” – pada przekorne stwierdzenie na początku książki, a pogłębia je zdjęcie na okładce, na którym główny bohater pozuje nie na tle swego obrazu, a z kogutem na ramieniu. I rzeczywiście, wątek rozmowy zaraz zbacza w stronę hodowli kur ozdobnych, białoruskich korzeni i innych pozamalarskich tematów, by jednak ostatecznie dać wielowątkowy portret rozmówcy – artysty właśnie.

Tym artystą jest Leon Tarasewicz, a książka to wywiad-rzeka Małgorzaty Czyńskiej *Nie opuszczam rąk. Rozmowa z Leonem Tarasewiczem*. Obowiązkowa

lektura dla wszystkich (nie)fanów podlaskiego malarza, pozwalająca choć częściowo zrozumieć jego wybory i poglądy, zobaczyć „niemalarskie” podłoże, z którego wyrosła taka, a nie inna osobowość artystyczna.

Mimo cytowanej niechęci do rozmowy o malarstwie, temat jest nieunikniony i co rusz powraca w książce, czasem, to prawda, jakby mimochodem, ale zazwyczaj jako temat główny. Bo nie da się oddzielić artysty od jego dzieła. A ów początkowy dystans to czasem cień kokieterii, czasem zapewne szczerą niechęć, by objaśnić po raz enty, „co autor miał na myśli”. Jednak biografia

czy to w studenckim ruchu białoruskim, czy później w politycznym, w kulturze. Na Białostocczyźnie nie jestem ten artysta Leon Tarasewicz, tylko Lonik, bo Leon to po białorusku Lonik”. Ale wskazuje też, że proces kształtowania się białoruskiej świadomości zapoczątkowany został u niego dość wcześnie, jeszcze w dzieciństwie, poprzez odczucie wyobcowania, nieprzystawania do otoczenia i wynikającą z tego potrzebę zrozumienia własnego miejsca, ale też miejsca i roli kultury białoruskiej. „(...) to wszystko wzięło się z konieczności odbudowania białoruskiego świata tak, żeby mi pasowało do tego, co miałem dookoła siebie. Bo nic mi nie pasowało”. Nie pasowała dziwna dwujęzyczność w szkole podstawowej (na lekcjach - język polski, na przerwach – białoruski) ani historyczna narracja większości. Dlatego równoległe ze studiami malarskimi rozpoczął osobiste poszukiwania: w historii, literaturze, kulturze. To, co odkrywał, w jakiś sposób znajdowało odbicie w jego sztuce i pozwalało zaznaczyć własną indywidualność.

„Moje wyobcowanie z tego środowiska [ASP w Warszawie] dało możliwość obrony indywidualnego spojrzenia. Tworzenia malarstwa, które z początku określone było jako tylko dekoracyjne, kolorystyczne, a później się okazało, że niesie w sobie cały ten bagaż treści, które są na naszych terenach do pozbierania, do odbudowania. Myślę, że to łączyło mnie z grupą artystów wywodzących się z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego, z malarstwem Malewicza, Rothki, Chagalla i innych twórców z tego świata między Polską a Rosją”. Ponieważ każda prawdziwa sztuka karmi się osobowością artysty, tak i w przypadku Tarasewicza jego osobiste poszukiwania zostały przetworzone

w twórczości malarskiej. Może nie oddane w skali jeden do jednego, ale zsyntetyzowane tak, jak to czynił z pejzażem czy innymi elementami rzeczywistości.

Artysta wspomina, że dość szybko został na studiach zwolniony z obowiązku malowania modelek i martwych natur. Dzięki temu, porzucając figuratywność, mógł próbować nowych form ekspresji, podążać w stronę abstrakcji, a z czasem wyjść poza ramy obrazu. Zastrzega przy tym: „To wcale nie była abstrakcja, tylko zapis, redukcja, synteza świata”. Zapis tego, co zobaczone i przeżyte, synteza rzeczywistości, w której powstawał dany obraz. Gdzie indziej dopowiada: „Dla mnie zawsze pierwszym sygnałem do myślenia o obrazie jest rzeczywistość. (...) łapię się na tym, że zaczynam dostrzegać w pejzażu żółte czy zielone pasy.

Kolor

jest alfabetem –

twierdzi artysta. (...)

Ale zaraz przyznaje,

że tajemnica tkwi

nie w samych barwach,

ale w tym,

jak je zestawić obok

siebie, jak nimi

operować, żeby

zaczęły znaczyć.

To z przyrody biorę ostre zestawienia barw. I nieważne, czy namaluję ten pejzaż na płótnie, na podłodze czy na kolumnach: jest to pejzaż – dodajmy – zredukowany, sprowadzony do swojej istoty, esencji.

Co dla malarstwa Tarasewicza charakterystyczne, ta synteza opiera się u niego na kolorach. Kolor jest alfabetem – twierdzi artysta. Sam korzysta z podstawowego zestawu barw: biały, czerwony, cytrynowy, jasny żółty, pomarańczowy, ultramaryna, kobalt, trzy zielenie. Ale zaraz przyznaje, że tajemnica tkwi nie w samych barwach, ale w tym, jak je zestawić obok siebie, jak nimi operować, żeby zaczęły znaczyć. Jest to szczególnie ważne w przestrzeniach zastanych, które mają swoją historię i określoną funkcjonalność. Artysta snuje też opowieść o tym, jak sytuacja ekonomiczna kraju odbija się na kolorze obrazów (chodzi o jakość produkowanych farb), o zachłyśnięciu się kolorem (dosłownie i w przenośni) podczas swoich pierwszych wyjazdów do Stanów Zjednoczonych, a potem nasiąkaniu kolorami, ich intensywnością i nieoczekiwanym sąsiedztwem, w Indiach czy Jerozolimie. I na koniec o powodach oglądania meczów piłkarskich, gdzie bardziej fascynujące niż sama rywalizacja okazują się być stroje zawodników w żywych, soczystych barwach.

Ta syntetyzacja świata, symboliczna redukcja tego, co zobaczone i przeżyte do kilku elementów (koloru, faktury, podłoża) procentuje coraz wyraźniej obecną w sztuce Tarasewicza duchowością, ukrytą metafizyką. Znana historyk sztuki, Anda Rottenberg, zestawia nawet Leona Tarasewicza z Jerzym Nowosielskim, stwierdzając, że w twórczości obu malarzy obecne są wartości sakralne, choć wyrażone w odmienny sposób.

Jej zdaniem Tarasewicz „poszedł drogą trudną, nie przez uczenie się pisania ikony, a przez znalezienie nowego języka dla pokazania nie tylko swojego wyznania, a tego, co nazywam właśnie »dowodem na istnienie Boga«”. Jego obrazy, podobnie jak ikony, nie naśladują rzeczywistości, tylko dają impuls do myślenia, odsyłają głębiej, do ukrytego.

Jak na biografii przystało, rozmowa meandruje i zahacza o różnorakie wątki: dzieciństwo, historię przodków, naukę w liceum plastycznym w Supraślu, a potem na studiach w Warszawie, służbę wojskową, pracę pedagoga na uczelni artystycznej, ale też o wątki mniej znane, jak gra w lokalnej kapeli rockowej, udział w obozach ornitologicznych, hodowla kur i dali, ale też znajomość ze wspomnianym wyżej Jerzym Nowosielskim czy niedawno przeżyta choroba. Po drodze pojawia się dużo pomniejszych anegdot, opowieści i refleksji, a urozmaiceniem książki są liczne fotografie, w większości pochodzące z prywatnego archiwum malarza.

Można
Tarasewicza-artystę
lubić lub nie,
ale nie można odmówić mu
oryginalności
i barwnego życiorysu.
Ani zapалу, by wciąż
próbować nowego
i przekraczać ograniczenia.

Można Tarasewicza-artystę lubić lub nie, ale nie można odmówić mu oryginalności i barwnego życiorysu. Ani zapалу, by wciąż próbować nowego i przekraczać ograniczenia. Jak

sam przyznaje: „Chodzi o to, żeby nie opuszczać rąk. Codziennym staraniem nadawać życiu sens, nawet w prostych czynnościach. To procentuje w sztuce”. Toteż z zapalem i radością snuje plany na emeryturę, która w zasadzie będzie tylko zwolnieniem z pracy dydaktycznej na uczelni, bo cała reszta zostanie: obrazy do namalowania, wystawy do zorganizowania, kury, dalej, Fundacja Villa Sokrates i inne projekty.

Na zakończenie jeszcze jeden cytat, który można by uznać za podsumowanie własnej biografii przez Tarasewicza, ale też wskazówkę dla innych, próbujących wyrażać się poprzez sztukę: „W biografii artysty czy intelektualisty z osobowością nie ma miejsca na schematy. Nie każdy, nawet bardzo utalentowany człowiek, wybierze tę drogę. Wybiera ją niewielu i zapłaci wysoką cenę. Wielu zazdrości artystom, a ta zazdrość wynika po prostu z konformizmu i strachu: sami nie mają odwagi podjąć wysiłku, ryzyka przekraczania granic”.

EWA SZARKOWSKA

– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski.

Piotr Janicki

Płonąłem ciekawością. Wrażenia niemłodego goja



Beniamin R.
„Płonęli gniewem”. Autobiografia młodego Żyda
 Wydawnictwo PWN
 2021

Kontynuujące serię „Żydzi. Polska. Autobiografia” pewnenowskie wydawnictwo jest – zgodnie ze starą, dobrą tradycją marki – kopalnią wiedzy, w tym przypadku wiedzy o ziemi podlaskiej sprzed wybuchu II wojny światowej, a swoje akademickie walory zawdzięcza wielowątkowemu wprowadzeniu oraz nieustępliwym przypisom redaktora tomu, Kamila Kijka. Kijek drobiazgowo zbadał lokalne żydowskie oraz polsko-żydowskie stosunki społeczne, równoległe dociekając szczegółów ściśle związanych z osobą autobiografa, ukrywającego się pod pseudonimem „Beniamin R.” (Ukrywającego się wyjątkowo skutecznie i przenikliwie; do tej, najważniejszej według mnie sprawy, wróć.) Jeżeli więc w dzienniku, bo taką formę przyjęły zapiski, pojawia się rodzinny sklep, Kijek znajduje jego domniemany adres. Ustawia się też w roli przekaz-

nika sensów i tłumaczy leksykalne wybory Beniamina, że ów np. „używa tej zbitki słów, aby określić zarówno wygląd, jak i poglądy kolegi”. Umiejętnie tkane przez badacza odnośniki, a przede wszystkim przeprowadzone w sprawie tożsamości autora autobiografii dochodzenie, chwilami wręcz miksturują prywatny, intymny jej powab. Kijek wykazuje się nawet pewnego rodzaju nadopiekuńczością, broniąc przy pomocy historyczno-literackich kontekstów infantylności zapisków, jako nieuniknionej, bo wiek, bo doświadczenie i jakieś jeszcze.

Ledwie odróżniam takie, jak powyższy, mecenaty od uwag na temat ludzkiego ubioru (np. Sylwina Rubinsteina), bo przecież historia Beniamina już w półzbliżeniu może obudzić w czytelniku silne emocje, po prostu: Maks Weinreich, socjolog z Wileńskiego Żydowskiego Instytutu Naukowego, w ramach prac badawczych dotyczących młodzieży żydowskiej zorganizował wraz ze współpracownikami serię konkursów na autobiografie. W drugiej edycji konkursu wziął udział nastoletni Beniamin R. Inne, nie mniej nasycone plamy barwne, to sytuacja społeczno-ekonomiczna diaspory żydowskiej okresu międzywojennego, wewnętrzne spory Żydów o stosunek do współczesnej polityki czy o kierunki rozwoju narodu żydowskiego. Dodajmy do tego ołowiany kleks znanej nam z innych lektur, ponurej przyszłości zobaczonej przez prorocze umysły hegemonów mowy, jak Schulz czy Kafka, ale i umysły o pomniejszych zasięgach. W cieniu tych okoliczności 8 marca 1934 roku w Bielsku Podlaskim padają pierwsze słowa dziennika, a wśród nich taki oto punkt widzenia: „Sądzę, że jest coś ciekawszego od powieści i przygód – zwykle życie i walka zwyczajnego żydowskiego chłopaka”. Ta wywrotowa, biorąc pod uwagę dzieje ludzkich przygód i ich rolę w kulturach, myśl Beniamina staje się jeszcze bardziej bezprecedensowa, kiedy weźmie się pod uwagę nastoletniość jej autora. Bo: jaką „walkę” ma on na myśli? Czytelnicza naiwność

jest w takich przypadkach potężna, jak głębokie i ciemne są luki w pokładach naszej pamięci, tymczasem Benjamin urodził się „w samym środku wojny”. A co można zapamiętać z wojny, która skończyła się, gdy było się dwulatkiem? Odpowie Benjamin, że oglądany z piwnicy obraz pładrowanego sklepu należącego do rodziny. Zaraz zresztą na Bielsk najechało koło wojny bolszewickiej, dlatego do niespokojności tamtego okresu można było w jakimś stopniu nawyknąć. Benjamin oczywiście nazywa swoje „psychiczne zmagania” po imieniu. Są to dylematy moralne, dotyczące na przykład kradzieży, dylematy religijne, dotyczące praktyk, rytuałów. Bardzo dużo uwagi autor poświęca ideom i ideologiom prążącym się w politycznym tyglu „ulicy żydowskiej”. Zaangażowany w opisywane przez siebie problemy nieraz traci z oczu główny cel: „Tak bardzo rozpisalem się o różnicach między He-Chalucem i czerwonymi, że zapomniałem skończyć «historię mojego życia»”.

Niebawale rozeznanie, znajomość języków, rzetelna wiedza i mądrościowa wyższość cechują zapiski. Nic tylko dumnie je podpisać imieniem i nazwiskiem, ale dzieje się inaczej. Autor nie dość, że używa pseudonimu, to myli też tropy, zamienia nazwy własne przedstawianych ludzi oraz miejsc. Jaki motyw (motywy) skrył w sobie ten zabieg, jakie?

Wiadomo: łądolody humanistycznego, to znaczy etycznego dyskursu dryfują na powierzchni, względnie tuż pod powierzchnią języka, zaś w posuwie tych łądolodów kruszą się i narzucają głazy, kamienie oraz piasek zbłąkanych sensów. Zamiast z pomocą okoloopsychologicznych zdobyczy typować pobudki autobiografa (dołączony do tomu list-recenzja pracy

Weinreicha, którą Benjamin napisał i wysłał socjologowi, to trochę taka sama, a jednak trochę inna bajka), proponuję spojrzenie pionowe.

Zasięg promieniowania rzeczy intymnej ogranicza z jednej strony zaufanie, jakim obdarzą siebie chwilowi uchwytywacze tej rzeczy. W takiej perspektywie rzecz intymna podobna jest do rzeczy sekretnej. Są obie spowite liściem troski, ale jak w językowej naturze sekretu tkwi osobność, dyskrecja, tak w językowej naturze intymnego jest jego wewnętrzność i skok ku głębi, ku lękowi (to, gdybyś pytał, skąd wrażenie, że ukrywanie imion bliskich i nazw miejscowości przez Beniamina ma podłoże w lęku, nawet nie tyle autora, co języka przed Zagładą). W takim też razie piśmiennictwo mające za temat życie jego autora, jako gatunek nie ma sensownych kształtów; moim zdaniem dziennikowi Beniamina dużo bliżej jest do wystrzępionego moralitetu niż do inkrustowanych urodzeniem Pamiętników Henryka Ciecierskiego.

I właśnie fascynująca jest w książce sfera poszlak i domniezań, dotyczących jej bohatera obecnego w innych dokumentach, wskazujących na Beniamina z dokładnością ocierającą się o pewność, jednak zostawiających czytelnika w cieniu niedocieczonej tajemnicy, zawartej w zdjęciu ulicy Mickiewicza z szeregiem kamienic, między którymi być może kamienica i sklep ojca Beniamina, zawartej też w innym zdjęciu (oba załączył do wstępu Kamil Kijek) – chłopca na rowerze na tle bielskiego ratusza, podpisany: „Chłopiec o nazwisku Brawerman” (s. XVI), któremu stawiamy ostateczne, a zarazem inauguracyjne pytanie: „To w końcu jesteś ty, czy nie jesteś?”

PIOTR JANICKI

– ur. w 1974 r. w Białymstoku, mieszka w Supraślu. Współtwórca i redaktor zina poetyckiego www.cycgada.art.pl (2005–2010). Autor tomów poetyckich: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014), *13 sztuk* (2016), *psia książka* (2018), *Spis treści* (2020, wraz z Adamem Kaczanowskim). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty *Boży rok* (2007).



Leonarda Szubzda

Stonoga

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
2021



Wiktor Szwed

Na deszcz wyszły parasole

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
2021



Juliusz Szczęsny Batura

Antek Mocny i tabliczki rongorong

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
2021

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku wydała trzy kolejne tytuły w serii Bajkowa Książniczka, w ramach której publikowane są teksty autorów, związanych z województwem podlaskim.

Stonoga Leonardy Szubzdy to zabawna, wierszowana opowieść o stonodze-modnisi, szukającej idealnych butów. To także kontynuacja misji Wydawcy, czyli próba zachęcenia młodego czytelnika do sięgania po wiersze – formę często dziś zapomnianą i pomijaną.

Na deszcz wyszły parasole to z kolei wybór wierszy, zmarłego w 2020 roku, Wiktora Szweda – poety, tłumacza i dziennikarza. Liryczna wędrówka przez kolejne pory roku staje się

jednocześnie lekcją zachwytu nad światem, dostrzegania piękna w otaczającej nas przyrodzie oraz czerpania radości ze spotkania z drugim człowiekiem.

Antek Mocny i tabliczki rongorong Juliusza Szczęsnego Batury to zaproszenie do świata przygody. Wietnamczyk Szalony Lotnik rusza w podróż wokół kuli ziemskiej, lecz awaria samolotu zmusza go do lądowania na Wyspie Wielkanocnej. Tytułowy bohater, dziewięcioletni Antek, wyrusza wraz z przyjaciółmi z misją ratunkową, która kończy się odnalezieniem niezwykle cennego znaleziska.

Ciekawa, podlaska propozycja dla młodych czytelników.

(js)



Tomasz Samojlik
 Tom 22. **Taniec żurawi**
 Tom 23. **Wszędzie dobrze, ale w puszczy najlepiej**
 Seria wydawnicza: Żubr Pompik. Wyprawy
 Media Rodzina
 2021

Autor i zarazem ilustrator książek z serii „Wyprawy”, zabiera najmłodszych czytelników w podróż po polskich parkach narodowych. Każda publikacja zawiera w środku niespodziankę oraz zadania dla małych odkrywców przyrody.

Tomasz Samojlik w swoich opowiesciach pokazuje nie tylko typowe zachowania żubrów, które są głównymi bohaterami serii, ale też innych zwierząt, spotykanych przez żubrzę rodzinę oraz opisuje poszczególne parki.

W części dwudziestej drugiej, mali czytelnicy wraz z Pompikiem, Polinką, Poradą i Pomrukiem udają się do Poleskiego Parku Narodowego, gdzie trafiają na tańczące żurawie oraz żółwia błotnego. W finałowej części *Wszędzie dobrze, ale w puszczy najlepiej*, żubry wrócą do swojego królestwa, czyli Białowieskiego Parku Narodowego, a puszcza powita rodzinę jesiennymi barwami.

Piękne ilustracje, zajmująca opowieść, ciekawostki przyrodnicze i walory edukacyjne z pewnością przyciągną do lektury nie tylko dzieci, ale i rodziców.

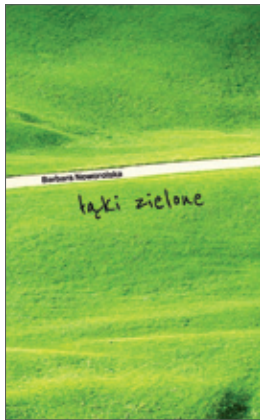
Warto wspomnieć, że książki o Pompiku znalazły się w Złotej Dwudziestce tytułów wybranych w plebiscycie zorganizowanym z okazji dwudziestolecia kampanii „Cała Polska czyta dzieciom”. (ażk)



Edyta Ślęczka Poskrobko
Rozmawiałam z drzewem
 Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
 w Białymstoku
 2021

Tom, którego treść spina dwie przestrzenie: przestrzeń wsi i miasta, rzeczywistość bliską naturze i tę od niej oddaloną, betonową, skąpaną w światłach ulicznych latarni. Który świat jest bliższy podmiotowi lirycznemu? Zdecydowanie ten pierwszy, o czym świadczą pojawiające się w tomiku: „łany zboża”, „urodzajna ziemia”, „stodoła”, „wzgórze”, „przydrożna kapliczka”, „drzewa” i „las”. Związana z nimi przestrzeń, zanurzona w cykl pór roku, przesycona historią kresowej ziemi, użyźniona pracą ludzkich rąk, współgra z emocjami człowieka wrażliwego, skupionego nie na sobie, a na otaczającej go rzeczywistości, szukającego sensu w tym, co kryje w sobie natura – uniwersalna siła, przesycona sacrum, pulsująca życiem, harmonizująca, włączająca, przynosząca spokój i odkupienie.

Rozmawiałam z drzewem to tomik wierszy skupiony także na przestrzeni miasta, ogołoconego z zieleni, częściej zabetonowanego niż przyjaznego żywym, czującym organizmom. Ale także tam podmiot liryczny wierszy potrafi odnaleźć siebie, próbując nadać wartość temu, co widzi, nawet jeśli jest to nieustanna walka o oddech, o czyste światło i powietrze. Bo pierwiastkiem ocalającym w tej sztucznej, pozbawionej witalności przestrzeni jest zawsze drugi człowiek i to dla niego warto zrobić wszystko, by ocalić dobro, piękno i miłość. (ds)



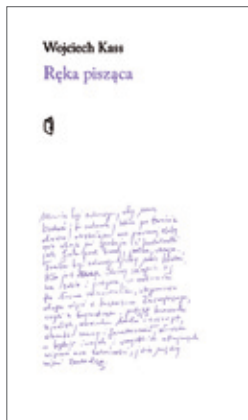
Barbara Noworolska
Łąki zielone
 Książnica Podlaska
 im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
 2021

Tom, dzięki któremu przenosimy się w przestrzeń jednocześnie bliską nam i daleką. Głównym tematem jest przyroda: czysta, nieskażona, pełna delikatności, subtelności, kojących barw i zapachów. Autorka stosuje przy tym rozwiązania poetyckie, od których czytelnikowi może zakręcić się w głowie, bo jest w nich połączenie: obrazów, dźwięków, metafor, bezpośrednich i jednocześnie pełnych głębi sformułowań, nadających znaczenie całej opowieści, w niezwykle, niezapomniany sposób opisujących paradoksy świata natury – niezmiennego, uniwersalnego, a jednocześnie ulegającego wpływowi czasu i nadającemu rytm naszej rzeczywistości. W jednym z wierszy, noszącym tytuł *Lato narwiańskie*, Barbara Noworolska pisze: „Baranki pasą się w błękitach / Cię-

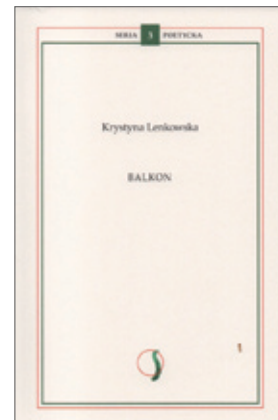
zarne zielenią pastwiska / nabrzmiewają mlekiem w sytym nurcie zmierzchu”.

Ale piękno przyrody to nie jedyny temat *Łąk zielonych*. Poetka zabiera nas do swoich ulubionych miast: Białegostoku, Łomży, Tykocina, pokazując miejsca pełne magii, kolorowych światła – miasta przesyczone historią, skupione na teraźniejszości, trudne do zdefiniowania, niejednoznaczne, nasycone obrazami zbudowanymi dzięki przewrotnym, nieoczekiwanym metaforom. Oto fragment *Innego Białegostoku*: „Kanak lamp jak perły / Naszyjnika Izabeli / Stroją czarne drzew konary / Latarnie jak barwne kule / Przenoszą ulice / W krainę nieznaną (...) Księżyc jak kajak bez wiosła / Wolno wolniutko płynie / Przez strojną noc cichą noc”.

Tom wierszy Barbary Noworolskiej warto przeczytać – nie raz, a kilkanaście razy. Bo dobrą poezję trzeba smakować – stopniowo, powoli, z namysłem, pietyzmem, szanując każde napisane słowo, każdą kropkę i przecinek. Skoro nic tu nie jest przypadkowe, to i nasza lektura nie może być przypadkiem, a wynikiem potrzeby głębokiego obcowania z prawdziwą literaturą. (ds)



Wojciech Kass
Ręka pisząca
Austeria
2021



Krystyna Lenkowska
Balkon
Fundacja Słowo i Obraz
2021

„Studium melancholii i poetyckiego zapatrzenia w świat. Dziennik rozpacz i ekstatycznego zachwycenia istnieniem cum grano salis” – czytamy we fragmencie opisu prof. Jarosława Ławskiego (białostockiego badacza literatury) na stronie wydawnictwa Austeria. Słowa te dotyczą najnowszego zbioru dziennikowych notatek Wojciecha Kassa. Jej autor, poeta i eszysta, kustosz Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu, od 2012 roku zamieszcza na łamach czasopism „Topos” i „Almanach Prowincjonalny” cykl zapisków *Ręka pisząca*. Do tej pory wydał łącznie osiem części. Wyboru ich fragmentu do niniejszej publikacji, spośród bogatego materiału, dokonał wspomniany prof. Jarosław Ławski.

W trakcie lektury rodzą się pytania: czy to dziennik intelektualny, zawierający spostrzeżenia na temat współczesnych zjawisk kulturowych, filozofii, sztuki, w tym literatury, czy bardziej diariusz intymny, opis zdarzeń, których Kass doświadcza, w których uczestniczy, pełen komentarzy i autokomentarzy? A może to nie tylko dziennik?

Ręka pisząca zdaje się być tym wszystkim i czymś jeszcze, przy czym to „jeszcze” dla każdego czytelnika będzie czymś innym. Dla jednego będzie to mapa myśli, z którymi można się zidentyfikować, dla drugiego książka będzie obfitowała w ważne fragmenty autobiograficzne. Publikacja zawiera też cenny zbiór wielowymiarowych refleksji o poezji i jej istocie, podanych w lirycznym sosie, przepuszczonych przez poetyckie imaginarium. W końcu to, sprowadzając dwuwyrzowy tytuł do dwuwyrzowego opisu: dziennik poety, wraz z wszelkimi tego konsekwencjami i walorami. (kkp)

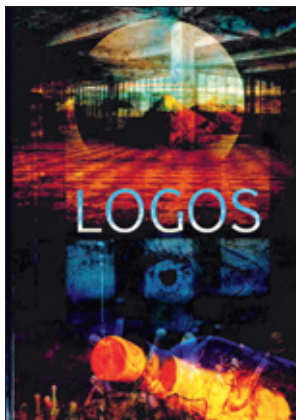
„Starość w obrazkach” – to była moja pierwsza myśl po przeczytaniu tomu Krystyny Lenkowskiej *Balkon*. Poetka opowieść o samotności, wyrzutach sumienia, zmaganiach z fizyczną ułomnością, wspomnieniami i trudną do zniesienia, a jednocześnie upragnioną obecnością drugiego człowieka. Poruszający obraz starości, widzianej z perspektywy człowieka, który teje starości doświadcza.

Poetka dotyka tematu nieuniknionego, ale wciąż niewygodnego – zarówno dla „starych”, jak i dla ich bliskich, może dlatego ten tomik bywa tak gorzki... Spomiędzy słów wylania się ironia, wylewa żal. Pełne energii i pasji zrywy, gaszone przez, wciąż na nowo uświadamiane sobie, ograniczenia. Życie, którym rządzi Geras – mityczny bóg i uosobienie starości. Przyszłość, jakiej nikt nie pragnie...

w niedzielę
w czasie deszczu
zjeżdżają się krewni
z okolicznych wsi i miasteczek
zakapturzeni
przemykają cicho
pod balkonami okapami
Geras

woleli
odwiedzać szpitale
ich gwar
odkryte głowy
plastikowe worki na brudne buty
i swoje czyste sumienia

(js)



Logos. Antologia polsko-hispańska

Pod red. Katariny Lavmel

Wydawnictwo Dobrota

2021

Kolejna, po *Azulejo chabrem ubrane*, międzynarodowa antologia pod redakcją Katariny Lavmel. Po Portugalii przyszedł czas na Hiszpanię. Klucz doboru autorów, zaproszonych do współpracy, zdradza sama Lavmel – to poeci z regionu Pomorza – powiatu słupskiego, skąd pochodzi redaktorka oraz z innych części Polski, twórcy hiszpańscy natomiast reprezentują różnorodność kulturową tego kraju, takie regiony jak m.in.: Andaluzja, Murcja, Katalonia, Madryt czy Walencja.

Tom podzielony został na dwie części: wiersze polskie (tłumaczone na hiszpański) oraz wiersze hiszpańskie (tłumaczone na polski), lecz nie o podział czy konfrontację tu chodzi. „*Logos* to manifest niezależności, siły, przekraczania granic. (...) Spotykamy się, twórcy z odległych krajów, wyrosli w swoich tradycjach, inspirowani innymi lekturami, otoczeni tak odmiennymi od siebie pejzażami, architekturą i naturą. Ukazanie w jednej książce tych dwóch przeciwległych europejskich przestrzeni na poziomie emocji, odczuć, wrażliwości, słów i znaczeń, wartości i przeżyć, to niecodzienne spotkanie i doświadczenie odmienności.” – pisze we Wstępie Katarina Lavmel i dodaje, że tom ten jest w szczególności dedykowany kobietom z nowotworem piersi.

Interesująca propozycja dla ciekawych świata. (js)



Krzysztof Mich
Śladami
 MK (Maria Kuczara)
 2021

Niewielki objętościowo tomik poetycki, wydany równoległe w języku polskim i w tłumaczeniu na język hebrajski, prowadzi czytelnika śladami Zagłady. Zbiera okruchy pamięci o żydowskich mieszkańcach miast i miasteczek, głównie we wschodniej Polsce. Nie jest to podróż łatwa, ale niewątpliwie konieczna: nie tyle po to, żeby zrozumieć lub wyjaśnić (bo zrozumieć ani wyjaśnić się nie da), ile, by ocalić od zapomnienia. Zadanie dość trudne, gdyż śladów pozostało niewiele: kamień z wyrytym imieniem, cegła z obozu, drzewa, które wyrosły na miejscu zbrodni, a czasem tylko kilkudzaniowy zapis w Wikipedii. Równie niewiele zostało pamiętających, najczęściej wspomnienie o tamtych wydarzeniach przykrywa niewiedza, obojętność lub niechęć. Jednak nawet z tych nielicznych okruchów Krzysztof Mich układa przejmującą opowieść o nienawiści, okrucieństwie i niezawinionej śmierci. Unikając nazywania faktów wprost, pisze o gwiazdach na ty-

kocińskim niebie (żydowscy mieszkańcy miasteczka), burzy gradowej w łopuchowskim lesie (rozstrzelanie Żydów z Tykocina) czy makach w okolicach wsi Bzury (zabite Żydówki). Czasem przenosi ciężar opowieści na zewnątrz, oddając głos martwym przedmiotom, beznamietnym świadkom wydarzeń. Jak np. cegła z żydowskiego domu we Włodawie, która po wywózce mieszkańców i zburzeniu domu trafiła do obozu w Sobiborze – „cała przesiąkłam łzami i gazem / boki podrapane mam paznokciami”.

Zaletą tomiku jest emocjonalna powściągliwość, z jaką autor opisuje sytuacje i ludzi, przez co ich dramat wybrzmiewa z jeszcze większą siłą. Pomiędzy wersami unoszą się niewybrzmiałe pytania o przyczyny zła i ludzkiej obojętności.

Książka Micha posiada, oprócz walorów poetyckich, także tę nieocenioną wartość, że przywołuje mniej znane miejsca i historie związane z Holocaustem. W większości przypadków jest bodaj ich pierwszym poetyckim świadectwem. Bzury, Szczuczyn, Zawady, Zabłudów, Radziłów... To tylko kilka podlaskich miejscowości zapisanych z imienia w wierszach. Jako całość, rzecz ważna i przejmująca. I z pewnością godna uwagi. (esz)



Malika Tomkiel

Biel kości

Wydawnictwo Papierowy Motyl

2021



Victoria Mas

Bal szalonych kobiet

Wydawnictwo MOVA

Białystok 2021

Publikacja niezwykła i niezwykle było też moje „spotkanie” z nią. Lektura *Bieli kości* wywołała we mnie pierwotnie irytację. A to za sprawą łączenia różnych form: dziennika, poezji oraz wywiadów. Przeszkadzało mi to wrażenie chaosu. Do momentu, gdy zdałam sobie sprawę, że jest w tym ukryty głębszy sens – właśnie taka jest rzeczywistość osób, zmagających się z zaburzeniami odżywiania – pełna: chaosu, lęku, braku akceptacji, poczucia wyobcowania, zaburzonego postrzegania siebie i własnego ciała, niskiego poczucia własnej wartości. Wie o tym doskonale autorka książki, Malika Tomkiel – dziennikarka, redaktorka i joginka od lat chorująca na anoreksję.

Wzrok przykuwa także biała okładka. Dopiero, gdy uważnie się jej przyjrzymy widać wypukłość w kształcie kobiety w pozycji lotosu, z kwiatem w miejscu głowy oraz tytuł i nazwisko autorki. Porażająco celna metafora – tak samo „niewidoczna” jest anoreksja. I tak samo „niewidoczni” bywają ludzie, których dotyka.

Jest w *Bieli kości* kilka rozmów – z chorującymi i tymi, którzy starają się im pomóc, jak Ewa Galus-Raczyńska, założycielka Fundacji Światło Dla Życia. Niemal we wszystkich wywiadach przewija się temat braku świadomości społecznej i niewydolnej służby zdrowia.

To nie jest wybitna literatura, ale i nie o literaturę tu chodzi. To książka ważna. Opowieść, pozwalająca zajrzeć na chwilę do świata osoby cierpiącej na anoreksję, spojrzeć na otaczającą rzeczywistość jej oczami. Książka pomagająca zrozumieć. (js)

Szpital Salpêtrière specjalizuje się w leczeniu obłąkanych kobiet. To przedsionek piekła – odcięcie od świata, brak kontaktu z bliskimi, zamknięcie... Diagnozy stawiają tylko lekarze mężczyźni i tylko oni leczą eksperymentalnymi metodami. Pewnego marcowego poranka trafia tam Eugénie Cléry – podstępnie przywieziona przez ojca i brata. Dlaczego? Ponieważ widzi duchy zmarłych i słyszy ich głosy. Ma tak od dziecka. Wyjawia swój sekret babci, a ta zdradza ją, przekazując tę informację ojcu Eugénie... W szpitalu dziewczyna spotyka kobiety, które tak jak ona zostały umieszczone tam wyłącznie na życzenie mężczyzn – tych, którzy je krzywdzili, nie liczyli się z ich zdaniem, którym nie na rękę była kobieca odwaga albo nieśmiałość...

Atutem powieści jest prosty, lekki język i styl autorki, dzięki czemu książkę czyta się (mimo trudnego tematu) z zapałem i niemalą przyjemnością. Mas pokazuje problem jarzma kobiet na przestrzeni wieków, czasy przed emancypacją, rozkładając patriariat na czynniki pierwsze.

Ponadto na brawa zasługuje stworzenie przez autorkę klimatu dziewiętnastowiecznego Paryża: dorożki, tajne furtyki, prostytutki z rue Pigalle... Paryż na miarę Zoli.

Bal szalonych kobiet czytany w kontekście współczesnych wydarzeń, nabiera nowego wymiaru. Niezwykle interesująca i ważna powieść. (mk)



Katarzyna Droga
**Nigdy się nie bałam. Jak polskie lekarki
 pisały historię medycyny**
 Wydawnictwo Mova
 2021

Pionierki i mistrzynie – tak Katarzyna Droga, w tytułach dwóch głównych rozdziałów, określiła swoje bohaterki, których sylwetki znalazły się w jej nowej książce *Nigdy się nie bałam*. Wszystkie pragnęły leczyć i zdobywać doświadczenia medyczne. Żyły jednak w odmiennych czasach. Pierwsze zmuszone były studiować poza granicami kraju: w Paryżu czy Zurychu lub rozpoczynać naukę tuż po odzyskaniu niepodległości i uzyskaniu przez kobiety praw wyborczych. Drugie – mistrzynie, pracowały w powojennej Polsce, ich portrety przeplatane są, niejednokrotnie bardzo długimi fragmentami wypowiedzi.

Determinacja pań w dążeniu do ustabilizowania swojej pozycji jako lekarza jest jednak w książce tylko osią łączącą całość. Wyrzistość pierwszych życiorysów powoduje, że tematyka publikacji rozrasta się, pozostawiając niedosyt. Spotykamy tu niezliczoną ilość ciekawych wątków obyczajowych i historycznych. Poznajemy zawiłe losy Reginy Salomei Pilsztynowej – podróżniczki, okulistki z XVIII wieku, leczącej bez dyplomu w Turcji, Austrii i Rosji. Czytamy o Justynie Budzińskiej-Tylińskiej – łomżyńiance, działaczce feministycznej, propagującej zasady higieny i świadomego macierzyństwa oraz walczącej o prawa wyborcze kobiet, a także o Janinie Bernasiewicz – ordynatorce i dyrektorce Szpitala Psychiatrycznego w Choroszczy, czy Annie Tomaszewicz-Dobrowskiej i powstaniu jej gabinetu lekarskiego, który na początku świecił pustkami. O budowie sanatorium dla chorych na gruźlicę w Zakopanem, czy otwarciu Instytutu Radowego w Warszawie dowiadujemy się z opisu

losów Bronisławy Dłuskiej, pierwszej ginekolożki, a zarazem siostry Marii Słodowskiej-Curie i Heleny Skłodowskiej-Szajlay.

Książka pozwala przyrzeć się ówczesnej pozycji kobiet, poglądom na ich aktywność zawodową, odbierającym im samodzielność, możliwość uczestniczenia w życiu publicznym, pozbawiającym je same trzeźwego stosunku do dbałości o swój rozwój oraz zdrowie. Bo przecież, jak czytamy u Drogiej, stereotyp lekarza jako mężczyzny z brodą, tkwił przez lata również w umysłach samych pacjentów. Tak jak we wcześniejszych książkach autorka nie omija znanych postaci i ich wpływu na losy bohaterek, stawia akcent przy tych, które wspierały ich światopogląd i chęć szerzenia postępu. Pisze też o relacjach rodzinnych i pochodzeniu lekarek, ich przeżyciach i związkach, by uzmysłowić jakie wydarzenia kształtowały ich charakter.

Druga część, obszerniejsza, jest poparta rozmowami. Ich punktem wyjścia są pierwsze wrażenia autorki ze spotkań z bohaterkami, często jest to opis miejsca, sytuacji – czasem jest to dom, czasem mieszkanie, pokój hotelowy lub rozmowa telefoniczna. Jak odnotowuje autorka we wstępie, powstanie książki, było zainspirowane wywiadami z kobietami, które poznała podczas pracy nad powieścią *Doktor Irka. Wojna, miłość i medycyna*. W *Nigdy się nie bałam* lekarki opowiadają o przeżyciach związanych z wojną, ale też czasach późniejszych, gdzie wyposażenie oddziałów, gabinetów, sposoby leczenia pacjentów czy stan badań były nieporównywalne do dzisiejszych realiów. Przeczytamy tu relacje dotyczące podejmowania odważnych decyzji, mających wpływ na postęp w dziedzinie: onkologii, chorób płuc, psychiatrii, ortopedii czy ginekologii. Wśród bohaterek znalazły się również te związane z Białymstokiem – Barbara Darewicz, Irena Sarosiek oraz Joanna Dobrowolska. (jj)



Białostoccy mistrzowie sztuk pięknych na falach eteru.

Reportaże Polskiego Radia Białystok

Galeria im. Śleńdzińskich w Białymstoku
2021

Jak mi powiedziała Joanna Schmidt, redaktorka albumu *Białostoccy mistrzowie sztuk pięknych na falach eteru*, prace nad nim trwały długo, bo od dawna wiadomo było, że w archiwum Polskiego Radia Białystok leżakują wyjątkowe materiały, prezentujące podlaskich artystów. W konsekwencji ów owoc współpracy obu instytucji ma swoją odslonę także na stronach białostockiego radia pod postacią kilkunastu audycji¹.

Na zielonopióry tom składają się trzy segmenty. Najpierw niejednoznaczny powojenny wątek formowania się białostoc-

kiego środowiska artystycznego i portret Wiktora Gutkiewicza, znanego swego czasu, nomen-omen, kopisty. Po nim wilnianin, pedagog, Stanisław Horno-Popławski, twórca nie tylko Praczek.

Wspominam dwa pierwsze nazwiska, bo właśnie sobie uzmysławiam mądrość rozpisanego scenariusza albumu. Reportaże, z którymi w nim obcujemy, gdzieś się podziały, jak obrazy Lengiewicz z białostockiej przestrzeni, analogowe lustrzanki Piotra Sawickiego, „Kontrasty” – to mnie zawsze wybijało w reportażach z doczesności – melancholia, a patronujący wydawnictwu, wszechobecny w nim Wiesław Szymański był jakby z melancholii ukręcony.

Szczyściem, nie brakowało białostockim mistrzom humoru. Oto zdjęcie Henryka Rogozińskiego i Edwarda Grochowicza, siedzących na pniu, nad brzegiem ciała wody. Jednemu spod zatoczonych nogawek odświętnych spodni wystają łydki, drugi moczy w wodzie stopy ubrane w skarpety. Albo inna fotografia: naga kobieta z parasolem nad głową mija konia, a mówiąc bardziej fotograficznie – zaraz minie. Sprawdźcie. (pj)

¹ https://www.radio.bialystok.pl/bialostoccy-mistrzowie-sztuk-pieknych-na-falach-eteru?fbclid=IwAR1FgeU6tU8VxXgwSrR7uQjMdl_r_X_vz0dUWB2CNfSUfIIUSp1a_ogf75Nc.



Grzegorz i Tomasz Kłosowscy

Biebrza

Fundacja Sąsiedzi

2021

Wydany w 2021 roku album *Biebrza* Grzegorza i Tomasza Kłosowskich otwiera fotografia żółto-ciemnoniebieskiego „dywanu” kaczeńców, kwitnących na rozlewiskach Biebrzy. Kto nigdy nie widział tego niezwykle malowniczego obrazu, może sięgnąć po ów posegregowany według pór roku wybór zdjęć, które nie tylko zaskakują, ale stanowią też sporą dawkę wiedzy o biebrzańskim przyrodzie. Autorzy zapraszają nas do świata niedostępnego na co dzień, utrwalonego za pomocą obiektywu, przedstawiając żyjące tu gatunki zwierząt – ptaków, ssaków, płazów, niesamowite krajobrazy i rośliny. Zamknięcie go w kadrze wymaga wielu godzin obserwacji, wiedzy, a także wrażliwości na jego walory.

Jednym z bohaterów tej przyrodniczej przestrzeni stał się żuraw, który, jak się okazuje, coraz liczniej i coraz dłużej gości na terenach biebrzańskich bagien. Tomasz Kłosowski m.in. o nim opowiadał podczas listopadowego Festiwalu Literackiego „Na pograniczu kultur”: „Ubożenie fauny ptasiej jest faktem, nie tylko nad Biebrzą. Wiele gatunków, które były tutaj niegdyś pospolite, a gdzie indziej dosyć rzadkie, teraz tutaj stały się rzadkie – tłumaczył. – Są też takie, które pojawiły się licznie i przykładem sztandarowym jest żuraw. Nie jest specjalnie biebrzański, większą liczebność osiąga na pojezierzach, ale tutaj eksplozja jego liczebności w ostatnich latach jest widoczna. To się łączy przede wszystkim z gospodarką rolną, pojawieniem się pól kukurydzianych – resztki kukurydzianych kolb są dla nich znakomitym pokarmem. (...) Zarastanie bagien krzaka-

mi również sprzyja żurawiom, bo na bagnach szukają przede wszystkim osłony dla gniazda”.

Teksty główne rozdziałów oraz opisy do zdjęć wprowadzają odpowiednio w wiosenny, letni, jesienny, zimowy nastrój, dodają do fotografii namiastkę wiedzy. Dzięki nim dowiadujemy się, kto w zimowy dzień może pojawić się na lodzie, zostawić ślady, jakie zjawiska napotkamy latem. W ostatnim rozdziale albumu na zdjęciach znajdują się rdzenni mieszkańcy podczas prac gospodarskich i świętowania, ale też turyści zaciekawieni tutejszą fauną i florą. Większość zdjęć, przedstawiających zwierzęta i ptaki, ujmuje dynamiką. W przestrzeni krajobrazów, różnych ujęć nurtu rzeki, w zakamarkach doliny Biebrzy ciągle się coś dzieje, słychać polujących, spacerujących, czających się w zaroślach mieszkańców. Świat nie jest tu statyczny, zmiany i ruch dostrzegalne są przecież nie tylko w zachowaniu zwierząt, ale też wymuszone są następującymi po sobie porami roku. Czy wpływa to na pracę fotografów? „To nie jest utrudnienie – mówił podczas festiwalu Tomasz Kłosowski – dlatego, że każda z tych pór ma swoje zupełnie inne tematy (...) specyficzną aurę. Niemal nie ma ptaków, które pojawiając się zimą nie są chociaż trochę widoczne wiosną. Jeżeli chodzi o gatunki bagien, wszystkie gniazdowe raczej odlatują, a zostają tylko osiadłe, takie jak cietrzew czy kruk, czy ptaki drapieżne – warto wtedy zwrócić na nie uwagę (...). Często podrzuca się im coś do zjedzenia i koczuje w pobliżu, by je sfotografować. Latem jest trudniej, bo z jednej strony są mniej chętne do żerowania na tym, co się im podłożyło, a z drugiej strony – wszędzie jest kurtyna roślinności, wszystko jest schowane. Natomiast późna jesień i zima oraz wczesna wiosna mają taką zaletę, że świat jest bardziej przejrzysty. Trudniej się ukryć, ale z drugiej strony, ma się lepszy widok na wszystko”.

(jj)



Historia Białegostoku

Fundacja Sąsiedzi

2021

Podczas październikowego Festiwalu Literackiego „Na pograniczu kultur” odbyła się premiera kolejnego wydania monografii *Historia Białegostoku*. Dwupółroczną pracę podsumowali prof. Adam Czesław Dobroński oraz historyk Andrzej Lechowski, na czele z wydawcą i prowadzącym spotkanie Andrzejem Kalinowskim. Czytelnicy będą mieli wgląd w nowe fotografie, uzupełnione rozdziały badań nad historią miasta, a także dodatkowy pierwszy rozdział dotyczący archeologii, autorstwa Macieja Karczewskiego. Część rozdziałów opatrzona została prologami prof. Adama Czesława Dobrońskiego. Wśród autorów poszczególnych części znaleźli się: Jan Tęgowski, Wiesław Wróbel, Józef Maroszek, Alina Sztachelska-Kokoczka, Antoni Oleksicki, Daniel Boćkowski, Artur Pasko, Piotr Łapiński, Joanna Sadowska oraz Marek Kietliński, dzięki któremu publikacja zyskała rozszerzone, tym razem do 2021 roku, kalendarium wydarzeń z dziejów miasta. Wydanie 2021, w porównaniu do poprzedniego z 2012 roku, jest objętościowo „chudsze”, odeszło też lekko od dotychczasowej struktury, znikły również wyróżnione na marginesach stron, wybrane z tekstu, cytaty.

Andrzej Lechowski, autor części monograficznej dotyczącej lat 1864–1939, podczas festiwalu, opowiadał o kondycji

miasta przed wojną: „Wydaje mi się, że Białystok zbyt późno ocknął się do wykorzystania swojej, chociażby wojewódzkiej, szansy. Dwudziestolecie międzywojenne wyraźnie dzieli się na takie dwa podokresy – lata 20., może nawet do 1928 roku, widać, że Białystok ciągle nie może oswoić się z nową rolą, grzęźnie gdzieś w niedoskonałościach. Możemy to wytłumaczyć tym, że był zrujnowany i po I wojnie światowej, nagle jest w jednym państwie z Warszawą, ciągle jest konkurencja Grodna, Wilna. Dopiero w latach 30. zaczyna się, jak to wtedy ładnie określano, europeizować. (...) Niestety, ten ożywczy proces przerwał wybuch II wojny światowej”.

Prezentacja zdjęć, które zawiera monografia, omówionych przez prof. Adama Dobrońskiego, udowodniła, że kryją one jeszcze wiele ciekawych szczegółów. Historyk Andrzej Lechowski ma też nadzieję, że wciąż będą się pojawiały nowe fotografie np. z archiwów rodzinnych: „Trzeba na nie całkiem inaczej patrzeć. Przeważnie (...) patrzemy jak wyglądał stryjek czy dziadek w wieku niemowlęcym, ale kogoś, kto się zajmuje ikonografią miasta będzie interesowało tło. W tych zdjęciach rodzinnych, pamiątkowych jest też dużo takiej treści, na którą zwracamy uwagę”. Warto odszukać i obejrzeć chociażby tę upamiętniającą wydarzenia z 1905 roku – inscenizację *Pana Tadeusza* z okazji 50. rocznicy śmierci A. Mickiewicza – autorzy rozpoznali tam ważne postaci, związane z historią miasta. (jj)

Jesteśmy w internecie

Szukaj nas na:

ksiaznicapodlaska.pl/epea

Znajdziesz tam:

wiersze, opowiadania, eseje, felietony,
informacje o nowościach wydawniczych
i konkursach literckich,
rozmowy z ludźmi kultury
oraz archiwalne wydania naszego pisma.



Zajrzyj
i... zaczytaj się
razem z nami.

Nabór tekstów do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty,
felietony, recenzje książek lub bajki dla dzieci?

PRAGNIESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

Redakcja nieregularnika „Epea. Pismo literackie”
ogłasza nabór tekstów do ósmego numeru

Już dziś prześlij swój tekst
na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl

Jeden autor może zgłosić maksymalnie trzy teksty.
Jeden tekst nie może przekraczać 8 stron maszynopisu

(czcionka: Times New Roman, rozmiar 12,
interlinia 1,5 wiersza).

Zgłoszenia przyjmujemy do 31 stycznia 2022 r.

Do współpracy zapraszamy zarówno doświadczonych twórców,
jak i tych, którzy są na początku swojej literackiej drogi.

**Przyjmujemy jedynie teksty dotychczas niepublikowane
i niezgłaszane do konkursów literackich.**

Redakcja nie zwraca przestanych tekstów
oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Wybrane teksty zostaną opublikowane w ósmym numerze
nieregularnika „Epea. Pismo literackie”.



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa
Narodowego i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.